

ARTUR
SANDAUER

CZYTELNIK WARSZAWA 1983

PRO
ZA

Proza

Artur Sandauer

ŚMIERĆ LIBERAŁA

Pamięci Ojca

Śmierć liberała

Doktora Herberta Kirschego znałem na długo przed wojną. W bezrobotne wakacyjne popołudnia, gdy pustka czasu staje się szczególnie uciążliwa, siedłem do jego mieszkania, położonego w najwykwintniejszej dzielnicy naszego bardzo brudnego miasta. Rolety, opuszczone jeszcze, rzucały mrok na orzechowe meble; kurz tańczył w pasemkach światła. Pachniało wilgocią, moczem, lekarstwami i stęchlizną książek. Zegar na ratuszu bił trzecią. Doktor Herbert budził się z poobiedniej drzemki, rad niezmiernie mojej wizycie, po której obiecywał sobie wiele przyjemności. Siadał pod kołdrą, przygarniając kolana rękoma, potem wciągał skarpetki i pantofle na chude nogi i podbiegał truchcikiem ku oknu, by podnieść story. Z niezwykłą ostrożnością wyciągał z szafy bibliotecznej jedno ze wspaniałych wydań Velázqueza czy Breughla i w jarzącym popołudniu pograżaliśmy się w orgii barw, ja, barbarzyńca, i on, znawca, czytelnik Baedekera, wykrzykujący raz po raz:

- Cudne! Ta kompozycja, tu... tu... tu... I te tony perłowe !

Poprawiał skośnym ruchem szyję w kołnierzyku, podnosił lewe ramię i uśmiechał się wąskimi wargami. Po czym dodawał, ile metrów długości i szerokości ma to płótno, w jakim muzeum i podczas jakiej podróży je oglądał.

Doktor Herbert miał przedstawicielstwo kultury na nasze miasteczko. Reputację tę zawdzięczał napisanej przed laty i figurującej w katalogu miejscowej biblioteki książce *Anatol France, mistrz ironii*, w której dowiódł niezbicie, że Anatol France jest mistrzem ironii. Sam był humanistą, indywidualistą, estetą, liberałem, demokratą, słowem - człowiekiem XIX wieku. Był zresztą wszystkim, czym kulturalny mecenas być powinien: i socjalistą (choć miał zrozumienie dla endecji), i asymilantem (choć dostrzegał osiągnięcia syjonizmu), i antyfaszystą (choć cenił niemiecką sprzężystość). Wreszcie - co nie jest najmniej ważne - posiadał dobrze prosperującą kancelarię i wyjeżdżał co roku za granicę, skąd przywoził zdjęcia (Dr Kirsche na Montmartrze obok Cocteau, Dr Kirsche u stóp piramid), niezliczone nalepki hotelowe na kufrach i owe tomy, które mnie do niego zwabiały.

Nieraz park lipcowy, mającący białymi sukniami, słyszał do późna nasze rozmowy.

- Każdy nie-Żyd jest antysemitą.

Doktor Herbert, który lubił zaskakiwać paradoksami, zajął nagle, nie wiadomo czemu, stanowisko hitlerowskie.

- Ależ, panie mecenasie, pan mówi jak stara baba.

- Przepraszam... pan pozwoli... pan pozwoli... - Doktor Herbert był dotknięty śmiałością porównania. - Inność... obcość... irracjonalne pobudki....

Było już późno. Park pustoszał. Dyskusja, gmatwając się coraz bardziej, gubiła się we własnych labiryntach i nikt już nie wiedział, jakiego poprzednio bronił stanowiska. Stawało się nieznośnie duszno, nudno i nie wiadomo, co począć. Szliśmy do kawiarni, gdzie doktor Herbert, sącząc mazagran przez słomkę, rzucał subtelne uwagi o tańczących parach. Sam z powodu nieznacznego garbu nie tańczył i nie pamiętam, aby się kiedykolwiek kochał...

Z przyjściem Niemców doktor Herbert zgłosił się pierwszy do przymusowej pracy. Dzięki temu, po jednodniowym płukaniu garnków, zaawansował na prezesa naprędce stworzonej Rady. Widywałem go odtąd rzadziej, w domu trudno go było zastać, a ja również nie miałem czasu ani swobody na oglądanie Velázquezę.

Raz jednak odwiedziłem go w domu. Przyjął mnie z otwartymi ramionami.

- Dzień dobry panu! Jak się pan miewa? Co pan porabia, a przede wszystkim, co pan czyta teraz?

Zmieszało mnie nieco to dość luźnie z obecną chwilą związane pytanie.

- Tacyta, panie mecenasie.

- Ach, pan wciąż wierny klasykom. Nie obchodzi pana współczesność. A zresztą to doskonały prozaik, jak wyraził się Giraudoux. Znakomity pisarz. Świetne, bezlitosne pióro. Czy widział pan ozdobne wydanie Tacyta z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, które przywiozłem z Rzymu?

- Nie, nie oglądałem jeszcze. Ale ja do pana w sprawie prywatnej. Chodzi mi o to, czy nie zechciałby pan wciągnąć matki mojej na listę zbieraczek ziół? Słyszę, że praca ta daje gwarancję bezpieczeństwa...

- A, co do tego, to trudno, bardzo trudno. Bodajże niemożliwe. Widzi pan, jest tylko dwanaście miejsc zarezerwowanych dla rodzin członków Rady. Pan sam zrozumie, że prawnie one mają pierwszeństwo.

- A może jednak?...

- Nnnie, raczej nie. Zresztą pomyślimy. Jeśli okaże się miejsce wolne, to owszem, owszem. Ale, a propos, co pan sądzi o Paul Morandzie?

- Doskonały prozaik, jak się wyraził Giraudoux. Znakomity pisarz. Świetne, bezlitosne pióro. Tak, tak, widziałem to wydanie Moranda, które pan przywiózł z Paryża. Ale ja, niestety, już muszę odejść, panie mecenasie.

- Czemu tak szybko? Niech pan odwiedza mnie częściej: pomówimy o literaturze, o sztuce. Pan wie, te obowiązki społeczne - to męczy, to odrywa. Ale trudno, trzeba je wykonywać do ostatka. I wie pan, co mi nasz SS-Hauptscharführer Gabriel niedawno powiedział: „Sie sind der einzige Mensch in der Stadt, mit dem ich mich überhaupt unterhalten kann”¹. Dyskutowałem z nim ostatnio o nietzscheanizmie. Co za kulturalny, mało, co za głęboki człowiek. Jakkolwiek przekonany hitlerowiec. Ale przekonania polityczne i kultura - to dwie odrębne rzeczy. On zresztą sam boleje nad

¹ Jest pan jedynym człowiekiem w mieście, z którym w ogóle mogę rozmawiać.

tym, co musi robić. Ach! Ci Niemcy! Że też oni mogli tak nisko upaść! Ktoś nazwał ich narodem filozofów i feldfebli. Jakie to słuszne, prawda?

W wyniku tej wizyty matka moja dostała się wreszcie na listę zbieraczek ziół, co zresztą dawało dokładnie tyleż gwarancji, ile każda inna praca, to znaczy żadnych. Mimo to żywiłem pewną wdzięczność dla doktora Herberta i odwiedzałem go odtąd niekiedy w biurze z ubocznym celem zasięgnięcia informacji, według których regulował się puls naszego życia.

Było to po lutowej akcji więziennej. Gestapowcy, zastrzelili czterystu więźniów i zjadłszy wystawną kolację w gmachu Rady, właśnie odjechali.

W przedpokoju sekretarki wyjadały resztki pozostałych z uczyty ciastek i przechylały dnem do góry kieliszki. W drzwiach biura prezydialnego, otwartych na oścież, kupiły się gromady ludzi, zaglądających ciekawie do wnętrza, podczas gdy doktor Herbert z żyłami napęczniałymi na skroni, ze zlepionymi włosami biegał tam i nazad po pokoju, machając rękoma i krzycząc.

- Może pan prezes zechce wysłuchać dzisiejszego komunikatu. Świeżo z radia - usłyszałem jakiś głos perswazji.

- Do... z waszymi komunikatami. Co one komu dobrego przyniosły? Komu życie uratowały? Ja, ja sam - dzisiaj - ocaliłem was wszystkich. Czy pan wie, co by się było stało, gdyby nie moja rozmowa z Gabrielem?

- I cóż? Co powiedział?

- Z początku był wściekły. Stał z głową opartą na ręce przy oknie i tylko rzadko odwracał się, by pociągnąć z kieliszka. Dopiero kiedy nawiązałem z nim rozmowę o Goethem, uspokoił się trochę. On jest niezłym człowiekiem i boleje nad tym, co musi robić, ale wiercie mi, że kiedy raz zaczęło się strzelać, to później trudno się powstrzymać. Nastrój jego polepszył się do tego stopnia, że nawet pod koniec powiedział mi: „Mam specjalne rozporządzenie z Berlina...”

- No, no - rozległy się chciwe głosy.

- „Mam specjalne rozporządzenie z Berlina, aby akcje przeprowadzać nie, jak dotychczas, bez różnic, lecz według pewnej zasady: tępić element niespołeczny, innych zaś użyć do pracy”.

Tłum słuchał z zapartym tchem.

Doktor Herbert podniósł palec wskazujący.

- „Ponieważ miasto, na czele którego pan stoi, wywiązało się znakomicie ze wszystkich postawionych mu zadań, pan zaś sam jest, mimo niższego pochodzenia, człowiekiem, którego kulturę umiem ocenić, więc uważam za swój obowiązek zapewnić pana, że póki ja tu jestem, włos wam z głowy nie spadnie. Będziemy pracować nie tylko ramię przy ramieniu, ale i serce przy sercu.” I uściśnął mi rękę.

Doktor Herbert był szczerze wzruszony. Głos drżał mu i załamywał się.

- A pańskiej siostrze - zwrócił się z nagłą wściekłością do stojącego obok milicjanta - każe dać dwadzieścia pięć po... jeśli będzie otwierać drzwi podczas ich obecności. To ładnie wygląda!

Trzeba przyznać, że zachowanie doktora Herberta, zarówno jak grube słowa, których użył, nie licowało ze zwyczajną jego powściągliwością. Była to jedna z owych niekonsekwencji natury ludzkiej, za które tylko ona sama, a nie opowiadacz, ponosi odpowiedzialność. Przyczyną zaś - jak okazało się później - było zażycie pervitiny, środka podniecającego, od którego odymały się zwykle kieszenie gestapowców, a którym w przystępie dobrego humoru poczęstowali prezesa.

W dwa dni później Gabriel przeprowadził w naszym mieście akcję, podczas której zastrzelił ośmiuset ludzi.

Zbliżała się wiosna, a z nią życie nasze ku końcowi. Na wpół rozwalone domy stały puste, a ludzie ze śmiechem i hałasem rozbierali je na paliwo. Dziewczęta w marcowym słońcu kopały motykami ziemię, sadziły kartofle, które miały dojrzeć w jesieni. Czasem śpiewały:

Minie jesień, przyjdzie wiosna,
Będzie na nas trawa rosta.

Czasem podnosiły kędzierzawe głowy od pracy i oglądały się na druty, gdzie w dwuszeregu, po obu stronach, stali ludzie, jedni z naczyniami, pościelą, odzieżą, drudzy z koszykami lub portfelami w rękach.

- Gosposiu, gosposiu, kupcie pierzynę!

- A ile chce pani za ten łach?

- Tylko dwieście pięćdziesiąt złotych za ten nowiuteńki kawałek.

- O! Mój szwagier taką samą - tylko wsyp był lepszy - kupił tamtej niedzieli za sto pięćdziesiąt złotych.

- Niech pani tylko popatrzy, jaka poszewka, koronkowa, bieluteńka. Nie mogę dać taniej niż za dwieście.

- I po co wam tyle pieniędzy? Do jamy z sobą weźmiecie czy co?

- Jama - jamą, a żyć trzeba, trzeba żyć, kochana pani. Dziecko mi już od tygodnia mleka nie widziało.

- No, to ja dam sto pięćdziesiąt złotych i litr mleka.

- Niech będzie po waszemu. Garnczek zaraz odniesę.

I pierzyna wędrowała ponad drutami.

Dziewczęta patrzą, czy po tamtej stronie drutów nie widać jakiegoś kawalera. Może zlituje się, weźmie. Chłopcom zawsze lepiej, mogą sobie poradzić, a im tylko wyjście to pozostało.

- Ty masz już kogoś - mówią do koleżanek - może i mnie nastęcysz. Może twój ma przyjaciela...

Kartofle mokną w pulchnej ziemi, pęcznieją, kiełkują i już pędy zielone rwą się ku słońcu. I w ludziach coś kiełkuje, coś rwie się ku słońcu, ku życiu. Woźnice, tragarze, nosiwody, bez żon już, bez dzieci,

samotni, wyprostowują zgarbione plecy. Wiosna! Szerokie pola! Świat! „Ja znam wszystkie drogi w Karpatach.” „A ja pochodzę ze wsi.” „A ja byłem leśnym robotnikiem.” Na nocnych konwentykłach radzono o broni, o pieniądzach. Ukraść, zrabować. Rozpoczęły się grabieże. Pojawiły się pierwsze rewolwery. Coraz częściej słychać było ponocne strzały. Robiło się gorąco.

Aż trafiła się owa okazja, jedyna, niepowtarzalna. Komuś są potrzebne pieniądze. Ktoś chce sprzedać dziesięć karabinów ze stu nabojami za dziesięć tysięcy złotych. Ktoś wyjeżdża za trzy dni. Na jednym z nocnych zgromadzeń postanowiono ograbić Radę. Miały tam być złote dolary, zebrane z okupów. Spojono milicjantów. Otworzono drzwi kasy ogniotrwałej dorobionym kluczem. Lecz kasa świeciła pustkami. Sprytni rajcy w przewidywaniu zamachu ukryli pieniądze nie w kasie, lecz w niewiadomym schowku. Wzięto jako nagrodę pocieszenia dwie maszyny do pisania, rzecz kłopotliwą, lecz - bądź co bądź - towar.

W dwa dni później otrzymałem pisany w braku maszyny atramentem list następujący:

Szanowny Panie! W związku z popełnioną przez Pana i Pańskich wspólników kradzieżą wzywa się Pana do natychmiastowego zwrotu maszyn względnie do uiszczenia 10 000 (słownie: dziesięciu tysięcy) złotych tytułem odszkodowania.

W przeciwnym razie sprawa zostanie oddana w ręce Kripo.

Prezes Rady

m. p. dr Herbert Kirsche.

Prawdę powiedziawszy, groźba ta niezbyt mnie przerażała. Byłem tak czy owak skazany na śmierć za to, czym byłem, nie za to, co zrobiłem. Przestępstwo kryminalne, popełnione przeze mnie, nie mogło niczego zmienić w oczekującym mnie losie. Poza tym sypiałem już wówczas po stodołach, komorach, śmietnikach i adres mój był nieuchwytny. Ponieważ jednak odpowiedzialność mogła spaść na rodzinę, udałem się do gmachu Rady. Urzędnicy, dawni moi znajomi, odwracali głowy lub patrząc w twarz nie poznawali.

- Proszę pana - przywitał mnie doktor Herbert surowym tonem sędziego śledczego. - Proszę się nie wypierać. Mamy swoich ludzi i wśród was. Wiemy dokładnie, kto brał udział w waszym chwalebnym wyczynie. Nie chcę zresztą wchodzić w te sprawy; nie wolno mi o nich nic wiedzieć. Nie mam też zamiaru wam szkodzić. Maszyny nam są jednak potrzebne. Bez nich nie możemy urzędować. Musimy je mieć z powrotem.

- Maszyn tych już nie mam - odparłem.

- W takim razie proszę je odkupić lub złożyć dziesięć tysięcy złotych.

- Pieniądzy też nie mam.

- Pan nie ma pieniędzy? Ale pan potrafił ukryć swoją siostrę, co zapewne nie było za darmo.

- Dla mnie życie siostry jest ważniejsze niż wasze urzędowanie.

- A dla mnie, proszę pana - i dziwię się, że pan, człowiek inteligentny, tego nie rozumie - dobro społeczne jest ważniejsze niż wszystko. Te lata nauczyły mnie jednego: inna jest filozofia tego, który rządzi, a inna tego, którym rządzą. Rządzony widzi tylko interes własny, rządzący interes ogółu.

Doktor Herbert próbował mnie wciągnąć w dawny pojedynek intelektualny.

- Nie wiem, jaka jest filozofia władzy. Czy pan myśli długo jeszcze pisać na tych maszynach?

- Długo czy krótko - praca musi trwać, obowiązek należy wykonywać do końca. Pieniądze muszą być zwrócone. W przeciwnym razie, pan mnie rozumie...

Obejrzałem się. U drzwi stali milicjanci.

- Dobrze, panie prezesie. Pieniądze będą zwrócone. Pan pojmie jednak, że sam nie dysponuję taką sumą i muszę ją zebrać wśród kolegów czy - jak pan woli - współpracowników.

- No, tak. Wśród tych woźniców, tragarzy and company. A resztą dobrze! Ma pan trzy dni czasu.

Wstałem. - Do widzenia, panie prezesie.

- Do widzenia. Chwileczkę - głos doktora Herberta zmieknął. Próbował się uśmiechnąć wąskimi wargami. - Czy pan czyta teraz cokolwiek?

- Owszem, czytam IX księgę *Odysei*. Pan zna tę historię: Odyseusz wraz z towarzyszami dostaje się do pieczary ludożercy Polifema. Chcąc zaskarbić sobie jego względy, ofiarowuje mu bukłak z samijskim winem. Cyklop upija się i w przystępie dobrego humoru obiecuje Odyseuszowi, że w nagrodę za ten boski napój zje go na samym końcu. To właśnie czytam teraz. Do widzenia.

Jeszcze tego samego wieczoru dr Herbert, stojąc na schodach Rady, przemawiał do tłumu:

- Dzięki mojej zręczności... sam widziałem pismo z Berlina... sytuacja jest poważna, choć nie beznadziejna... trzeba pieniędzy...

Tłum słuchał z zapartym tchem. Na drugi dzień już nie żył. Padł na zwale trupów, ostatni z miasta. Może, siadając w krwawej, drgającej jamie, przygarnął zwykłym ruchem chude kolana i poprawiał szyję w nie istniejącym już kołnierzyku w chwili, gdy kula Gabriela uderzyła go w kark.

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

Doktor Henryk Jassym zdjął przymglone okulary, dmuchnął na nie i przetarł chusteczką: oznaka zadowolenia. Olbrzymia sala, na wpół przedzielona drewnianą barierą i umeblowana dwiema szafami oraz stojącym na podium koślawym stołem i krzesłem, była od dawna nie opalana. Szpary podłogi wiały chłodem; przez oszronione szyby sączył się świt lutowy. Doktor Jassym czuł się w doskonałym nastroju do pracy. Właśnie przed chwilą otrzymał najświeższe dane z trupiarni. Nic ciekawego zresztą: jakieś pięć kartotek do załatwienia. Przyczyna nie podana. A więc, jak zwykle, puchlina głodowa albo tyfus. Trzeba jednak przyznać, że ta trupiarnia urzęduje, że palce lizać - doktor Henryk pokręcił z uznaniem głową. - Już o ósmej przysyłają świadectwa zgonów. W istocie, w istocie,

trzeba przyznać... Dzień rozpoczyna się nie najgorzej. Zjrzał do zeszytu statystycznego, gdzie zapisywał codzienny stan ludności. Wczoraj było dziesięć tysięcy pięć, a dzisiaj - o dziwo! - równych dziesięć tysięcy. Rzadko się zdarza cyfra tak okrągła, tak przyjemna w dotyku: cztery zera i samotna jedynka. Zero jest o wiele miłsze w pisaniu niż inne cyfry: cieniowany brzuszek, a w środku zakrętas. Gdyby nie początkowa jedynka, można by napisać pięć równych zer. Aż przyjemnie pomyśleć. No, ale dosyć marzeń na dzisiaj! Do roboty, do dzieła!

A pracy jest masa: zanotować świadectwa zgonu, otrzymane z trupiarni, w zeszycie pism przychodzących; wyszukać pięć kartotek i, złączwszy je spinaczami z odpowiednim dowodem śmierci, przenieść z wątlejającej szafy żywych do pęczniejcej szafy umarłych; wnet już nie starczy w niej miejsca; trzeba zawczasu zamówić drugą u stolarza. Następnie - doktor Henryk zagina palce u lewej ręki - wystosujemy trzy pisemka: pierwsze - do urzędu mieszkaniowego, by wykreślonej kartotece odebrać prawo do zajmowania lokalu; drugie - do biura pracy, aby jej nie wzywać niepotrzebnie do przymusowych robót; trzecie i ostatnie - do wydziału gospodarczego, by jej cofnąć przydział dziesięć deka chleba dziennie. Pisma powyższe zanotować w zeszycie odchodzących, wysłać przez gońca i dopilnować, dopilnować potwierdzenia odbioru. Zdarzają się bowiem przykre, choć w pewnym sensie dowcipne, wypadki: tak na przykład jeden ze zmarłych pobierał kartki chlebowe i chodził do przymusowej pracy jeszcze w dwa tygodnie po swoim wykreśleniu. Jak to się stało, nie wiadomo. Bo chleb mogła podejmować za niego rodzina; ale któż by chodził za niego na robotę? Ileż się doktor Henryk nie naszpierał wtedy w przychodzących i odchodzących! Na próżno! Zmarły uniósł do grobu sekret swych pośmiertnych przydziałów! Tajemnica pozostanie nie wyjaśniona na zawsze!

No, ale dość rojeń! A więc trzy wyżej wymienione pisemka wystylizujemy, wynotujemy i wyślemy przez gońca. A potem, potem - jeśli starczy czasu - ale to tylko w ramach własnej inicjatywy i niejako bezinteresownie - przeliczymy własnoręcznie kartoteki, by się przekonać naocznie, czy ich suma rzeczywista zgadza się z podaną w zeszycie statystycznym cyfrą; robota ciężka, ale dająca niemałą satysfakcję. Bywa na przykład - pod sam koniec liczenia - że ogarnia cię rozkoszny lęk, dreszczyk biegnie truchcikiem po plecach: plik kartotek w ręku wydaje się zbyt cienki; a nuż pomyłka? Chwila uroczej niepewności, uczucie zawieszenia, zagłuszane mamrotaniem warg i - dobijasz do celu: dziesięć tysięcy jak ułaf. Pańskie oko konia tuczy!

Doktor Henryk odrywa z nerwowym pośpiechem nie zadrukowany skrawek gazety, wydobywa z kieszeni kamizelki szczyptę machorki, skręca i przylizuje. Na spiczastej jego twarzy, gdy wsysa się w trzymanego pięciu palcami papierosa, błądzi uśmiech ni to łakomstwa, ni to upojenia. Już po chwili tonie nosem w papierach. Jego olbrzymie, zgarbione plecy okrągłej jeszcze bardziej.

A to co? Józef Grad - tak - urodzony w 1910 - tak - syn Leona - tak - zamieszkały przy ulicy Mydlarskiej - zmarł wczoraj dnia 16 lutego 1942 na - przyczyna nie podana. Doktor Henryk chwytą pośpiesznie zeszyt pism wychodzących, kartkuje. Oczywiście, pamięć - jak zwykle - nie zawiodła. Jest. Józef Grad, urodzony, syn, zamieszkały - zmarł 14 grudnia 1941 roku, w której to sprawie prowadzono korespondencję z wydziałami gospodarczym, mieszkaniowym i pracy. Dwa razy umierać to - bardzo przepraszam. Problem jest zawiły. Możemy, co prawda, przypuścić, iż Józef Grad zmarł za pierwszym razem pozornie, aby uchylić się od przymusowej pracy, a dopiero teraz rozstał się ostatecznie ze światem. W takim jednak razie poprzednie świadectwo zgonu byłoby fałszywe. Czyżby i trupiarnia, tak - rzekłbyś - nieprzekupna, czyżby i ona zaczęła bruździć? Na kim się w takim razie oprzeć? Na przyszłość trzeba będzie posyłać gońca, aby sprawdzał ilość zwłok. Na razie jednak należy znaleźć

jakieś legalne wyjście z sytuacji, gdzie na dwa dowody śmierci przypada tylko jedna kartoteka. Co począć ze zbędnym świadectwem zgonu? Niszczyć dokumentu, którego odbiór zresztą doktor Henryk potwierdził, nie można. Chyba... chyba... żeby fałszerstwo zatuzować fałszerstwem, stworzyć drugiego Józefa Grada po to, aby go natychmiast uśmiercić, wypisać fikcyjną kartotekę i doczepić do niej świadectwo zgonu. Czasy, czasy... Oszustwo trzeba pokrywać oszustwem. Doktor Henryk bierze czystą kartotekę z dolnej szuflady i zasłoniwszy ją lewym ramieniem, spoglądając co chwila na drzwi, szybko wypisuje generalia. Po czym łączy ją spinaczem ze świadectwem zgonu i, podchodząc na palcach do szafy umarłych, wkłada ją do skrzynki z napisem GI - Gz obok drugiego Józefa Grada. Potem siada i ociera pot kroplisty z czoła. Dla uspokojenia pozwala sobie na drugiego już w ciągu godziny papierosa.

Doktor Henryk - po załatwieniu pięciu zmarłych i wystosowaniu piętnastu pism do trzech wydziałów - był właśnie w trakcie przeliczania kartotek w szafie żywych i miał zamiar poślinić palec, by zakończyć drugą setkę trzeciej tysiączki, gdy usłyszał w pobliżu ciężkie i dosyć niedołążne stąpanie. Doktor Henryk bardzo nie lubił, by mu przeszkadzano w pracy. Toteż nie bez oburzenia spojrzał na postać, która - dla współczesnego czytelnika może dość dziwaczna - dla niego była jedną z najpowszechniejszych. Obuta w słomiane chodaki, odziana w przepasaną sznurem kołdrą, z oczyma zgubionymi wśród napuchłych powiek - weszła na podium w sposób dość oryginalny, podnosząc obiema rękami nogę w kolanie, po czym oparła się ciężko o stół.

- Pan sobie życzy?... - spytał doktor Henryk po chwili, doliczywszy setkę do końca i odkładając plik kartotek na bok.

- Ja sobie życzę, żeby pan doktor był łaskaw zrobić mi grzeczność.

- Jaką grzeczność? Proszę się nie zbliżać do stołu. - Doktor Henryk żył w zrozumiałym lęku przed wszami zakaźnymi.

- Wystawić mi kartkę do Arbeitsamtu, że ja żyję.

- Jak to - że pan żyje? A ktoś panu mówi, że pan umarł?

- Pan doktor mówi. Pan doktor wysłał przed godziną kartkę do Arbeitsamtu, żeby mnie skreślić z listy pracujących.

- A na jakie nazwisko opiewało to pismo?

- Na jakie nazwisko opie?... Nie rozumiem, panie doktorze.

- Jak się pan nazywa, pytam.

- Józef Grad.

- Co? Pan się nazywa?...

- Tak. Ja się nazywam.

- Panie, co mi pan zrobił? Przez pana fałszerstwo popełniłem, dwadzieścia lat prokurentem byłem, wszystko się co do joty zgadzało, stary Fiternik mówił: „Takiego prokurenta jak doktor Jassym to ze świecą szukać”. Dzisiaj pierwszy raz w życiu przez pana fikcyjną kartotekę wystawiłem, a pan mnie

chce wmówić, że pan żyje. Widzi pan, tu są dowody - doktor Henryk podbiegł do szafy zmarłych i latającymi ze wzburzenia palcami wyjął kartoteki obu Gradów. - Pierwszy raz umarł pan czternastego grudnia ubiegłego roku na tyfus, a drugi raz wczoraj, szesnastego lutego bieżącego roku - przyczyna nie podana. Dla mnie pan nie istnieje, rozumie pan?

- To może ktoś inny umarł, co się tak samo nazywał?

- Nie, panie, trzeci raz pan mnie nie nabierze. Niech się pan nie opiera o stół. Jak się nazywał pański ojciec?

- No, Leon.

- Właśnie. A mieszka pan?

- Przy...

- No?

- Przy Mydlarskiej.

- No właśnie. A chce pan wmówić, że to nie pan umarł.

- Ale ja żyję.

- No, i co z tego, że pan żyje, kiedy ja dwa razy po trzy pisma wystosowałem do wydziałów, razem sześć pism stwierdzających pańską śmierć? To się nie da cofnąć.

- No, jak tak, to widzę, że już będę musiał panu doktorowi wszystko powiedzieć. Jak była rejestracja na chleb, to ja się zameldowałem dwa razy - raz z ojcem, a raz z dziećmi, żeby trochę więcej chleba dla nich wydostać. Ale potem Arbeitsamt zaczął wszystkich wołać trzy razy na tydzień do roboty, a mnie sześć razy, bo myślał, że ja jestem dwóch. No, to ja musiałem pierwszy raz umrzeć, bo skąd ja mam siłę przez cały dzień na Niemców ciężko pracować? A w zeszłym tygodniu tak opadłem z sił, tak opadłem, że całkiem już tych desek na budowę dźwigać nie mogłem. A jeszcze, jak mnie ten garbaty Myrdzio, pan go zna?

- Nie znam żadnego Myrdzia.

- Pan go musi znać. Ten co dawniej kanalarzem był, na Kąpielowej mieszka, za mostem, koło rzeźni.

- Nic nie wiem o żadnym kanalarzu.

- Pan go z pewnością dobrze zna, tylko pan nie pamięta. On teraz za Volksdeutscha u Niemców służy! No, to jak on mnie tak zbił cztery dni temu, że mało trupem na miejscu nie padłem, to ja sobie myślę: wolę z głodu zdychać niż od takiego Myrdzia znosić. I umarłem drugi raz.

- A trupa skąd pan wziął?

- Ja mam takiego kuzyna, co w trupiarni wszystko może. Ale teraz się pokazuje, że źle zrobiłem, bo dziś rano mówili na mieście, że wszystkich, co nie pracują, mają brać do lagrów. Kto ich wie? Po nich wszystkiego można się spodziewać.

- Co pan wygaduje? Co to za sianie paniki? Jeszcze nikt nigdy nie wywoził ludności cywilnej do obozów. Pan tylko porządek zakłóca swoimi...

- Ja pana bardzo proszę, panie doktorze, żeby pan mnie ten jeden raz z powrotem zameldował. Przecież jesteśmy swoi. Ja nie chcę za darmo... Sprzedam coś...

Petent wpija się błagalnymi palcami w rękaw doktora Jassyma.

- Co? Mnie? Mnie pan proponuje łapówkę? Mnie, staremu urzędnikowi firmy Fiternik i S-ka z ograniczoną odpowiedzialnością? Proszę puścić!

Doktor Henryk wrywa rękę z uścisku petenta i z rozmachu trafia go w nie ogolony policzek. Efekt jest momentalny: i tak niezbyt pewnie trzymający się na nogach osobnik wali się jak długi z podium na podłogę. Doktor Henryk stoi zaskoczony, strzepując nerwowo lewą dłońią rękaw płaszcza, podczas gdy tamten dźwiga się powoli na rękach z podłogi. Przez chwilę spogląda milcząc na doktora Jassyma, po czym kieruje się niedołąźnie ku wyjściu. W progu jeszcze raz odwraca się i kiwając głową powtarza trzykrotnie:

- Liczytrupa... liczytrupa... liczytrupa...

Doktor Henryk zdejmuje pośpiesznie płaszcz i marynarkę, zastanawia się przez chwilę i w nagłym porywie, mimo mrozu, ściąga również kamizelkę. Wszystko to wytrząsa starannie, po czym przeciera okulary i z powrotem zasiada do liczenia kartotek.

Mijały dni, tygodnie i miesiące, podczas których wiele się działo poza biurem ewidencji: z drzew strzelały pąki, z armat - pociski, pola wybuchały minami i zielenią. Doktor Jassym nie zasypiał zresztą również gruszek w popiele. Zbliżał się przednówek i świadectwa zgonów płynęły niewstrzymaną, iście wiosenną powodzią. Pracy było tak dużo, iż - nie bacząc na powagę urzędu - zrzucał niejednokrotnie marynarkę i z zakasnymi rękawami koszuli przyjmował i wysyłał pisma, kreślił, notował i liczył. Zdobycie jeszcze jednej szafy pozwoliło mu na dalsze ulepszenia: tak na przykład założył trzy nowe działy, z których pierwszy obejmował zaginionych bez wieści, drugi - wywiezionych do obozów pracy, ostatni wreszcie - przyjezdnych. Instrument jego wzbogacił się tym samym o całą gamę tonów, o możliwości nie znanych dotąd kombinacji i połączeń. Widząc go, jak błyskawicznie wyciągał i zatrząskiwał szuflady, jak wychwytywał i w mig przerzucał kartoteki, czyniąc na nich w locie precyzyjne signum, czuło się dojrzałego, pewnego swych środków i celów artystę.

Z biura wychodził teraz coraz później i bywało, że ogarnięty nagłym niepokojem, zawracał w pół drogi, by, przebiegłszy wyludniającymi się pod wieczór ulicami, sprawdzić pośpiesznie hieroglificzną notatkę w jednym z zeszytów. Wówczas dopiero, uspokojony, szedł do domu na skąpą wieczerzę. Nie uszło jednak ogólnej uwagi, że - mimo oczywistego przy tak nieskazitelnej uczciwości braku jakichkolwiek bocznych dochodów - doktor Jassym przybrał w okresie tym na ciele już to na skutek siedzącego trybu życia - już to innych mniej jasnych przyczyn. Nie bez znaczenia był tu zapewne i ów, iście stoicki, spokój, z jakim przyjmował nowe, coraz sroższe zarządzenia niemieckie oraz coraz bardziej paniczne pogłoski. Gdy mówiono o przygotowującym się nakazie opuszczenia dotychczasowych mieszkań, wzruszał ramionami:

- Skąd mnie wypędzą? Z mojej sublokatorskiej ciupki? Przenieś się tutaj i jeszcze lepiej mi będzie.

I w istocie - nie czekając na odnośne rozporządzenie - doktor Jassym, wyprosiwszy w magazynie Rady składane łóżko i materac, zainstalował się w biurze, i to tak niepozornie, że ani na śnie, ani na goleniu, ani na jakiegokolwiek innej czynności toaletowej żaden z współurzędników - mimo wielokrotnych usiłowań - nigdy go nie mógł przyłapać.

Raz tylko - była ciepła noc sierpniowa, muchy, zasypiając, bzykały na suficie i ćmy tłukły się ciężko o ściany - gość nagły zastał go nie ubranym. Był nim doktor Herbert Kirsche, niegdyś mecenas i autor poczytnego studium o Anatolu Fransie, obecnie prezes Rady, który wszedł do biura ewidencji na palcach i, nim przytknął drzwi, rozejrzał się kilkakrotnie po korytarzu.

- Pan... nie pracuje? - zagadnął na chybił trafił gospodarza, który podniósłszy się z łóżka poprawiał pośpiesznie garderobę.

- Rzeczywiście, pozwoliłem sobie odłożyć resztę pracy na dzień jutrzejszy. Może pan być spokojny, panie prezesie, drobne zaległości w dziale przyjezdnych będą w najbliższym czasie...

- O tym potem. Rozumie pan, że jeśli ja sam o tak późnej porze przyszedłem do biura, to nie po to, aby kontrolować dział przyjezdnych. Chodzi tu o spis...

- Spis robotników drzewnych dla firmy „Hoch- und Tiefbau”? Pan prezes zażądał go ode mnie dopiero dziś, czy raczej - dr Jassym spojrzał na zegarek; było piętnaście po dwunastej - wczoraj po południu i nie zdążyłem...

- Pan pozwoli... Mam na myśli co innego...

- Ach, rozumiem, spis małżeństw, które w związku z przewidywaną kontrybucją mają złożyć obrączki ślubne. Napotykam tu pewne trudności, wynikające z nie dość ściśle określonych w pańskim zarządzeniu pojęć prawnych. Rozporządzenie to nie ustala mianowicie, czy pary żyjące w związku rytualnym nie przeprowadzonym w aktach stanu cywilnego należy uważać za legalne stadła czy też za rodzaj konkubinatu. W tym drugim wypadku nie byłyby one obowiązane do oddania obrączek, zwłaszcza że nie zawsze...

- Ależ, doktorze, nie dojdziemy nigdy do porozumienia, jeśli pan będzie mi co słowo przerywał. Nad miastem wisi, czy raczej wisiła tej nocy katastrofa, której jedynie dzięki mojej zręczności udało się częściowo zapobiec...

- Rozumiem, panie prezesie, więc ten spis?...

- Nic pan nie zrozumie, póki pan nie wysłucha. O godzinie dziewiątej, kiedy zbierałem się już do domu, zajeżdża do mnie Gabriel, blady, zmieniony. Oczywiście, natychmiast wódka, zakąski. Próbuje nawiązać z nim rozmowę: nie idzie. Dopiero po piątym czy szóstym kieliszku podnosi na mnie oczy i powiada: „Rozkaz jest rozkazem”. „Jaki rozkaz?” - mówię. Nie zapytałem się, oczywiście, tak bezpośrednio jak teraz, lecz uciekłem się do pewnych dyplomatycznych chwytów, których nie będę przytaczał. „Ilu was jest?” - pyta. „Okolo siedmiu tysięcy.” „Otóż na jutro potrzeba mi właśnie połowy, trzech tysięcy pięciuset ludzi.” „W jakim celu?” - pytam - oczywiście w sposób dyplomatyczny. „Dla przesiedlenia - powiada - jeśli pana to wyrażenie zbytnio nie razi.” „Trzy tysiące pięćset ludzi do przesiedlenia! - zawołałem. - Nigdy! Chyba po moim trupie!” Nie powiedziałem tego, rzecz jasna,

dosłownie, ale wynikało to mniej więcej z sensu mojej wypowiedzi. „Trudno - odpowiada z wyszukaną grzecznością - jeśli pan nie może mi pomóc, to damy sobie radę sami - z tą tylko różnicą, że zginie przy tym sporo ludzi i że nie będę mógł ręczyć za niczyje bezpieczeństwo. Daję panu okazję, którą pan może przyjąć lub odrzucić.” „Nie może pan jednak wymagać - mówię - abym ja, głowa tego miasta, współpracował przy jego niszczeniu.” „Właśnie daję panu możliwość obrony jednej połowy.”

Kiedy wypowiedział to słowo „obrona”, zaświtał mi w głowie pewien pomysł, którego by się nie powstydzili najznakomitsi obrońcy krajowi i zagraniczni, „Bronić - powiadam - jest moim naturalnym obowiązkiem tak z racji mojej obecnej funkcji, jak i dawnego zawodu. Jeślibym już się zgodził na doręczenie panu jakiegokolwiek spisu, to mógłby on - niestety, wbrew pańskiemu żądaniu - zawierać tylko nazwiska tych ludzi, na których życiu, to jest... raczej... pozostaniu na dawnym miejscu zamieszkania szczególnie mi zależy.”

No, więc on... O czym to chciałem mówić? Aha? Chciałem powiedzieć, że nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ryzykowne były moje słowa. „Czy pan kpi ze mnie?” - zawołał. „Nie kpię - odparłem - ale wybieram jedyne wyjście zgodne z moim stanowiskiem i godnością osobistą.” I czy pan wierzy, że moja odwaga mu w końcu zaimponowała? Być może, podziałała tu również pewna swada, jaką udało mi się rozwinąć przy wyłuszczeniu kierujących mną motywów. „Niech i tak będzie! - zgodził się w końcu - jakkolwiek komplikuje pan niepotrzebnie rzecz w istocie zupełnie prostą. Będzie pan mi jednak musiał dać ludzi, którzy pójdą z policją i wskażą, kogo pan chce oszczędzić. Więc do jutra.”

W ten sposób udało mi się uratować trzy tysiące pięćset ludzi od wysiedlenia.

- Mam zatem do jutra, panie prezesie, sporządzić spis ludzi nie podlegających wysiedleniu?

- Tak, do godziny siódmej.

- Niezbyt dokładnie rozumiem, na jakiej zasadzie mam się oprzeć przy...

- Na jakiej zasadzie? Pan jeszcze pyta? Rzecz jasna, że na wartości moralnej i społecznej użyteczności.

- Ależ ja nie mam takiej rubryki u siebie. Niech pan spojrzy, panie prezesie: wiek, zawód, stan cywilny, adres, ale o moralności - ani słowa. Nie mogę przecie w ciągu jednej nocy, nie posiadając żadnych danych, stworzyć nowej klasyfikacji. Chyba... chyba żeby za społecznie użyteczne uważać te zawody, które w obecnej chwili są bardziej od innych potrzebne, jak np. rzeźników, piekarzy, urzędników, grabarzy...

- Pan się nie może wyzbyć schematów, których zawsze byłem i nadal pozostaję najzaciętszym przeciwnikiem. Szczególnie w sprawie tak poważnej jak obecna należy się wystrzegać stereotypowych formułek. Chodzi tu przecie nie o bagatelę, lecz o ocalenie trzech tysięcy pięciuset żywotów ludzkich przed wysiedleniem.

- Ależ jakże ja mogę decydować, kto nie ma być wysiedlony, kiedy nawet dziesiątej części nie znam osobiście?

- To nie jest zasadnicza trudność. Nie święci garnki lepią: wybierzemy tych, których mniej lub więcej znamy. Proszę wyciągnąć skrzynki. Czy te drzwi zamykają się na klucz?

Już światło elektryczne błednie i w drzewach podokiennych rozlega się świergot przedranny, podkreślający ciszę pustych ulic i różowiejących domków. Dochodzi piąta. Monotonne dyktando prezesa nabiera tempa; wieczne pióro doktora Henryka cwałuje po papierze. Lista obejmuje dotychczas zaledwie dwa tysiące pozycji. Trzeba się spieszyć. Każde dodatkowe nazwisko ratuje kogoś od zmiany adresu. Stwierdziwszy, że zbyt surową przeprowadzili poprzednio selekcję, przerzucają od nowa skrzynki, szukając jakichkolwiek, choćby raz zasłyszanych nazwisk.

- Katzenellenbogen Maurycy, ulica Wszystkich Świętych siedemnaście? - rzuca doktor Kirsche pytająco.

- To brzmi rozwlekłe - mówi spoufalcony całonocną pracą doktor Henryk. - Musi pan dobierać, panie prezesie, krótsze nazwiska, na przykład Schmidt, Bąk itp. Tak czy owak nie zdołamy wypełnić kontyngentu, a taki długi zabiera miejsce, to jest czas, dwóm krótkim...

Promienie wschodzącego słońca padają na papier, po którym biegnie niezmordowane pióro doktora Henryka. Brzęczenie budzących się na suficie much potężnieje, rozbrzmiewa jak wzywająca na Sąd trąba archanielska, przechodzi w warkot. Zajeżdżają. Na korytarzu słychać podkute kroki.

Było sobotnie popołudnie. Przez ulice, zasiane odłamkami szkła i puste, przemykał się czasem chyłkiem samotny przechodzień, by zniknąć pośpiesznie w jednej z wilgotnych sieni. Z okien biura ewidencji widok otwierał się na nie ogrodzone drutami miasto, falami will i sadów odchodzące ku wieczornej rzece. Brzęczały muchy. Chwilami, jakby licząc własne parkiety, skrzypiało wyschłe drewno podłogi.

Zatopiony w gorejącym popołudniu i w rachunkach doktor Henryk wyłączał kartoteki wysiedlonych. Czuł się spokojny, prawie szczęśliwy. Świat jest piękny. Nigdy już nie będzie akcji. - Tamto - to była pomyłka, źle zrozumiane pismo z Berlina, przeoczenie w jakimś biurze. I tamci wrócą kiedyś z Ukrainy, z dalekiej Ukrainy, dokąd ich wywieziono, wrócą ogorzali od robót polnych i powiedzą: „Proszę nas zameldować!”

„Zameldować? Natychmiast! - odpowie doktor Henryk, zacierając ręce. - Kartoteki na was czekają nietknięte, ułożone alfabetycznie w szafce z napisem Ü) (übersiedelt²). Nie spaliłem ich w piecu. Zachowałem je w największym porządeczku, abyście natychmiast po powrocie mogli się zarejestrować. Zobaczycie, jak to u mnie idzie. Stąd wychwycić, tu wrzucić - szast! prast! - i już się jest z powrotem między żywymi. Proszę! Zaczynamy! Nie pchać się, panowie i panie! Skończyły się wojenne czasy! Kartotek starczy dla wszystkich! Jak się pan nazywa?”

„Pan mnie dobrze zna! Niech pan sobie przypomni!”

Doktor Henryk, który w uniesieniu ostatnie słowa wypowiedział prawie głośno, podnosi głowę. Przed nim stoi znajoma skądś postać w słomianych chodakach.

- Czemu mi pan to zrobił?

- Co? Ja? Co ja panu zrobiłem?

² Przesiedleni.

- Pan nie wie? Pan nie pamięta? A kto wydał moje dzieci i mnie? Nie pan może? Pan myślał, że się pan mnie pozbędzie, ale się panu nie udało. Wyskoczyłem przez tylne drzwi i wbiegłem na stryszek...

- Ja nikogo nie wydawałem...

- Niech pan nie opowiada. Była lista czy nie była? Kto ją miał wystawić, jak nie pan?

- To było coś zupełnie innego. Tymczasowe wysiedlenie...

- Komu pan idzie opowiadać o wysiedleniu? Mnie? Pociągi szły na północ. My wiemy, co to znaczy...

- Ale ja tylko ratowałem. Ja spisywałem tych, których brać nie trzeba...

- A mnie - to pan nie mógł wypisać? A moich kociątek - to pan nie mógł wypisać? Co ja panu zrobiłem, że się pan uwziął mnie prześladować?

- Ale kto się na pana uwziął? Ja pana nawet nie znam. Nie wiem, jak się pan nazywa. Gdybym był pana znał, byłbym pana z pewnością wstawił.

- Pan mnie nie zna? A nie pamięta pan, jak przychodziłem w lutym prosić, żeby mnie wciągnąć na listę żywych, a pan nie chciał...

- No, widzi pan. Wszystko się zgadza. Jak ja mogłem pana wciągnąć na listę, kiedy pan nawet w spisach ludności nie figurował, na których podstawie przecież lista była wystawiona?

- A kto mnie wykreślił, jak nie pan? Pan się zaciął, żeby mnie zniszczyć za to, że się nie dość nisko kłaniam panu na ulicy.

- Czego pan chce ode mnie? Ja nawet nie pamiętam pańskiej twarzy. Mnie było wszystko jedno, kogo wybrać. Musiałem przecież kogoś wziąć, a kogoś opuścić. Ja jestem urzędnik, stary urzędnik firmy Fitechnik i S-ka z ograniczoną odpowiedzialnością...

- Niech mi pan nie opowiada, że pan nie jest odpowiedzialny. Wszyscy, co do tego rękę przykładali, są odpowiedzialni. Siebieście umieli ratować...

- A pan siebie nie ratował? Pan nie wyskoczył przez tylne drzwiczki na stryszek? Sam pan nie chciał bronić swoich dzieci, a żąda pan ode mnie...

- Nie chciałem bronić? Nie chciałem bronić? Spałem w pokoju, a one spały w kuchni. To co miałem zrobić? Iść się zgłosić do Niemców, żeby jeszcze jednego było mniej? Albo człowiek wie, co robi w takich razach? Patrzyłem ze stryszka, jak szły za Niemcami - cicho, grzecznie, jak do szkoły. Ona sobie zawiązywała wstążeczkę we włosach. Wszyscy jesteśmy winni. Boże, Boże miły!

W sali, pokratowanej i ponumerowanej sali ewidencyjnego biura, rozlega się po raz pierwszy nie przewidziany, bydlęcy ryk. Doktor Henryk zapomina strząsnąć rękę spoczywającą na jego ramieniu...

Minęło kilkanaście dni, zanim doktor Henryk odczuł pierwsze bóle głowy. Opierał się im dzielnie i nawet na złość sobie, przewyciężając wstręt, częściej niż zwykle urywał skrawek gazety i sięgał do kieszeni po szczyptę machorki. Zwalczanie jednak objawów nie było równoznaczne ze zwalczaniem

zła i kiedy na jego ciele pojawiły się pierwsze czerwone plamy, doktor Henryk, chcąc nie chcąc, prawie już nieprzytomny, zległ, a raczej został złożony przez współpracowników na łóżku między dwiema szafami ewidencyjnego biura. Do opieki nad nim przydzielono siostrę z miejscowego szpitala; odwiedzali go czasem znajomi. Raz nawet - był to jedenasty dzień choroby - przyszedł sam doktor Kirsche. Wbiegł do sali drobnym, ale za to dziarskim jak zwykle krokiem i już w progu zawołał:

- No! I cóż to pan za brewerie wyprawia? Czy tak się godzi? Nam tu robota pali się pod stopami, to jest - co ja mówię? - pod rękoma, a pan się wyleguje! No, wstawać, wstawać, stary leniuchu!

I w przystępie żartobliwości chciał go nawet poklepać po ramieniu, ale że był to bądź co bądź tyfus plamisty, więc zreflektował się i pogłaskał tylko kilkakrotnie poręcz łóżka.

- Precz! - krzyknął doktor Henryk, usiłując bezskutecznie sięść w pościeli i mierząc palcem w doktora Kirschego. - Precz! Nie dotykać! Poznaję cię, szatanie! To ty w nocy wkradasz się do biura i przewracasz kartoteki do góry nogami! To ty podrzucasz zwłoki w trupiarni, żeby się nie zgadzało. Ale wczoraj miałem audiencję u Hitlera i powiedziałem mu, że tak dłużej być nie może, inaczej będzie bunt, czyli wojna. Artykuł o tym był już w ostatnim komunikacie radiowym. Sam go napisałem i wysłałem specjalnym transportem na Ukrainę. Ale ty nie jesteś godzien tego słuchać. Odejdź!

- Doktorze - prezes przysiadł na stołku opodal łóżka - pan chyba nie zdaje sobie sprawy, kto ja jestem. Doktor Kirsche, prezes Rady, pański przełożony, autor... No, niech pan sobie przypomni. Niech się pan wysili.

- Nie, ty jesteś, stary, garbaty Volksdeutsch z ulicy Kąpielowej i w dodatku źle prowadzisz rachunki. Bo te rachunki robi się tak: - doktor Henryk zaczął kreślić palcem po kołdrze - tu dodać, tam odjąć - szast! prast! - byle było trzy tysiące pięćset.

- Chwileczkę! Więc pan twierdzi, że pan był dopuszczony na audiencję do Hitlera? Czy można wiedzieć, gdzie się ona odbyła?

- Gdzie się odbyła? To ty nie wiesz, że Hitler ma główną kwaterę na dole, w pokoju doktora Kirschego? Ostrzegałem go, żeby do niego nie zajeżdżał, bo on go zanudzi rozmowami o literaturze niemieckiej, a jego interesuje przecież tylko literatura rosyjska, ale on się uparł, powiada: „Władza może zajeżdżać tylko do władzy”.

- No... tak... słusznie... Więc ja już chyba odejdę... Do widzenia, doktorze... Życzę szybkiego wyzdrowienia...

- Zaraz... chwileczkę... Pan myśli, że ja to wszystko mówię na serio? Ja tylko sobie tak popuszczam cugli, żeby było weselej - jak się nazywa? - umierać. Ja pana dobrze znam, tylko nie chce mi się w tej chwili przypominać, kto pan jesteś... Niech pan posłucha. To jest szafa. Tu wszyscy leżą ułożeni. Czekają. Chce się - do żywych, chce się - do umarłych. Można wskrzeszać, można uśmiercać. Więc niech pan nie zapomni o jednej rzeczy...

- O czym?

- Żeby mnie także...

- Co żeby pana także?

- Żeby mnie także wykreślić z kartoteki...

Noc praworządności

- Na korytarz! Zbiórka!

W północną ciszę, przerywaną szelestem arkuszy, skrzypieniem piór i żuciem szczęk, okrzyk ten wpada jak chłasknięcie bicia. Zgarniając w pośpiechu papiery ze stołów, dławiąc się nie dojeżdżonym chlebem, wybiegają, popychając się, na mdło oświetlony korytarz. Z drugiej sali z tupotem butów wysypuje się gettowa milicja.

- W dwuszeregu zbiórka! Milicjanci do przodu, urzędnicy do tyłu! Prędziej! Prędziej! Gestapo pod bramą!

U drzwi wejściowych rozlega się potwierdzający warkot motorów.

Więc po to wyrwano ich o północy z łóżek? Nagła kontrybucja, której rozpisaniem i ściągnięciem mieli się jakoby zająć, była tylko pretekstem? Chodziło po prostu o to, aby bez zbytecznego szukania wydać wszystkich urzędników w ręce gestapo?

Stuk butów: gestapowiec. Wysoki, tym wyższy, że w sięgającej do kostek pelerynie, wodzi spod nasuniętego daszka oczyma po zastygłym na baczność dwuszeregu. Wie, że słowa, które padną z jego ust, mają być ostateczne, decydujące życiu i śmierci. Ale widocznie nic szczególnego nie wpada mu na myśl, bo po chwili milczenia rzuca niespodzianie:

- Wo ist Futschik?³

Pytanie zaskakuje. Trzeba chwili namysłu, by odgadnąć, że ów Futschik to znany spryciarz i faktotum, Fucek Poznański, który podczas poprzednich odwiedzin gestapowców, gdy przyjeżdżali jeszcze tylko na pijatyki, załatwiał im wódkę, kupony i dziewczęta. Ktoś odpowiada:

- Futschik ist im Zwangsarbeitslager.⁴

Ta krótka wymiana słów wywołuje jednak pewne odprężenie. Rozmawia, szuka Fucka, chce może skóry, może materiałów. Nie jest więc aż tak źle. Niektórzy osławiają się od razu do tego stopnia z położeniem, że stają na spocznij lub nawet wychodzą z dwuszeregu.

Lecz wnet się cofają. Z wejściowych drzwi za gestapowcem sypią się, łomocząc kolbami, esesowcy, niebiescy i czarni, a w ślad za nimi ukraińska policja. Robi się duszno i groźnie.

- Uważajcie - mówi gestapowiec po niemiecku - i zapamiętajcie sobie moje słowa do późnej starości, której niewątpliwie dożyjecie. Wasze dotychczasowe życie było jednym wielkim świństwem. Zajmowaliście się handlem, mordem rytualnym i protokołami mędrców Syjonu. Mimo to przebaczam wam i daruję wam życie. Chcę tylko waszego dobra. Trzeba mi trzech tysięcy pięciuset ludzi

³ Gdzie jest Fucek?

⁴ Fucek jest w obozie pracy.

z waszego miasta. Wy, którzyście się tutaj znaleźli, macie mi ich dostarczyć. Po dwóch was pójdzie z jednym z naszych, wyciągniecie ludzi z mieszkań, zgromadzicie ich u wylotów ulic, a potem odprowadzicie na dworzec kolejowy. Mieszkania pozamykać, klucze zabrać, doczepić do nich karteczkę z dokładnie wyszczególnionym adresem i nazwiskiem i wręczyć mnie osobiście na dworcu. Tyle. A wy - tu zwraca się do esesowców i ukraińskiej policji - stańcie za dwuszeregiem, kryjąc tak, aby jeden z was przypadł na każdą dwójkę.

Podczas tej przemowy nie wiadomo skąd wyrasta prezes Rady z papierami pod pachą i wtyka do ręki każdemu z urzędników po arkuszu. Otrzymanie papierka działa na nich od razu uspokajająco. Odnajdują się w znajomej atmosferze, odczuwają praworządność. Mrużąc krótkowzroczne oczy i garbiąc się, czytają w świetle jedynej na korytarzu lampy naftowej: Gasse... so und so... Alle mit Ausnahme von...⁵ po czym następują nazwiska. Ach, więc tak: brać należy wszystkich, prócz wymienionych w spisie. Ogarnia ich radosne poczucie, że jakkolwiek w eskorcie Niemców, idą między swoich jako wybawiciele. Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdzili, byli członkami wielu towarzystw filantropijnych, a i teraz przypadła im w udziale zaszczytna rola ratowania bliźnich, nielicznych co prawda, lecz - mój Boże! - lepiej, żeby zginęła część tylko niż wszyscy. Tymczasem stojący z tyłu policjanci repetują karabiny i stukają ich lufami między łopatki: „Kommt's!”

Trójki wychodzą w noc sierpniową. Blaszane dachy śpią cicho, polerowane księżycem. Wśród przegniłych, poczerniałych ze starości domów wieje tu i ówdzie, jak z piekarni, ciepłym powietrzem, wonią wody i pól, zmieszaną z odorem kanałów. Dalekie samochody tną nożami światła drzewa. To przyjeżdżają posiłki esesowcom. W jakimś oknie błyska przerażony płomień zapalniczki i gaśnie po chwili. Trójki rozchodzą się, przyczajone, brodząc po kostki w zielonym, szeleszczącym piachu.

Jedna z nich skręca w boczną ulicę czy raczej wąwóz, gęsto zarosły na obu stokach dzikim zielskiem. Na szczycie domy. To tu. Pochyleni wspinają się, parząc ręce o pokrzywy. Już każdy stara się iść jak najciszej, by nie obudzić śpiących. Już pragnie wyróżnić się w łowach. Śmiertelna gra wciąga.

Dryzg! Policjant uderzeniem kolby wywala zamkniętą skoblem bramę. Milicjant, porwany chęcią współzawodnictwa, kopie nogą w osiadłe do ziemi okno. I w drugie. I w trzecie.

- Po co? - mówi urzędnik. - przecież i tak wszystko otwarte.

- A tak sobie... Niech wszystko przepada, kiedy tak...

Wpadają do sieni o podłodze ubitej z gliny, otwierają nie domknięte drzwi. Z pokoju bucha ciężki odór wyziewów i potu. W otworze piekarskiego pieca tli się ogarek. Spod betów wyzierają nieprzytomne oczy dzieci. Ojciec, wysoki mężczyzna, z obrzękłą twarzą, ze śliną zastygłą w kącie ust, stoi pośrodku pokoju dyndając bezradnie rękoma. Policjant ukraiński nie wchodząc trąca urzędnika nie kolbą już, lecz łokciem, i zbliżony tym gestem, mówi poufale:

- Wejść ty, powiedz im, żeby się ubrali i wyszli. Ja poczekam w sieni.

- Ale czemu ja? Mnie nikt nie usłucha. Niech pan wejdzie.

- Ale tam są dzieci! Jakże ja wezmę ich na śmierć? Ja też mam dzieci.

⁵ Ulica... taka i taka.. Wszyscy z wyjątkiem...

Urzędnik rzuca się na policjanta i zaczyna go ścisnąć.

- Tyś dobry, powiedz, tyś dobry? Chodźmy stąd. Schowajmy się gdzieś. Po co mamy brać tych ludzi?

- Daj spokój - policjant ogląda się trwożliwie - daj spokój. Co robisz? Ktoś może zobaczyć. Mam rozkaz dostawienia stu pięćdziesięciu ludzi. Jestem za to odpowiedzialny. Ja mam dzieci.

Waha się. Jeszcze chwila, a odejdzie.

Wtedy ojciec rodziny, chcąc wyzyskać sytuację, przypada do nóg policjanta i obejmując je woła:

- Panie łaskawy, nie gub pan niewinnych ludzi. Całe życie pracowałem, podatki płaciłem... Za co? Za co?

Ale czy to, że błagalna natarczywość tego wpółubranego człowieka pobudziła go do oporu, czy też jęczący głos przypomniał mu o własnym autorytecie, dość że policjant odtrąca go mocno, aż ten upada na wznak, i rozjuszony nieodwołalnym już gestem, woła:

- Precz! Zbierać mi się natychmiast i wychodzić. Daję wam trzy minuty czasu, inaczej was tu powystrzelam jak psy.

Tymczasem urzędnikowi zmięty arkusz, który trzyma w ręku, przypomina o funkcji wybawiciela. Na spisie wyłączonych z akcji, pod adresem domu, gdzie się obecnie znajdują, figuruje nazwisko Rosenblum.

- Czy pan - woła ożywiony nagłą nadzieją - nie nazywa się Rosenblum?

- Nie - odpowiada tamten uradowany. - Ja się nazywam Rosenblau. To pomyłka. Państwo szukacie Rosenbluma. Tutaj nie ma takiego. Ja niewinny jestem. Całe życie podatki płaciłem.

- Ale nie o to chodzi. Pod waszym numerem powinna mieszkać taka rodzina i ta jest wyłączona z akcji. Błagam pana, niech się pan nazywa Rosenblum.

- Czego pan chce ode mnie? Co ja panu zrobiłem? Ja się nazywam Rosenblau, a nie Rosenblum.

- Czyż pan nie rozumie, że jedyną szansą ratunku jest, żeby się pan tak właśnie nazywał? No, niech się pan przyzna.

- Panie - szuka tamten obrony u policjanta - czego on chce ode mnie? Ja się nazywam Rosenblau, a nie...

- Rosenblum czy Hosenblum - ryczy ten nieludzkim głosem - jazda! A ty - zwraca się do urzędnika - nie próbuj mi przekręcać tego, co napisane, bo...

Rodzina gotuje się do wymarszu. Matka drżącymi rękoma naciąga dzieciom skarpetki, ojciec pakuje prowiant do plecaka. Sprawa jest już przesądzona i przedstawiciele władzy przestają się nią interesować. Policjant ukraiński otwiera szafę, wyciąga z niej tuzin chusteczek. Milicjant zagląda pod łóżko, znajduje tam buty, przymierza je, są dobre, siada na pościeli obok ubierających się dziewczynek, rozsznurowuje półbuciki i naciąga buty.

- Jak panu nie wstyd! - mówi urzędnik.

- At - odmachuje się ten gniewnie. - Daj mi pan spokój, panie Edku, ze swoimi morałami. I tak wszystko przepadnie. Przynajmniej w butach przed śmiercią pochodzę. A zresztą, to jest mój kuzyn i ja po nim dziedziczę.

Ogarek dogasa. Pełnia świeci prosto w okno.

Gdy wychodzą na ulicę, milicjant dotyka z zadowoleniem cholew butów. Policjant z zadowoleniem wyciera nos w czystą chusteczkę.

U wylotu ulicy czernieje grupa ludzi, powiększana wciąż bocznymi dopływami. Obok statecznym krokiem spaceruje gestapowiec w towarzystwie szesnastoletniego Hitlerjunge.

- Ach, das ist eine saubere Arbeit!⁶ - zachwyca się chłopiec.

Edmund podchodzi do gestapowca, staje na baczność, podczas gdy milicjant przezornie się wycofuje.

- Herr Obersturmführer - mówi po niemiecku - myśmy przez omyłkę wzięli ludzi, którzy w myśl rozkazu powinni być wyłączeni z akcji.

- Ach, tak. A to dlaczego? - uśmiecha się dobrodusznie gestapowiec.

- Bo oni się nazywają Rosenblau, a na liście było błędnie podane Rosenblum. A może odwrotnie: oni nie chcą się przyznać do nazwiska Rosenblum, bo myślą, że...

- Ach, to nie czyni najmniejszej różnicy: Rosenholz czy Rosenklotz. Ha! Ha! To dobre, co? - zwraca się do chłopca. - No, stawać. Uwzględnimy to na miejscu przeznaczenia. A teraz jazda. Ty też - mówi łaskawie do Edmunda - ty też, kochanie. Za twoją praworządność...

Edmund staje posłusznie w gromadzie. Już się roztopia, już spadają zeń resztki osobowości. Żaden przyjaciel nie rozpozna już go teraz, tak podobnego do innych, tak bezimiennego. Myśli o matce, o siostrze. Myśli o pociągu, który go zawiezie w nowy, obłąkany świat. Nie słyszał jeszcze o krematoriach, o komorach gazowych: jest rok pański 1942. Przed nim ziele pustka, stworzona przez niewiedzę, zejście do niewyobrażalnych piekieł, po których snują się ludzie już dawno umarli. Ostatni raz spogląda ku czerniejącym na świetlistym niebie wieżom kościołów i zarysom gór dalekich. Odwraca się i chwiejnym krokiem wstępuje do formującej się czwórki.

Orgia praworządności szaleje wciąż nad miastem. Rodziny adwokatów oraz doktorów dowiedziawszy się o akcji pakują prowiant i jedną zmianę bielizny do plecaków i wychodzą lojalnie na punkt zborny. Plac targowy, pusty przed chwilą i ożywiony jedynie przez przemykające się bezszelestnie koty, wypełnia się maszerującymi kolumnami. Ciemność staje się gwarna i tłoczna.

Jedyną niepraworządną istotą w mieście jest obecnie Fifi, mały rasowy pinczer, który wskutek posiadania nierasowego pana musi siedzieć pod podłogą w skrytce. Pan jego jest adwokatem, pani - adwokatową. Oprócz nich znajduje się tam jeszcze czteroletnia Ada, bardzo zadowolona ze zmiany warunków mieszkaniowych, która, nie zwracając uwagi na przerażone gesty rodziców, rozkopuje łopatką ziemię w kąciuku. Bawi się w skrytkę.

⁶ Ależ to świetna robota!

- Ale ty mnie nie zdradź - mówi szeptem do Fifi, grożąc mu palcem. Ale Fifi zgoła nie zamierza zachowywać się, jak na psa adwokackiego przystało, to znaczy siedzieć cicho lub też z milczącą godnością wyjść na punkt zborny, gdzie by go niewątpliwie wyreklamował jakiś dobroduszny esesowiec. Fifi zwęszył na ulicy kolegę. Jest nim nierasowy esesowski kundel, który biegnie za patrolem, znudzony bardzo pustką ulic i brakiem jakiegokolwiek godziwej rozrywki, jak na przykład szarpanie nogawic. Wściekłe ujadanie Fifi wywołuje słuszny lęk pana, który w celach zapobiegawczych ściska drżącymi palcami kosmate gardziołko. Fifi, jak każde stworzenie, umiera niechętnie. Drapie nóżkami pana w brzuch, usiłując równocześnie polizać go w twarz. Patrol esesowski przechodzi tymczasem, nie zwróciwszy uwagi na podziemne ujadanie. Fifi leży na kolanach mecenasa, charcząc i tocząc z pyszczką krwawą pianę. Panu teraz wstyd przed psem. Jakże mu spojrzeć w oczy po tym, co między nimi zaszło? I aby uniknąć wstydu, kończy rozpoczęte, choć teraz już niepotrzebne, dzieło. Psi trupek stygnie na kolanach z wywalonym chropawym językiem. Nierozumny! A mógł być psem esesowca.

Tymczasem przed opustoszałe domy zajeżdżają sprawnie rzędy samochodów, z których wyskakują dziarscy esesowcy. Jeden z nich zbliża się do dowodzącego kolumną gestapowca i podnosi prawą rękę:

- Hei'tler.

- Hei'tler.

- Potrzeba mi dziesięciu ludzi do ładowania mebli.

- Dobrze. Proszę wybierać.

Esesowiec podchodzi do kolumny, która automatycznie zwraca się ku niemu frontem. W rękę szpicruta, wargi w ciup. Dziesięć machnięć, dziesięć gwizdnięć, dziesięciu ludzi występuje z szeregu.

- Glückauf!⁷ - woła życzliwie gestapowiec w ślad za Edmundem, który należy do dziesięciu wybranych.

- Na pierwsze piętro! Brać meble i ładować na auta!

Tragarze, starając się nie patrzeć na ruszającą kolumnę, biegną po schodach do opustoszałych pokoi, gdzie świecą się jeszcze nie zgaszone lampy, otwierają szafy i stają na chwilę odurzeni zapachem naftaliny, olśnieni białym bogactwem obrusów, serwisów, sreber. Ale już z pierwszą wyrzuconą dnem do góry szufladą obojętnieją; już lecą na podłogę bez różnicy koszule, ubrania, zegarki; już brodzą ze złą radością w grubej warstwie tego, co niedawno było ludzkim życiem. Jakiś esesowiec wpada do pokoju: - Was gafft ihr? Los!⁸ - Zrywają się. Policzki mają wydęte od porwanych mimochodem z kuchni kostek cukru i kawałków masła. Biegiem znoszą po schodach meble, naczynia i pościel w takt komendy i spadających miarowo na ich plecy pałek. Starannie, aby czego nie uronić, składają każdy gatunek dobytku na specjalny samochód.

Edmund, który dźwiga wspólnie z tragarzem biurko, potyka się na zakręcie schodów i wypuszcza je z rąk. Słyszając łomot, esesowiec, oburzony marnotrawstwem dobra publicznego, dopada do tragarza, którego ma pod ręką, i okładając go żwawo szpicrutą, powtarza w formie nauki moralnej:

⁷ Powodzenia!

⁸ Czego się gapicie? Jazda!

- Wir sind keine Bolschewisten, um Möbel kaputt zu machen⁹.

- To ja zrobiłem - mówi lojalnie Edmund.

Przecisnąwszy się obok biurka, esesowiec przyskakuje do Edmunda. To, że ktoś wmieszał się w jego jurysdykcję, że śmiał dyskutować o słuszności jego uderzeń, przekracza dlań miarę wszelkich wykroczeń.

- Kogo bić należy, o tym decyduję ja, ty...

Świst szpicruty. Lecz Edmund czuje tylko pierwsze uderzenie. Krew, która rzuca się natychmiast do ust, działa kojąco. Tylko wciąż bezbolesna burza nad głową i twarz esesowca we mgle z zagryzionymi wargami. Dojrzał krew; lewa ręka maca kaburę rewolweru: chce wykończyć. Wtem wzrok jego pada na biurko. A kto je doniesie na dół?

Świst ustaje.

- Brać i nieść dalej!

Edmund chwytając nadłamaną ławę i winduje ją z trudem na samochód. Rozgląda się dokoła: nikogo. Esesowcy zajęci są bobrowaniem po szafach. Miesiąc zaszedł. W ciemności szemrze granica wyklętego miasta, rzeczka. Na brzegu z lewa widać ogień. To jakiś policjant pali papierosa. Ominąć go, przebrnąć przez wodę, a tam, po drugiej stronie - zboża, drzewa, proste domy w powodzi sadów, przyjaciele - świat.

Na ulicy Ogrodowej jest willa pod blachą, skryta wśród jabłoni, na których pęcznieją już zalążki owoców. Wschodzące słońce napętnia okna różami i fioletem. Lecz jej wewnątrz dalekie jest od sielanki. Pani domu, leciwa, lecz wciąż jeszcze fertyczna radczyni, nie uczesana, w szlafroku w kwiatki, z papierosem w ustach, biega tu i tam po pokoju. W kącie stoi z opuszczonymi rękoma młody czarnowłosy mężczyzna.

- Nie, tak dłużej być nie może. Ani chwili dłużej.

- Ależ, droga pani, przecież to biały dzień. Gdybym był wiedział godzinę temu, zaraz kiedy przyszedłem. Jakże ja teraz wyjdę i dokąd?

- A skądże ja mam wiedzieć, dokąd pan wyjdzie? Ja przecież nie mogę myśleć, a tym bardziej ginąć za kogoś. Gdybym wiedziała dawniej, że pan bez uwagi na mój spokój będzie nas nawiedzał po nocach, nigdy bym nie pozwoliła Romkowi przyjaźnić się z panem.

- Ale dlaczego ginąć? Dlaczego zaraz ginąć? Przecież tu nikt nie chodzi. Ta ulica jest bezpieczna.

- Właśnie dlatego tutaj będą najbardziej szukać. A zwłaszcza w moim domu. Do mego domu przyjdą... Policja.. Do mego domu... Strzelili... Pan słyszy?

- Ależ, droga pani, ja przecież przyszedłem parę dni temu zapytać, czy podczas akcji nie mógłbym być u państwa. Pani się zgodziła...

⁹ Nie jesteśmy bolszewikami, aby niszczyć meble.

- Cóż z tego, że się zgodziłam? Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że będą szukać na tej właśnie ulicy.
- Ależ tu nikt nie szuka.
- Nie szukają, to będą szukać. Zobaczy pan.

Radczyni spogląda na czarnowłosego mężczyznę i na widok jego pokiereszowanej twarzy ogarnia ją nagłe współczucie. Jest przecież kobietą.

- Dobrze już, dobrze. Ale pan nic nie jadł. Zaraz panu przyniosę.
- Nie, nie, dziękuję.
- Ale zje pan, koniecznie pan zje.

Wybiega do kuchni i przynosi pełny talerz wczorajszych pierogów. Po chwili przypomina sobie, że nie wypada podawać bez nakrycia, otwiera szafę, wyjmując obrus i zaściela stół.

Czarnowłosa mężczyzna wie, że powinien odmówić. Należy być dumnym. Ale przede wszystkim jest bardzo głodny. Więc siada i je.

Pani domu przygląda mu się z niekłamany zadowoleniem.

- Dobrze, co? Sama gotowałam. Niech pan je, niech pan się dobrze naje. Nie wiadomo, gdzie pan dziś wieczorem będzie jadł. Może pan jeszcze pozwoli? Pierogów pan już z pewnością nie zobaczy. Niech pan je, niech pan je.

Wybiega do kuchni po drugi talerz. Z sypialni wysuwa się nie uczesana, bez przedziałka, głowa Romka. Jest to syn radczyni, przed wojną sceptyk bez wąsów, dziś mistyk z wąsami.

- A co ty tu robisz? Czemuś taki pokrwawiony?
- Nie słyszysz, jak strzelają? Akcja.
- Akcja? - Romek błędnie nieco. - Akcja? I jakżeś ty się tutaj dostał?
- Dużo by gadać. Uciekłem im z rąk, przeszedłem przez rzeczkę, a potem zbożem - aż tutaj. Przecież umówiliśmy się, że w razie akcji przyjdę do ciebie.
- No tak, ale... No i co?
- No i nic. Matka twoja chce, abym natychmiast stąd odszedł.
- Odejść stąd? Nigdy, póki ja tu jestem. Nie na to jadaliśmy tyle lat ze wspólnej misy. Co mama wyprawia? Jak mama śmie wypędzać Edka?

- Śmie? Jak się ty wyrażasz do matki, która cię własnym mlekiem wykarmiła? Tyle dni, tyle nocy nie przespanych po to, żeby własny syn mówił teraz do mnie „śmie”. Całe życie ci oddałam. I za to nagroda: „śmie”. O, nie mogę, nie mogę.

Zanosi się płaczem i pada na łóżko, to znaczy mdleje. Syn rzuca się, by ją ocucić. Gdy wreszcie matka otwiera oczy i zapala papierosa, wyprowadza dyplomatycznie przyjaciela do drugiego pokoju.

- Słuchaj, Edziu, musimy znaleźć jakieś wyjście. Wiesz przecież, matka... Mnie jednego ma. I ta ulica jest niebezpieczna. Tu ciągle chodzą patrole. Musimy coś uradzić. Najlepiej, gdybyś poszedł na stryżek do komórki. Tylko prawda, że tam mieszka praczka i wszystko będzie słyszeć. Albo - mam świetny pomysł. Pójdiesz na strych do nas. Tylko prawda, że mama nosi zawsze klucze przy sobie. Najlepiej byłoby, gdybyś wszedł po prostu do szafy, a ja bym cię zamknął na klucz. Tylko prawda, że mama otwiera szafę dziesięć razy na dzień. Zastanówmy się, zastanówmy się. Chwileczkę. Wiesz co? Może byś po prostu wyszedł stąd nieznacznie, tak aby nikt nie zauważył, skąd wychodzisz. Masz tylu przyjaciół. Tędy teraz nikt nie chodzi.

- Przecież sam mówiłeś, że tu chodzą patrole.

- Mówiłem, że będą chodzić. Na razie jest spokojnie. Ja rozumiem, że to przykre, ale... Muszę mieć wzgląd na matkę. Ją jedną tylko mam. Jej życie jest mi droższe ponad wszystko. Cóż zresztą warto jest to nasze życie? Przecież nieraz ironizowaliśmy na ten temat, pamiętasz? Vanitas vanitatum itd. A zresztą możesz się śmiać ze mnie, ja teraz wierzę w Boga, a jeżeli nie w Boga, to w jakąś siłę wyższą. Ja wiem, że dla ciebie w obecnym położeniu jest to niepojęte, ale Bóg nie wgląda w drobne niesprawiedliwości świata. On kieruje całością. Patrz, jaki świat jest piękny. Kwiaty pachną, ptaki śpiewają, słońce świeci. Czyż to możliwe, aby wszystko to było dziełem przypadku? Popatrz na tę rosę na liściach, na gąsienicę na drzewie. Nie, Bóg jest i trzeba się poddać jego wyrokowi. A zresztą, spodziewam się, że dasz sobie jakoś radę.

Romek wychodzi z pokoju, by dokończyć cucenia matki. Poza tym musi się ogolić, napudrować i naperfumować, gdyż na dziesiątą jest umówiony z córką aptekarza, sympatyczną blondynką.

Edmund nie oczekuje już jego powrotu. Zniósł pierogi i omdlenie, ale rozmowa z tym wierzącym jest ponad jego siły. Chytkiem, skradając się, by nikogo nie skompromitować, wychodzi przez werandę do ogrodu, pełnie pod krzakami agrestu, aż wreszcie wydostaje się na ulicę.

Z sąsiedniego podwórza wychodzi kobieta z dzieckiem na ręku. Za nią patrol.

Znacznie niższy poziom kulturalny niż w willi pod blachą panuje w sąsiednim domku pod gontami, gdzie obok mieszkania znajdują się zabudowania gospodarskie: oficyna, stajenka, stodoła. Na podwórzu - bróg zbożowy z wetkniętymi widłami i żuraw studzienny. Gospodarz, znajdujący się obecnie na strychu nad oficyną, mówi szeptem do kogoś niewidzialnego:

- Czegóż się, do cholery jasnej, słomą lepiej nie zakryjecie? Tu jeszcze jeden snopek - i tutaj... Za dwie godziny jużście całą słomę wygniotły. Wyście nawet nie słyszały, co się tu działo w nocy. Przelazła przez płot na moje obejście jakaś zmara. Niby to adwokatowa, co dawniej koło nas mieszkała, z dziewczynką, tą małą Adą. I żeby prosto do mnie, a to najpierw musiała zajść do Mielniczkowej, tej jędzy, i do wolowatej Strzelbickiej.

- I co pan zrobił? - niebieskie oko wзира spoza snopów.

- A co miałem zrobić? Wyrzucić na pewną śmierć czy co? Zaniknąłem w oficynie, niech se siedzi, póki co. Tylko na miłość boską, leżcie cicho, żeby tamta was nie słyszała, bo nigdy nic nie wiadomo. A pani niech nie płacze za synem, bo to słyszać na dole. Pani Edek też tutaj trafi, zobaczy pani.

- A pan się nie boi? - pyta głosik córki spod słomy.

- A co bym się nie bał? Ty byś się nie bała, gdybyś miała taką biedę na głowie? Dwie na górze, dwie na dole, dopust boży. Czekajcie, zaraz wam mleka...

Z dołu od studni rozlega się gęsty, jak turkot wozu, jazgot babi. To jędza Mielniczkowa i wołowata Strzelbicka roztrząsają zajścia ostatniej nocy.

- Ażeby pani łaskawa wiedziała, że u mnie też była. Akurat mój stary wrócił zalany, a ja do niego; „Co ty, golibrodzie zakazany, sumienia nie masz, żeby ślubną żonę na śmiech ludzki wystawiać”, a on do mnie: „Za swoje piję, nie za cudze”, a ja do niego z miotłą, a tu słyszę: ktoś puka do drzwi. Otwieram, stoi ta z dzieckiem, powiada, że ich ze skrytki z mężem wzięli, że męża zabili, a ona z dzieckiem uciekła. I pomyśl pani, pyta, czybym jej nie przenocowała. Wielki gwałt - mówię - że ci męża zabili. Mnie by mojego zabili i aniby pacierza nie zmówiła po pijaku zatraconym. Wont - mówię - wont! I ani mi się na oczy pokazuj! I co z tego, że ty adwokatowa? I ja bym adwokatową była, jakbym szkoły miała. Idźże se - mówię - na cztery wiatry, pókim dobra. A co, a co jej pani łaskawa powiedziała?

- Nic nie powiedziałam, tylko mówię: „To ty sumienia nie masz ludzi po nocy napastować? Ja cały dzień ciężko haruję, na targ wynoszę sprzedawać, a ty mi jeszcze spać nie dasz?”

- I poszła?

- Poszła.

- A gdzież ona mogła pójść? Ha?

- A gdzież by, jak nie do tego farmazona pod bokiem? Patrzałam za nią i wszystko widziałam. Przelazła bez płot na jego podwórze.

- A gdzież się ona podziała? Na podwórzu jej nie ma.

- A co by miała być na podwórzu, kiedy on sam do niej wyszedł i jeszcze ją niby jaką panią do oficyny zaprowadził? Farmazon, Boga się nie boi, na mszę świętą nie chodzi. Sama widziałam.

- A ja widziałam, jak niósł garnek mleka do oficyny.

- No, i widzi pani, widzi pani.

- Pewnie mu już za to mleko parę tysiączków wybuliła.

- I na co im tyle pieniędzy? Mało to mają? Krowę, konia, świniaka nie kolczykowanego. Wiadomo, kto ma, temu zawsze przybywa. Nie bój się pani, porządnych ludziom się taka okazja nie trafi.

Z okien wychylają się rozczochrane ze snu głowy kobiet, zbudzonych donośną i interesującą rozmową. Z przeciwka wygląda policjantowa, której mąż pełni właśnie służbę.

W oficynie kobieta tuli dziecko do piersi.

Na strychu gospodarz zasypuje gorączkowo kogoś snopkami, zeskakuje i wybiega na podwórze. Widzi przechodzący ulicą patrol niemiecki. Słyszeli, czy nie słyszeli? Jeśli słyszeli, zginie on z żoną i dziećmi, dwie kobiety na górze, kobieta z dzieckiem na dole. Jeżeli nie... tak czy owak zginą. Pogłoska rozejdzie się migiem po ulicy. Z przeciwka wygląda policjantowa. Uśmiecha się, ścierwo! Za godzinę będzie

rewizja. A Mielniczkowa patrzy w ślad za odchodzącymi Niemcami, zastanawia się, czyby nie pobiec za nimi.

Wchodzi do mieszkania. Żona, już ubrana, wita go przerażonym spojrzeniem. Dzieci jeszcze śpią.

- Zginiemy wszyscy przez ciebie.

- Idź do krowy. Słyszysz, jak ryczy! Chce się doić.

- Ale, Janku, słyszałeś, co jęcza z wołowatą mówiły? Mielniczkowa już gdzieś pobiegła.

- Do krowy idź - mówi Jan takim głosem, że żona czym prędzej bierze skopiec i wychodzi do stajni.

Po chwili Jan jest znowu na podwórzu. Już odzyskał spokój. Wspina się na stryszek.

- Leżcie teraz cicho i ani mru-mru. Tu będzie policja za chwilę.

- Policja? Nie trzeba. My same się zgłosimy i powiemy, żeśmy tu przyszły bez waszej wiedzy.

- Do cholery z zawracaniem głowy. Leżcie cicho.

Jan zeskakuje. Po pięciu minutach wraca z esesowcami, którym tłumaczy coś, gestykulując zawzięcie:

- Hier.. bei mir... Frau mit Kind. Kommen... in Nacht. Wollen melden, nicht können. Jetzt melden... in der oficyna...¹⁰

Kobiety na strychu słyszą pod sobą stuk butów, czyjs szloch i westchnienia, głosy: „Raus, raus, aber prenko, sonst schiess ich”¹¹. Drzwi zatrzęsły się. Skrzypnęła furtka. Wiatr bije gałęzią jabłoni o dachówki. Nagle słychać głos „Halt”. Pada strzał. Znowu cisza.

Wtem wzdrygają się. Szelest słomy. Esesowcy. Nie, to Jan zziąjany, z żyłami napęczniałymi na skroniach.

- Odkryjcie się trochę, żebyście się na zadusiły. Wydałem tamtą, żeby ratować resztę. Powiedziałem Niemcom, że ją wziąłem naumyślnie do oficynki, żeby ją wydać. Jeszcze pożegnała się ze mną. Nie wiedziała, że to ja... Trudno, taki czas. Ot, teraz jeszcze jednego zabili pod moim domem. - Wychodził z drugiego podwórza. At! - macha ręką - było nie było. Lepiej, żeby dwie niż wszyscy. Trzeba ratować, co się da. Czekać, zaraz wam mleka przyniosę.

Jest już godzina dziesiąta i słońce praży z wysoka. Noc praworządności dawno minęła. Naładowane pociągi mkną na północ. Na placu targowym stoi samotny człowiek w nowych butach, w milicjanckiej czapce, wodzi oczyma dokoła, widzi okna rozbite, drzwi wywalone, wreszcie wyciąga z kieszeni coś błyszczącego, przechyla do ust i ciągnie długo, długo. Pani radczyni, spacerując po ogrodzie, zrywa pomidory na obiad. W parku na ławce siedzi Romek u boku blondynki i czyta jej swoje utwory.

Jan wychodzi w pole na żniwa.

¹⁰ Tu... u mnie... kobieta z dzieckiem... Przyszły w nocy... Chciałem donieść, nie mogłem... Teraz melduję... w oficynie...

¹¹ Jazda! Jazda! Ale prędko, bo strzelam.

Pamiętnik bezsensu

W tym okresie chodziłem jeszcze w kaszkiecie, z pięściami w kieszeni i z wąsami. Właściwie wesołe to były czasy! Ani domu, ani rodziny, ani przyjaciół - sam przeciw światu. Nocowałem na niewiarygodnych stryszkach, pełnych flaszek omszałych od pyłu i zbutwiałych szmat, lub w zbożu, którego kłosa podnosiłem starannie za sobą, aby zatrzeć ślady wejścia. Wiecie, jak kłaskają słowiki, jak pachną gwiazdy nad głową człowieka, który jutro ma umrzeć? Nic nadzwyczajnego! Tak samo, jak nad głową człowieka, który ma zamiar dożyć do lat osiemdziesięciu. Żadnej różnicy. Tylko kiedy budzisz się rano, mokry od rosy, a kukułka już kuka w dąbrowie, to zdaje ci się, jakoby głos jej, głuchy i rozległy, rozszerzał przestrzeń, nawiewał głębie lasów i dodawał nowe światy do już istniejących. Mały wysiłek, a zbudowałbyś sobie dom w głosie kukułki: prawda, że nietrwały.

By załatwić sprawy mojej spuścizny - chciałem ją, Bóg raczy wiedzieć czemu, uratować od zagłady - wychodziłem za dnia na ulice miasta, których bliżej opisywać nie będę, ponieważ jedyny ich szczegół, jaki mnie wówczas interesował, to - sylwetka wyłaniającego się czasem spoza węgła żandarma. Wkładałem wówczas kciuki za kamizelkę i z rozcapierzonymi palcami obu dłoni defilowałem przed nim pogwizdując. Słowem, szedłem ku śmierci po bohatersku i jedyną chyba skazę na moim heroizmie stanowiło to, że nie miałem innego wyboru.

Wracając wieczorem na nocleg i zaglądając przez opłotki do oświetlonych wewnątrz, widziałem, jak rodzina celebrytuje posiłek i talerze podwodnym ruchem przepływają z rąk do rąk. Poznawałem dziewczęta, które niegdyś kochałem, towarzyszy zabaw dziecinnych. Ej! gruchnąć by kamieniem w tę szybę, która cię od nich dzieli, i przynajmniej w ten sposób wejść w tę ich daleką, w tę ich niedostępną wieczerzę. Ale to - przemija. W gruncie rzeczy, cóż ludzie winni? Każdy dźwiga odpowiedzialność za swój los, na który przez to, co zrobił lub czego nie zrobił, zasłużył. I ja tą kruszynką życia, która mi została, chciałem zasłużyć na śmierć, na ludzką śmierć od kuli - nie w kark, lecz w czoło.

Bywało tak: idziesz ścieżyną wzdłuż rzeki, nad którą góruje szafirowy lot łątek. Dzień jest pogodny. Na przeciwległym brzegu rybak łowi od niechcienia wędką - nic chyba, prócz jej własnego odbicia. Od ruchów biegają przez powierzchnię kręgi jak uśmiechy. Po tej stronie para wołów z ociekającymi pyskami skręca u skraju zagonu, ciągnąc pług, za którym kuśtyka, pohukując, zgarbiony chłopina.

Nagle w oddali stuka dzieciół.

Lecz czyżby dzieciół? Rybak spoziera ku bielejącym murom miasta, nasłuchując przez chwilę, po czym, jakby rozpoznawszy znajomy odgłos i uspokojony już, pochyla się znowu nad gorączkowym pośpiechem rzeki.

Przechodząc obok rybaka, który - zdaje ci się - spogląda na ciebie, odwracasz głowę w przeciwną stronę. Ale i chłopiec idący za pługiem podnosi oczy i oto idziesz już w dwuszeregu spojrzeń, wyprostowany, patrzący przed siebie, z gestem przymusowej dumy. Przyśpieszony stuk dziecięcia przechodzi tymczasem w niedwuznaczny terkot. Podważasz kroku, aby uciec przed obrazami nachodzącymi cię wraz z dalekim stukaniem. Ale - przypominasz sobie - śpieszyć się nie wolno. Gdyby cię ujrzeni biegnącego, i oracz, i rybak rzuciliby się za tobą natychmiast w pogoń. Że jednak nie uciekasz, więc to - musi - jakiś pan, któremu wszystko wolno. „Hej-ta!” nawołuje znów na woły

chłopina, gdy rybak wyszarpuje z wody wędkę wraz z kołyszającą się na jej końcu srebrną płótką. Ty tymczasem skręcasz gdziekolwiek w zarośla, rzucasz się na ziemię, próbujesz zatkać uszy palcami, ale na próżno, terkot dochodzi i tak, skowronek świergoce wysoko w niebie. Dokoła zarośla kratkują pejzaż, rosną pokrzywy i dmuchawce, wszystko niejadalne, żuki pełzną i znikają w podziemnych norach. Mijają godziny.

Czasem bywa, że zmęczony łażeniem po polach i lasach i wychudzony do cna, wdrapiasz się wieczorem na jakiś stryszek, przez którego szpary sączy się księżyc, zakopiesz się w siano po uszy i śpisz jak suseł. Rano ktoś cię szturcha widłami: to gospodyni podbiera siano dla krowy. Budzisz się, przecierasz oczy, otrząsas z żdźbła i prezentujesz się. Babina, oczywiście, lamentuje, wyrzeka. Po chwili znika: ty tymczasem przygotowujesz się na najgorsze. Niebawem jednak wraca, uśmiechnięta, jakby nigdy nic.

- Przyniosłam panu pierogi - powiada - na śniadanie. Przeglądował się pan pewno bez ten, czas cały, co?

No, i zostajesz przez kilka dni, czasem dłużej. Powoli babina zadomowia się na stryszku, zostaje tu - w tajemnicy przed mężem - na dłuższe pogawędki. Zazwyczaj uważa się na robotę koło chudoby.

- A mąż? - pytasz.

- Iiii, jaki tam mąż z niego? Tyle że nazwa sama, a pociechy to żadnej. Ot, chory teraz leży - ani do pomocy w domu, ani... Krowa mi się celiła, mówię mu: „Idź, dopilnuj”. Nie pójdzie. Becuchsajny dają, mówię mu: „Idź, wyfasuj”. Nie pójdzie. Nie wiem, czym zgrzeszyłam, że mnie Pan Bóg takim łamagą pokarał. A śniadania to czemu pan nie je? Młodemu mężczyźnie zjeść potrzeba, żeby siły miał. Aby zdrowie było, to grunt. I aby pan cicho siedział, bo Niemczyska z psami po polach chodzą i jakby - broń Boże! - co do czego, to - uchowaj Boże!

- Nie wiem, doprawdy, jak pani dziękować, pani...

- Maryjo. Niech mnie pan nazywa Maryją.

- Maryjo. Jestem bez bliskich, bez broni, bez rady. Gdyby choć jakaś partyzantka była w pobliżu...

- Et, na co panu toto? Żeby guza oberwać? Taki młody mężczyzna - żeby rwał się do partyzantów? I po co? Żeby się panu co niedobrego przytrafiło? Leż se pan, jak panu dobrze, i odpoczywaj. Maryja będzie o panu pamiętać...

Muszę przyznać, że osobiście mam szczęście do takich niewyraźnych, drażliwych i groteskowych sytuacji. Innym podjazdy, zamachy, wypadki, a mnie - romans z babiną na stryszku. I gdybyż choć istniały kryteria pozwalające rozstrzygnąć podobną kwestię. Ale nie ma. „Postępuj tak, aby postępowanie twoje mogło zawsze stać się zasadą ogólną” - mówi Kant. Ale czyż może być zasadą ogólną, aby ulegać pokusom babiny na stryszku - i to jeszcze w tak tragicznych czasach? Lub czyż może być zasadą ogólną, aby oddać życie za niewinność - i to jeszcze tak wątpliwą - jak moja? Chwyta się człowiek za głowę i zajęczałby, gdyby nie wzgląd na bezpieczeństwo. Wreszcie - po dłuższych rozmyślaniach - postanawia decyzję odłożyć.

Postanović - łatwo, wykonać jednak trudniej, zwłaszcza gdy babina przynosi trzy razy dziennie pierogi, w chwilach zaś przyływu czułości nawet placki kartoflane. Kiedy wreszcie zaczyna karmić

pączkami na maśle, sytuacja staje się tak nagła, że chcąc nie chcąc na jakiś czas musisz upozorować chorobę: z dostarczanych gazet wynika, że wojska sowieckie znajdują się już zupełnie niedaleko, wszystkiego o jakieś tysiąc sześćset kilometrów. Po upływie jednak dwu lub trzech dni dobrodziejka zaczyna się niecierpliwić: jej gościnność nie pozwala na uszczuplenie wikt; gazety natomiast pojawiają się coraz rzadziej, aż znikają zupełnie. Wiadomości z frontu, które przynosi teraz ustnie, stają się coraz mniej pocieszające. Tak na przykład pewnego razu, wysunąwszy głowę przez otwór w pułapie i stawiając na sianie talerz z kołdunami, szepce:

- Stalin się odmówił - po czym nie pojawia się przez półtora dnia. Przez cały ten czas pochylasz się co chwila z gorączkowym niepokojem ku otworowi, by dojrzeć, czy ktoś nie idzie. Przychodzi dopiero pod wieczór, szeleszcząc nakrochmaloną spódnicą.

- Co miało znaczyć, że Stalin się odmówił? - pytasz, nie mogąc opanować zniecierpliwienia.

- Od komandy się odmówił - szepce. - Widzi, że dłużej nie wytrzyma. Niemców okrutna siła jechała wczora bez miasto: może dwadzieścia harmat - abo i więcej. No to i co on poradzi? Lepiej od razu się odmówić niż wstydu po próżnicy się nabrać.

- A komendę kto po nim objął?

- A bo ja wiem? Drugi taki jeden... Mówili, ale mi wyleciało. I Turcja też przystąpiła do wojny - dodaje nagle. - Sama Kolankowa mówiła, co jej mąż za foksa u Niemców służy.

- A Turcja po czyjej stronie opowiedziała się?

- Po czyjej?... Niby z kim trzyma? Wiadomo, że z Niemcami. Nie głupia ona, żeby zdrową głowę pod topór kłaść.

Nie widzisz jej twarzy w ciemności, ale musi chyba wyglądać bardzo makiawelicznie. I wtedy - dla ocalenia sytuacji frontowej - przyciskasz naprędce usta do jej włosów. Na szczęście krowa ryczy w tej chwili, domagając się wydojenia. Na drugi dzień do obiadu Stalin obejmuje z powrotem dowództwo, a Turcja wycofuje się z niepotrzebnej awantury.

Po cóż opowiadam w formie tak ogólnej i przykładowej tę dość kompromitującą i prawie nieprzyzwoitą anegdotę? Oto, by wykazać, że bywają sytuacje, z których nie ma godnego wyjścia i gdzie, chcąc nie chcąc, utkniesz w końcu nosem w śmieszność jak w błoto. Chociaż - i tu znów ogarniają mnie wątpliwości - w tym samym czasie zdarzyła mi się historia, która dowiodła czegoś wręcz przeciwnego.

W kilka dni po opisanym powyżej zajściu - wierciłem się właśnie na sianie, próbując zasnąć, gdy z lewa, od strony pobliskiego lasu, doleciała mnie palba karabinowa... Nie był to ów, znany mi skądinąd, monolog strzelniczy, zwiastujący polowanie na ludzi, lecz niewątpliwy dialog, pytania i odpowiedzi. Zgubiony w ciemności, ktoś walczył z Niemcami. Nasłuchiwałem w napięciu: strzały oddalały się. Wolność, musnąwszy mnie przelotnym skrzydłem, znów uchodziła - na jak długo? Na jak długo odchodzili partyzanci, las zielony, wolność i piosenka bojowa? Zasnąłem.

Zbudził mnie chrobot. Ciężkie ciało toczyło się postępując po sianie. Nagły błysk latarki wydobył z ciemności skurczoną w bólu twarz młodego czarnowłosego chłopca, który przy jej świetle, podwinąwszy po kolano nogawicę, oglądał, pochylony, swą łydkę. Znajomość zawarliśmy w ciągu

kilku minut. Niebawem leżał już, opatrzony, na sianie - postrzał był lekki - i w paru słowach opowiedział mi, jak odcięty podczas potyczki od swej grupy i raniony, przemycił się przez tyralierę niemiecką i po omacku dochromał aż tutaj.

Opowiadanie przerwał jękami.

- Noga? - zapytałem.

- Głupstwo noga - odparł. - Świerzb mam, to gorzej. W jakimś chlewie się nabawiłem. Ot! i wrzody już się porobiły. Lekarstwo teraz skąd dostaniesz? Życie sobaczce! A co do nogi - zostanę tu chyba parę dni, póki jej nie podleczę.

- Nie wiem - odparłem. - Sam tu jestem na wylocie i wnet chyba sobie pójdę. A gospodyni owszem, gościnną, tylko żąda pewnych usług w zamian. We dwóch będzie trudniej.

Usłyszałem jego cichy i - ku memu zdziwieniu - zgoła nie kpiący głos:

- A pan je - wyświadcza?

- Nie, na razie odwlekam. Mówiłem panu, że chcę stąd odejść.

- Przez takie głupstwo?

- Głupstwo - nie głupstwo, ale nieprzyjemnie. Wstyd handlować sobą.

Przez chwilę leżał w milczeniu, jakby się zastanawiał.

- U nas - powiada wreszcie - w oddziale, jeszcze w samych początkach, zdarzyła się podobna historia. Byliśmy jeszcze wtedy w mieście i przygotowywaliśmy się do wymarszu. Broni - jak pan się sam domyśla - prawie nie było: za stary grat, w którym bębenek trzeba było po każdym strzale palcem przesuwać, zapłaciliśmy sześć tysięcy złotych. Na jedenastu chłopów wszystkiego trzy sztuki. Kurier, którego Warszawa na okręg postawiła, stary niby partyjnik, z czteroletnim stażem więziennym, i ten nawalił. „Broni - powiada - partia wam nie da, bo sama nie ma. Radźcie sobie, jak umiecie.” Pokazało się później, że broń partia przysłała, a on ją, sukinsyn, na pasek puścił. Rozłożył się człowiek: dolarami - słyszę - później handlował. Ale - mniejsza. Mieliśmy w grupie dziewczynę, niewielką, czarniutką. Zosia się nazywała. Esesman jeden, Volksdeutsch, to aż do domu przychodził, złote dolary i świnki z za cholewy wyciągał, namawiał, żeby z nim wyjechała. Przychodzi raz Zosia na nasze zebranie w rozwalonej piwnicy i powiada tak a tak, esesowiec pieniądze mi pokazywał, a rewolwer - widziałam - ma wspaniały. „No i co z tego? - mówię jej. - W dzień go tak czy siak nie dostaniesz. Wieczorem trzeba go mieć i to jeszcze na odludziu. Umówiłabyś się z nim.”

Zosia kiwa głową. Patrzyłem na nią: być może, trochę pobladła.

„Dobrze - powiada - umówię się z nim na jutro, na dziewiątą, na cmentarzu, koło kapliczki.”

Pamiętam jak dziś ten wieczór, kiedyśmy szli, potykając się o nagrobki, grzęznąc nogami w kretowiskach lub w świeżych grobach, otrząsając z głogów tysiące kropel. Zaczailiśmy się obok kapliczki, mokniemy i czekamy. Słyszę: kałuże chlupoczą pod czyimiś krokami i widać światło latarki. Idą przytuleni, on w płaszczu wojskowym, ona w deszczowcu. Szeptał jej coś do ucha, a ona śmiała się, jak to robią kobiety w takich wypadkach, tylko trochę inaczej, wyższym głosem. Ale

rewolwer, cholera, trzymał w lewej ręce i trzeba było uważać, żeby nie wystrzelił, bo koszary blisko. Weszli do kapliczki. Tam ławeczka była. Podpełzłem, nadśluchuję. Wchodzę na czworakach do środka, słyszę: Niemiec zajęty, sapie. No, i... no, i dziewczynie tylko twarz juchą obryzgało...

- Rewolwerem?

- Co znowu? Żeby koszary całe zwabić? Siekierą...

- A ona?

- Cóż? Głowę oparła na moim ramieniu i płacze.

Leżeliśmy w milczeniu, paląc ukryte w dłoniach papierosy.

- Ta się nie miała czego wstydić - dodał nagle mój towarzysz - choć handlowała sobą.

- Ale nie dla siebie - odparłem. - Dla innych. Dla - sprawy. A co z nią teraz?

Towarzysz mój pomilczał przez chwilę, po czym rzucił szorstko:

- Na gaz.

Poczochnął się trochę na sianie, pomruczał coś do siebie niewyraźnie, po czym szepnął zasypiając:

- Ech! Sprawa! A skóra jak swędzi, tak swędzi.

Z dołu, ze stajni, dochodził łomot i sapanie krowy, układającej się do snu. Szedł zapach mleka. Obok mnie i na mnie szczury z dzikim piskiem gziły się, rzucały się na siebie lub może pożerały nawzajem: jeden z nich w rozpędzie, chlasnął mnie nawet nieowłosionym ogonem po twarzy. Na piersi poczułem ukłucie: partyzant - okazało się - przyszedł nie bez towarzyszek. Niedługo trzeba było ćwiczeń, aby opanować sztukę ich łowienia i, unieruchomiwszy je kciukiem, przesuwając z lekka po skórze tak długo, póki nie dostaną się między dwa paznokcie. Takie zajęcia ułatwiają rozmyślanie.

Zrozumiałem wówczas, w czym leży śmieszność mojej sytuacji: w jej bezideowości. Walczyłem tylko o własne życie. Niemcy, nie stawiając nam żadnych konkretnych zarzutów, pozbawili nas tym samym - z diabelską perfidią - godności cierpienia. Męczeństwo nasze było bezsensowne. Dziwili się ludzie, żeśmy szli na śmierć - masowo, potulnie jak baranki. Ale w imię czego mieliśmy się buntować? Narażać swe życie może tylko ten, kto walczy o coś więcej niż o życie. Umierać dla uniknięcia śmierci to - przyznanie - nie daje najmniejszego sensu. A już ja szczególnie... Za co ginąłem? Za wiarę, której nie wyznawałem? Za narodowość, do której się nie poczuwałem? Za bzdurę ginąłem, ot co! Nie było kompozycji w moim życiu, no, bo i skąd tu kompozycja?

Tak rozmyślałem leżąc na sianie, nasłuchując sapania krowy i pisku szczurów i szukając gorączkowo problematyki, do której by się doczepić, sprawy jakiegokolwiek, za którą by warto było się ofiarować. Ale sprawy tej nie było.

Jedyną dostępną sprawą było w tej chwili leżące obok i chrapiące ciało ludzkie. Okazyj do ofiar dawało ono, co prawda, niewiele. Nie bardzo wiedziałem, jak... Nagle ciało poruszyło się i, stękając przez sen, podrapało się lewą dłonią po prawej. Ten gest nasunął mi pewną myśl. A gdyby tak - w zamiarach cierpiętniczych - nabawić się świerzbu? Po paru dniach miałbym wysypkę, babina -

wiedziałem - nie pożałowałaby dla mnie niczego, nawet siarkowej maści, a - przy sposobności - może by to ją trochę odstraszyło. Partyzanta chowałbym przez cały czas pod snopami i, po wyleczeniu, hajda we dwójkę do lasu! A tam - wysadzanie pociągów, mostów, rabowanie kontyngentów i inne wyczyny.

Myśl ta przypadła mi do smaku tak dalece, że, nie czekając na obudzenie mego towarzysza (obudzony mógłby nie przyjąć ofiary), postanowiłem wprowadzić ją w czyn. Przysunąłem się doń bliżej i począłem nieznacznie pocierać o jego dłoń - moją. Ocknął się jednak. Sen miał nad podziw lekki!

- To pan z takich? - szepnął.

- Z jakich? Co? Na miłość boską, niech pan nie sądzi tak o mnie. Po prostu chciałem zarazić się świerzbem.

- Zarazić się świerzbem? Co za pomysł! A na cóż on panu?

- Z przyczyn psychicznych. Pan nie rozumie? Potrzeba ofiary. W ten sposób wy dostałbym od gospodyni maść, aby pana, o tyle wartościowszego ode mnie człowieka, partyzanta i bohatera, wyleczyć...

- A niechże pan da spokój z bohaterami. To dobre na powojenne czasy. Zobacz pan, jeśli pan dożyje, ilu się ich namnoży... Na razie do lasu idzie tylko ten, komu w domu się ziemia pali pod stopami. Weź pan chociażby nasz oddział: każdy by chętnie wrócił, gdyby miał dokąd. Nie ma bohaterów, są tylko sytuacje bohaterskie. Ale - wracając do pana - pański pomysł ze świerzbem zdradza jakieś... Wygląda to, jak gdyby pan poczuwał się do winy i chciał ją czymkolwiek okupić. I wreszcie - pańska samotność. Każdy z nas ma oparcie w jakiejś grupie. Pan wybrał się na tułaczkę - sam. Przecież w kupie - to o wiele łatwiej w takich czasach...

- Powiedział pan przed chwilą, że nie ma bohaterów, są tylko sytuacje bohaterskie. Odwrotność tego twierdzenia sprawdza się na mnie. Są tylko sytuacje upadające, nie ma... Mniejsza o to. Jak mnie pan widzi, byłem - pół roku temu - dowódcą pierwszej w naszym mieście grupy partyzanckiej. W moim mieszkaniu zorganizowała się pierwsza komórka. Tam uczyliśmy się obchodzenia z bronią, tam układali bojowy statut. Za zdradę tajemnic organizacyjnych - śmierć! Za wycofanie się - śmierć! Za utratę broni - śmierć! Jakie to naiwne dzisiaj i odległe.

Towarzysze mieli do mnie bezgraniczne zaufanie: pierwsze, jakie zdobyliśmy, rewolwery złożyli bez wahania u mnie. Trzymałem je pod podłogą, w skrytce. A tu w dzielnicy gęsto, szpilki nie ma gdzie wsadzić, a ludzie, oczywiście, nie ślepi, widzą, co się dzieje. Rozniosło się, że u mnie - co wieczora - zebrania. Prezes wzywał mnie do siebie: „Niech pan da spokój tej dziecinadzie! Po dobremu panu radzę!” Roześmiałem mu się w twarz. Kiedy indziej odwiedziło mnie Kripo. Wysoki, melancholijny Niemiec i dwóch Volksdeutschów. Zastali mnie nad tomem Szekspira: bardzo ich to ubawiło. Aż się za boki trzymali: „Unerhört!”¹² i łzy im ciekły po twarzy. Nie wiem, czy za bronią przyszli, czy za czym innym; nie bili mnie nawet; może nie chcieli wywoływać paniki; dość, że skrupulatnie opukali ściany i podłogę. Ale tajniak - jak to on - nie umie zachować skromności; nie dość, że jest chytry, chce jeszcze, aby chytróść jego podziwiano. W miarę opukiwania Niemiec śledził wyraz mojej twarzy; nie zdawał sobie sprawy, że ja obserwuję jego obserwację. No, i nic z tego nie wyszło. Poklepał mnie po

¹² Niesłychane!

ramieniu, zabrał budzik ze stołu i „Auf Wiedersehen!” Po ich wyjściu - był wieczór - wyjąłem szkatułkę spod podłogi i zakopałem ją w ogrodzie. Rano znalazłem tylko pustą jamę; złodziej, który mnie podpatrzył, nie zadał sobie nawet trudu, by ją zasypać. Nie będę się rozwodził nad szczegółami tej historii: przez parę dni unikałem moich towarzyszy. Aż pewnego razu - przed jakąś nocną wyprawą - zażądali ode mnie rewolwerów: „Nie ma - mówię. - Ukradli”. Patrzyli na mnie przez chwilę; widać było, że nie wierzą. Po chwili jeden plunął mi w twarz. Nie zareagowałem. Otarłem się i wyszedłem. Powinienem był wtedy popełnić samobójstwo. Nie zrobiłem tego. Ot! i żyję...

- Rozumiem. Ni tu, ni tam. Przez Niemców skazany na śmierć, przez Radę podejrzany, przez towarzyszy wyklęty...

- Właśnie. A co najgorsze, to nieistotność, drobność tego wszystkiego w tych straszliwych czasach. Moje problemy są tylko moimi problemami i wstydzę się po prostu narzucać je komukolwiek. Pytał pan przed chwilą, dlaczego wzdragam się przed wyświadczeniem drobnej przyjemności gospodyni. Otóż właśnie dlatego, że tu chodzi tylko o moje własne życie. Gdyby jakikolwiek sens... Dlatego chciałem zarazić się świerzbem.

- Czy pan broń ma? - zagadnął mnie niespodzianie.

- Nie. Straciłem ją wtedy razem z innymi.

- Tak. Ja mam, ale bez nabojów. Wystrzelałem wczoraj wszystkie...

- Że też człowiek płaci tak straszliwie za jedną chwilę słabości. Stchórzyłem wtedy, wyniosłem broń z domu, ale wie pan, że gdyby nadarzyła mi się powtórna okazja...

- Wie pan, nie wierzę w metamorfozy ludzi. To dobre w powieści. Sądzę, że w podobnej sytuacji zachowałby się pan identycznie. Pańska przygoda była nie tylko pechem, ale i symbolem...

- Zobaczylibyśmy...

- Może...

W południe - mimo wzmagającego się żaru dachówek - spaliśmy jeszcze po przegawędzonej nocy jak zabici, gdy obudziło nas suche uderzenie w dachówki. W otworze między opadającym poddaszem a podłogą stryszka, w miejscu, którą gospodyni w chwilach pośpiechu zwykła była wsuwać jedzenie, leżał przedmiot. Zamiast spodziewanego placka był to rewolwer w kaburze, colt sześciostrzałowy.

- Popatrz pan! - rzekłem do mego towarzysza. - Kto by się tego po niej spodziewał? Ciekaw tylko jestem, skąd go mogła wytrzasnąć.

- Ano pokaż pan! Co za cudo! No, taka broń - to i dach nad głową, i wikt, i opierunek. Mamy teraz z czym do oddziału wracać.

Nie mogliśmy się nim nacieszyć. Wyjmowaliśmy i wkładali magazynek, zabezpieczali i odbezpieczali na przemian. Wreszcie włożyłem go sobie pod wezgłowie i przytuliłem doń policzek.

W tej właśnie chwili dłoń olbrzymia, pięciopalczysta i rozcapierzona, przystanęła, milcząc, oderwana od wszelkiej podstawy, na brzegu stryszka, po czym pochyliła się ku sianu, myszkując w nim na wszystkie strony. Usłyszałem znudzony głos:

- Verflucht! Da hab ich doch meine Pistole im Heu versteckt.¹³

- Wieso¹⁴ - spytał inny młodzieńczy.

- Wollte im Fluss baden, da hab ich sie der Sicherheit wegen abgelegt. Sie ist irgendwo tiefer hineingefallen. Hab wirklich keine große Lust hinaufzukriechen.¹⁵

Ręka cofnęła się na chwilę, po czym, jakoby doznawszy przedłużenia od dołu, weszła ku nam aż po sam łokieć, odziany w zielone sukno. Widziałem w padającym z dachówek świetle rude włoski falujące na jej wierzchu, blade piegi i krótkie, gładko przycięte paznokcie.

- Da hab ich sie schon! Da ist sie! - usłyszałem radosny głos, podczas gdy dopiąwszy kaburę wtykałem bezszelestnie kolbę rewolweru między wiszące palce. - Na endlich! - Z pomrukiem zadowolenia cofnęła się ku pozycjom wyjściowym. - Das war aber ein Meisterstück von Geschicklichkeit¹⁶ - usłyszałem oddalający się głos.

Usiadłem z powrotem na sianie.

Byłem zmęczony.

- Oddałeś broń - stwierdził ktoś koło mnie.

Spojrzałem na mego towarzysza ze zdumieniem: zapomniałem o jego istnieniu. Oczy miał czarne i puste.

- Oddałeś broń po raz drugi!

- A cóż miałem począć? - krzyknąłem prawie. - Czekać, aż tutaj przyjdzie? Wiesz przecie, że nie był sam na dole.

- Masz rację - odpowiedział obojętnie, wyciągnąwszy się na sianie i, odwrócony tyłem, przeleżał milcząc do wieczora.

- Boże mocny! - rozebrzmiał szept w ciemności. - Co też ja mam z panem? Cały dzień Niemców pilnuję, żeby tu nie zaleźli.

- Jakich Niemców?

- Żandarmów. Kwaterować tu będą, bo w lesie partyzanty są. Dziesiątkę ich wczoraj rozciągnęli; kazali z gminy na forszpan jechać, żeby ich pochować. U mnie dwóch stoi, ładne chłopaki. Tylko koniecznie w stodole spać im się zachciało, bo w chałupie - mówią - duszno i mąż chory. Państwo moje! Ledwom

¹³ Cholera! Schowałem tu przecież rewolwer w sianie.

¹⁴ Jak to?

¹⁵ Chciałem się wykąpać w rzece, więc dla pewności odpiąłem go. Wpadł zapewne gdzieś głębiej. Nie mam doprawdy ochoty leżeć na górę.

¹⁶ Nareszcie mam go! Ależ to było arcydzieło zręczności.

się ich uprosiła, żeby poczekali do jutra, póki snopów nie podbiorę. No, i co ja mogę poradzić? Co ja mogę poradzić? - Usłyszałem chrzęst załamywanych palców. - Ale - głos się nagle ożywił - placków panu przygotowałam na drogę, a placków. Za parę godzin, jak wszyscy posną, może pan odchodzić.

Świt się już przecierał i mżył drobny deszczyk, gdyśmy - ja skacząc przez kałużę, on chromając w swych wysokich butach - szli przed siebie brzegiem gościńca. Chaty, nakrywszy się strzechami, spały rzędem skulonych i wilgotnych kur. Tu i ówdzie płonął jeszcze kaganek. Ze stajen słychać było wierzganie koni. Piąty koguty.

Doszliśmy do rozstaju, gdzie rozkrzyżowany drogowskaz kierował jedno ramię ku bielejącemu miastu, drugie - ku sinym góróm. O kilkanaście kroków, spowity mgłą i deszczem, widniał niewysoki wzgórek z kapliczką u szczytu: mogiła powstańców z 63 roku. Pamiętałem ją z dziecinnych spacerów, gdy wychodząc w letnie wieczory za miasto widywałem ją niezmiennie niedostępną za panoramą zbóż. Przywykłem do jej oddalenia, które wydało mi się częstką jej istoty. Teraz po raz pierwszy oglądałem ją z bliska, podaną na patelni czarnych i grząskich zagonów. Ale nie podszedłem ku niej: buty miałem przemoczone.

- Więc? - zwróciłem się do mego towarzysza.

Machnął ręką ku góróm.

- Na Węgry - odparł. - Tu nie ma czego szukać. Julek, Józek, Felek - wszystkich teraz chłopci w lesie grzebią. Pójdiesz ze mną?

- Nie - odparłem. - Znów tułać się po chłopach, bez broni, łaski prosić, być wyrzucanym, wyświadczać drobne usługi babom - dosyć. Wszystko jedno, gdzie zginąć: w drodze czy w domu. Na Węgry i tak się nie przedrę. A zresztą - buciki mam podarte.

Podniósłszy nogę, pokazałem mu podeszwę rozchyloną jak rybi pyszczek.

- Tak - powiedział. - Dobrze. Poczekaj. Kawałek papieru masz?

Wyjął z kieszeni pudełko i odsypał mi nieco białego proszku na kartkę notatnika.

- Masz! To na pożegnanie. Arszenik.

I oto znów jestem w tym mieście z papieru i ze snu, które płynie ku śmierci poprzez listopad. Ludzi już prawie nie ma: Rada, milicja i paruset robotników. Z mego pokoju, który odnalazłem nietknięty, słyszę wieczorem ich miarowy krok, kiedy wracają z pracy zagubionymi w ciemnościach kolumnami. Nikt mnie nie odwiedza. Kiedy wychodzę na ulicę, spotykam wzrok ludzki pełen politowania. Dawniej, kiedy wybierałem się do lasu, widzieli we mnie kogoś, kto przeznaczony jest do innych niż oni losów: teraz traktują mnie jako nieudanego karierowicza - życia. A zresztą - mają po prostu dość własnych spraw.

Wczoraj wieczorem był u mnie pan Szmorak, niegdyś kupiec drzewny i przyjaciel naszego domu, obecnie komendant milicji. Siadł na brzeżku krzesła, potarł ręce, po czym rzekł półgłosem:

- Pan słyszał, że stan milicji ma być od jutra podniesiony z piętnastu na trzydzieści?

- Nie, nie wiedziałem - odparłem. - To niby w związku z czym?

- No, w związku, w związku, pan sam wie, w jakim związku. Ludzie proszą się na tych piętnaście wolnych miejsc, złote góry obiecują, każdy chce żyć. Ale że byłem przyjacielem rodziców i pana na rękach nosiłem, to gotów jestem zrobić to panu - tu pochylił się ku mnie, zniżył głos i szepnął z naciskiem - za trzy tysiące złotych.

„Szansa, której nie wolno odrzucić” - przeleciało mi przez myśl, podczas gdy bąkałem niezdecydowany.

- Właściwie nie wiem, czybym się nadał do tej służby. To znaczy... mam inne plany. Słowem, może pan poczeka do jutra. Muszę się zastanowić.

Pan Szmorak wstał.

- Niech się pan zastanowi - rzekł, patrząc mi do brody w oczy. - I niech pan przyjmie: szczerze panu radzę. Ale do jutra do dziesiątej, bo o tej godzinie zamykamy listę.

Noc miałem niespokojną i zasnąłem późno. Gdym się obudził, była godzina ósma. Śniłem, nie pamiętam już o czym, ale sen był tak uroczy, a pokój tak zimny, że pogrążyłem głowę w poduszki i zasnąłem po raz wtóry. Drugi raz obudziłem się o godzinie jedenastej. Było już za późno. Ktoś we mnie powziął za mnie decyzję.

W tych niewielu chwilach, które mi jeszcze pozostały, chciałem zrobić jakiś ostateczny rachunek, pomyśleć coś definitywnego. Chodzę po pokoju tam z powrotem i szukam, szukam czegoś, co by zamknęło, co by zreasumowało. Nie znajduję niczego.

Dopisek

Oto wszystko, co mi pozostało po moim tragicznie zmarłym przyjacielu: kilka kartek pamiętnika, które - nie bez osobistego niebezpieczeństwa - uratowałem przed zagładą, zaszedłszy w parę dni po akcji do jego, nietkniętego jeszcze, mieszkania. Na stole leżał notatnik i tom Szekspira, otwarty na stronie 472. Dziwię się, że przyjaciel mój nie był na tyle przezorny, aby złożyć przynajmniej część swoich pamiętników u mnie, u którego mogą przecież przeleżeć do lepszych czasów i doczekać się nawet wydania jako ciekawy materiał dokumentalny. Przypominam sobie nawet, że proponowałem mu to podczas naszej ostatniej rozmowy, która odbyła się trzy tygodnie temu, późną nocą. Powiedziałem mu wtedy: „A co do manuskryptów, drogi mój, to mogę ich przyjąć, ile tylko zechcesz”. Mimo tego niedwuznacznego zaproszenia nie dożył swego rękopisu u mnie, narażając mnie tym samym na trud i niebezpieczeństwo ich odszukiwania. Może jednak nie należy go osądzać zbyt surowo. Po prostu albo nie zdążył, albo nie uważał go za wykończony. W istocie, w pamiętnikach - zwłaszcza w ich części drugiej - daje się zauważyć pewien pośpiech, zbytnia zwięzłość relacji i niedostateczne umotywowanie. Któż na przykład idzie na śmierć jedynie dlatego, że ma podarte buty? Słabym tylko usprawiedliwieniem może być autentyczność tych zdarzeń. Razi również akcentowanie pewnych, zbyt naturalistycznych szczegółów (świerzb) lub zbędność innych (opis powstańczej mogiły).

Ten mój dopisek chciałbym zakończyć danymi dotyczącymi śmierci mego przyjaciela. Jako człowiek blisko z nim związany, ciekaw byłem jej rodzaju i nawet - chociaż z żywą przykrością - spoglądałem z okna mojej sypialni na kondukt ciągnących z łopatami na miejsce stracenia skazańców. Ponieważ obecności jego tam nie stwierdziłem, przypuszczałem, że zginął podczas towarzyszącej każdej akcji strzelaniny. Okazało się jednak inaczej: w jednym z domów, niezbyt odległych od mojego, stwierdzono zatkanie rur kanalizacyjnych. Zawezwani robotnicy nie znaleźli w nich jednak żadnego uszkodzenia. Przyczyna leżeć musiała głębiej, w ściekach miejskich. W istocie, po paru dniach kanalarze odnaleźli w uchodzącej do głównej arterii odnodze kanału zwłoki, które - po bliższym zbadaniu - okazały się doczesnymi szczątkami mego przyjaciela. Ledwo się dowiedziałem o tej - że tak powiem - ekskanalizacji, przybyłem w pośpiechu na miejsce i zastałem kanalarzy, palących fajki nad zwłokami, wśród nich zaś niejakiego Pawła Chruściela, człowieka, ze wszech miar szanownego i starej daty. On to zrekonstruował mi prawdopodobną historię zgonu mego przyjaciela. W dzień akcji pewna grupa, do której przyłączył się i mój nieodżałowany druh, pogrążyła się w główną arterię miejskiego kanału, którego jedno ujście znajduje się w dzielnicy, drugie zaś prowadzi kilka kilometrów pod ziemią do pobliskiej rzeczki. Wyobraźnia, którą mam bardzo żywą, odtwarza mi ów pochód podziemny, krok za krokiem, wśród mistycznych ciemności, oświetlonych tylko na skrętach sinym światłem padającym z otworów w płytach. Niemcy jednak, zorientowawszy się, że część, ofiar uszła w katakumby, zawezwali kanalarzy (wśród nich zaś owego Pawła Chruściela), rozkazując im podnieść płyty w dwu dość odległych miejscach i biorąc w ten sposób nieszczęsnych w dwa ognie. Paweł Chruściel, który jest człowiekiem godnym wiary, opowiada, że tłum ów, jakkolwiek już otoczony, wciąż jeszcze trwał na czworakach i udawał nieistnienie, ociągając się z wyjściem i że nawet, gdy Niemcy oddali pierwsze strzały, trafieni padali w milczeniu, nawet podczas konania udając nie istniejących. Strach trwał dłużej niż życie. Ostatecznie jednak pod naciskiem niemieckich bagnetów tłum ruszył ku wyjściu. Wtedy to prawdopodobnie przyjaciel mój wpadł w jedną z bocznych odnóg. Z kształtu, w jakim trup zastygł, i z ręki, przytkniętej do ust, wnoszę, iż konał w pozycji niewygodnej, na czworakach, i że zażył trucizny, owego właśnie arszeniku, o którym mówił w swych notatkach. Jakkolwiek samo miejsce jego śmierci nie należało do najwonnejszych, przyznać trzeba, że wybierając śmierć dobrowolną, oszczędził sobie ceremoniału kopania grobu, rozbierania się, skaniania do mogiły i tym podobnych nieprzyjemności. Wszystko, co zostało po nim, nie tylko notatnik i tom Szekspira, ale nawet dwieście pięćdziesiąt złotych, które mu zostałem dłużny za sprzedany mi zegarek, przechowuję starannie do lepszych czasów i do chwili zgłoszenia się ewentualnych spadkobierców. Fotografia jego wisi w moim pokoju sypialnym. Ilekroć na nią spoglądam, myślę: „A tak niedawno jeszcze był żywy. Taki zacny charakter, taki piękny umysł - skończyć tak młodo, i to jeszcze w kanale! Och! ciężkie, och! tragiczne bywa czasami życie!”

Radio

Przed siódmą godziną radio zaczynało grać w sąsiednim pokoju. Ileż to razy błagał matkę, aby nie otwierała go, jeśliby wrócił do domu po północy. Bezskutecznie! Nie spała od świtu, paliła papierosa za papierosem i czekała. Dopiero na dziesiątą umówiła się z tym przystojnym urzędnikiem ze starostwa, który przyrzekł wystarać się jej o koncesję tytoniową. Rzeczywiście, nie miała co począć z wolnym czasem. Czernienie włosów mogło - przy najlepszych chęciach - zająć co najwyżej godzinę, a co dalej? Ten codzienny problem rozwiązał dopiero pięciolampowy odbiornik, który jej podarował

na imieniny kapitan - taki miły z przeciwka. Nic dziwnego, że spoglądając raz po raz na leżący na nocnym stoliku zegarek, czekała niecierpliwie chwili, gdy usłyszy znajomy, przyjemny baryton: „Tu radio Warszawa i wszystkie rozgłośnie polskie! Nadajemy koncert muzyki tanecznej z płyt gramofonowych. Usłysz państwo tango Habanera w wykonaniu orkiestry Braci Jabłkowskich”. Przy pierwszych dźwiękach Romek budził się: w ustach miał smak wczorajszych papierosów i fajek, podniebienie twarde i zeschłe.

- Trochę snu! - krzyczał.

Ale radio grało coraz zapamiętałej.

- Trochę snu! - powtarzał głośnie.

Wzmógł ryk radia.

Irytacja, wywołana obojętnością drugiego pokoju, starczyła, aby przepędzić resztki senności. Poza tym - muzyka zaczynała przenikać w jego myśli. Przez chwilę leżał z wółprzymkniętymi oczyma, przypominając wczorajszy wieczór. To samo tango tańczył z Dzidką, córką miejscowego aptekarza. Podszedł do stolika, przy którym siedziała z koleżanką Irką i z podporucznikiem, jej narzeczoną, i powiedział: „Czy mogę prosić?” Tańczyła tak miękko, upajająco. To właśnie szepnął jej na ucho w chwili, gdy w natłoku przyciskał ją mocniej do siebie. „Pani tańczy upa-jają-co!” Uśmiechnęła się powłóczyście i nic nie odpowiedziała. Ileż wymownych niedomówień kryło się w tym uśmiechu i za tym milczeniem! A potem, pod sam koniec, gdy już większość gości odpłynęła, pozostawiając na placu przewrócone krzesła, poplamione obrusy i syczące lampy, odtańczył z nią solo oberka wśród oklasków i przytupywań publiczności. Potem samotny powrót do domu: na ulicy turkot wozów i bulgot mleka w blaszankach. Byłby odprowadził Dzidkę - mieszkała niedaleko - gdyby nie Irka, której kpiny i złośliwe żółte spojrzenie wytrącało go zawsze z równowagi. Co za diabolic! Postanowił zemścić się w jakikolwiek sposób i miał już w odwodzie pierwsze dwie linie satyrycznego wiersza:

Na co tu satyra? Wystarczy satyrka.

To nie wielka Ira, lecz nieznaczna Irka.

Jaka szkoda, że ta Irka nie jest kimś znanym, na przykład gwiazdą filmową albo sceniczną! Można by wówczas wiersz ten zamieścić w gazecie albo nawet wydać do radia. A tak... Cały trud pójdzie na marne, wiersz pozostanie jego prywatną dumą; najwyżej wyśle go anonimowo pod jej adresem. Oto skutki przestawiania z ludźmi nie znanymi w szerszym świecie!

A przekłute radio wciąż gra! - Trochę snu - krzyczy, ale tylko pro forma, bo wie, że - tak czy owak - już nie zaśnie. Z drugiego pokoju dochodzi głos matki:

- Nie będzie nieszczęścia, jak raz wstaniesz trochę wcześniej. O dziewiątej przyjdzie Pugu i wtedy się zaczniesz ubierać, co? A do nauki weźmiecie się przed obiadem, kiedy on będzie już miał odejść, co? Trochę systemu mógłbyś być po twoim pradziadku odziedziczyć...

- Pugu przychodzi dopiero o dziesiątej.

- Sam mówiłeś, że o dziewiątej.

- O dziesiątej i nie wtrącaj się do nie swoich spraw.

- Ach! do nie swoich spraw? A utrzymywać cię - to moja sprawa? A takse za ciebie płacić - to moja sprawa? A utrzymywać cię przez pięć lat koncypientury - to będzie moja sprawa?

- Zawsze mi musisz wypominać ten kawałek chleba!

- Z masłem i z szynką!

- Radziłbym przestać, bo jak mnie rozzłościś, to rzucę wszystko i wyjadę...

- Wyjedziesz! Wyjedziesz! Ciekawa jestem, dokąd wyjedziesz... Mało was, inżynierów świeżego powietrza, się pęta. Już cię szukają...

- Abyś wiedziała, że szukają! Do radia pójde, piosenki będę pisał, a od ciebie kawałka chleba nie wezmę...

- Piosenki będzie pisał! Zwariował chłopczysko do reszty! - wzdycha matka.

- Nie wezmę, nie wezmę, nie wezmę - powtarza Romek rozjuszony, zrywa się z łóżka i gwałtownym ruchem podciąga storę. Strumień świeżego powietrza zalewa pokój, blask słoneczny wydobywa z ciemności nie zasłane łóżko i parę książek rozrzuconych na podłodze: podręcznik brydża i kilka samouczków języka francuskiego. Ze też każdy dzień musi się zacząć awanturą! Ale o co poszło? O co właściwie poszło? Nie może sobie przypomnieć. Muzyka, owszem, całkiem niczego. Grają właśnie slow-foxa „Jesień. Wyzłaca liście wrzesień”. Romek, płasząc, naciąga spodnie, posuwając się podchodzi do umywalni, prostuje swą niewielką figurkę, wyciska węgry i komponuje starannie przedziałek na głowie, podczas gdy matka woła:

- No, chodźże, chodź! Kawa stygnie.

Naładowany potencją tańca Romek przechodzi do jadalni i popijając kawę stuka łyżeczką do taktu o blat stołu.

Właśnie Romek zajęty jest wyjadaniem pozostałego na dnie filiżanki cukru, matka zaś w sąsiednim pokoju toaletą, gdy rozlega się stukanie do drzwi. Dawniejszy kolega gimnazjalny, obecnie zaś uniwersytecki Romka, Pugu (zwany tak od czasu, gdy jeszcze jako piątklasista, czytając na lekcji Sienkiewiczowskie „Pugu, pugu, Kozak z Ługu”, przerwał nagle bas recytacji niespodziewanym dyszkantem) przechodzi po dziś dzień mutację głosu, lecz nigdy - przekonań. Jest bowiem od lat żarliwym komunistą, co go naraża na docinki satyrycznego Romka, który, ilekroć go spotka wieczorem w kawiarni, wita go ustalonym już okrzykiem:

- Jak to? Czyżby szanowny kolega - wbrew wskazaniom Marksa, zawartym w kapitalnym dziele *Kapitał* (tom III, str. 538) - zaniedbywał pod wieczór walki klasowej?

Również i tym razem rzuca mu na wstępie:

- Witaj, ozdobo marksistów! Jakże ze zbawieniem świata? Zali postępuje naprzód? Zali weszliśmy już w dalszą fazę rozwoju dialektycznego?

- Nie wejdziemy - odpowiada Pugu - póki nie zlikwidujemy resztek mieszczaństwa, reprezentowanych przez obecnego w tym pokoju zgniłka.

Ton Pugu jest dobroduszny; mimo swych kpin Romek uchodzi za lewicowca. Kpi bowiem również i z rządu, a w niedzielę przed południem - zamiast na mszę - udaje się do budki pobliskiego fotografa, gdzie obydwa w najściślejszym odosobnieniu rzną do obiadu w sześćdziesiąt sześć.

- O, gdybym kiedy dożył tej pociechy - nie ustaje Romek - abym ujrzał cię prowadzącego lud na barykady przy dźwiękach Międzynarodówki...

Słowa te - nie wiadomo czemu - dotyczą Pugu do żywego. Jego krótka i jakby przypłaszczona twarz blednie i czerwienieje na przemian.

- Powiedz mi - piszczy w ostrym przypadku mutacji - o co ci właściwie chodzi. W imię czego ty właściwie kpisz? Gdybyś chociaż był faszystą! Ale nie jesteś! Co daje ci prawo, gogusiowi jednemu i obibrukowi...

Przez okno dochodzi świergot ptaków, słoneczniki zaglądają ciekawie do wnętrza. Zirytowana hałasem matka wychodzi, trzaskając drzwiami. Łopocą wzdęte przeciągiem firanki. Radio gra nieustannie. Nabijając pożółkłymi palcami fajeczkę, Romek spogląda w okno i pogwizduje.

- Powiedz mi - rzuca nagle - czy chciałbyś być damską puderniczką?

Jakkolwiek miasto, gdzie przebywał Romek, oddalone o dziesiątki kilometrów od głównych linii komunikacyjnych, nie uległo zbombardowaniu, on zaś sam do wojska powołany nie został, niemniej wybuch wojny spowodował w jego życiu poważne zmiany. Radio nadawało w tym okresie znacznie mniej niż zwykle muzyki tanecznej; również i Dzidka wyjechała wraz z rodzicami; toteż nie tylko niedzielne przedpołudnia, ale i dnie całe spędzał teraz u fotografa, który - nie nawiedzany już przez pary nowożeńców w sztywnych kołnierzach i w welonach z mirtem - dysponował nadmiarem wolnego czasu.

Zamknięci w ciasnej klitce, trawili długie godziny na grze - nie w sześćdziesiąt sześć już, lecz w oczko, którego awanturniczny charakter bardziej odpowiadał bohaterskiemu duchowi czasów. Pod wieczór, mając wypieki na policzkach, a w oczach kołujące damy i walety, obliczali skrupulatnie kasę, kłócąc się przy tym zawzięcie, po czym zjadłszy kolację, wśliznęli na wiszące pod sufitem łóżko, by niebawem zapaść w twardy, nieprzenikniony sen.

W domu Romka panował w tych dniach rozgardiasz nieopisany: kapitan z przeciwka wyjechał, urzędnik ze starostwa również, matka płakała, tymczasem w sąsiedniej rafinerii pękł zbiornik spirytusu, więc otarłszy łzy biegła na miejsce wypadku, zapelniając wódką nie tylko beczki, stągwie i dzbany, ale nawet garnki i filiżanki. To wszystko przekraczało nerwową wytrzymałość Romka. Toteż do domu wołał nie wracać, mieszkając, jedząc i dzieląc łożo z fotografem.

Był właśnie jasny poranek wrześniowy, słońce wschodziło w szybach przeciwległych kamienic i Romek przygotowywał się do ostatecznego zamachu na bardzo wysoki już w tej chwili bank fotografa, gdy ten, wyglądając przez otwarte na oścież okno, zawołał:

- Popatrz! A to ci maskara!

Naprzeciw, rozkraczony na motocyklu, stał człowiek w sinym mundurze, w hełmie i w okularach cyklisty, który, rozglądając się po, obumarłym placu, wyjął z plecaka kurze udko i począł je gruntownie obgryzać.

- Niemiec - ani chybi - rzekł Romek. - Czekaj, masz czas do niego. Jeszcze nieraz będziesz się mógł tym idiotom napatrzyć. No, dajesz bank czy nie dajesz?

Fotograf westchnął i odwróciwszy się od okna, wyrzucił pierwszą kartę. W obawie przed zapieszeniem Romek przesuwiał ją z wolna po brzeżku stołu, aż wreszcie odkrył.

- Elf ohne! - zawołał na widok asa, uradowany. - Va banque! Prędzej, druga!

W tej chwili drzwi otworzyły się i ktoś, barczysty i rośli, stając na progu, zapytał:

- Der Weg zur Kreishauptmannschaft?¹⁷

Poblądłszy, fotograf wpół uniósł się z krzesła z kartą gotową do rzutu, którego oczekiwał w napięciu nie zwracający na nic uwagi Romek.

- Steh auf, wenn ich hineinkomme, du Dreckpole!¹⁸ - zawołał gardłowy głos i orękawiczona dłoń znalazła się nagle na policzku naszego bohatera.

Zerwał się. Język niemiecki znał nieco: pradziad był Niemcem przecie, no i szkoła.

- Der Weg zur Kreishauptmannschaft - erste Straße links!¹⁹ - wybełkotał.

Niemiec wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

- To ci... to ci... faceci nie mają poczucia humoru - mruknął Romek zdeglustowany, biorąc jedną ręką kartę, a drugą rozcierając obolały policzek.

Pierwsze miesiące okupacji minęły dla Romka jak z bicia trząś. Zapasy napojów wysokowych w beczkach i wiadrach okazały się nader obfite i przez dom pociekły dwa odwrotne strumienie: jeden - wódki, skierowany na zewnątrz, drugi - dośrodkowy, niosący chłopskie kaczki i gęsi, które z kwakaniem i gęganiem płynęły beztrosko ku śmierci. Wszystko jednak, co piękne, ma swój koniec: to ulubione powiedzenie naszego bohatera sprawdziło się tym razem na nim samym. Z wiosną bowiem tysiąc dziewięćset czterdziestego roku dwukierunkowy ten potok, zamiast wezbrać, wysechł. Że zaś zarówno kapitan, jak i urzędnik starostwa nie powrócili, a o nowych, równie życzliwych znajomych w tych zmaterializowanych czasach i marzyć nie było można, więc chcąc nie chcąc Romek przystąpił do pracy w nadleśnictwie (obecnie Oberförsterei). Objęcie tej posady umożliwił mu nowy ich lokator, urzędnik niemiecki i Austriak z pochodzenia, który jeszcze jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku podnajął paradny pokój ich mieszkania. Jakkolwiek znacznie mniej szczodry od poprzednich znajomych, miał i on swoje zalety: jako Reichsdeutscher dawał pewne gwarancje bezpieczeństwa i nawet uchronił radio przed rekwizycją, przepisując je - po dokonaniu

¹⁷ Droga do starostwa?

¹⁸ Wstań, kiedy ja wchodzę, ty za... Polaku!

¹⁹ Droga do starostwa – pierwsza ulica na lewo.

fikcyjnego aktu kupna - na swoje nazwisko. Wreszcie - co najważniejsza - był w ciągłych rozjazdach, tak że korzystając z jego półmiesięcznej nieraz nieobecności i z zaufania, z jakim, wyjeżdżając, zawieszał klucz na kołku i uprzedzał o prawdopodobnym terminie swego powrotu, Romek mógł - najpierw bojaźliwie, później z coraz większą pewnością zachodzić do jego pokoju, słuchać muzyki i nabijać fajeczkę jego mocno opiumowanym tytoniem, za którym przepadał.

Z pracy wywiązywał się - ku ogólnemu zdumieniu - nad podziw dobrze. Potrafił spędzać długie godziny za biurkiem, rysując kobiecie nóżki lub podpisując się nieskończoną ilość razy - z zakrętasami lub bez. Ilekroć zjawiał się u niego zgarbiony chłopina w podartej sukmanie, aby usiadłszy na brzeжку krzesła i drapiąc się pełną dłonią po karku, poprosić o pozwolenie na wyrąb drzewa, Romek, pykając fajeczkę, wdawał się z nim w długi i pełen łaskawości dyskurs o gospodarstwie leśnym, o wyższości dębiny nad brzeżyną (które to rodzaje drzew znał ze statystyki), o kubometrach, festmetrach i sągach, aż zdziwiony tyłą uczoności chłopina zapomniał o celu swej wizyty. Kiedy jednak - z właściwym temu rodzajowi ludzi brakiem taktu i natręctwem - wracał wreszcie do tematu ze słowami: „A, ponie, jakżesz będzie z tom kartkom, z becuchszajnem niby to?” Romek, z lekka zniecierpliwiony i dłubiąc zapałką w zębach, odpowiadał:

- Przyjdziecie za trzy tygodnie, to zobaczymy. Postaramy się, postaramy...

Na skutek tych sukcesów pozycja jego w domu urosła do tego stopnia, że matka, której oddawał część swej pensji, starała się - o ile możliwe - schodzić mu z oczu, znikać na dłuższe pogawędki u sąsiadów lub nawet wyjeżdżać do krewnych. W mieszkaniu niewiele się zmieniło. Na podłodze po staremu walały się książki; zamiast jednak podręczników francuskiego były to teraz samouczki niemieckie. Zmieniło się natomiast sąsiedztwo. Do opróżnionego przez kapitana lokalu wprowadził się latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Niemiec, wysoki urzędnik starostwa, w sztywnym kołnierzu i z monoklem w oku - wraz z żoną, którą Romek widywał stale przez okno robiącą na drutach, i z córką, smukłą blondynką o twardych, niebieskich oczach i z wichrowatym puklem, opadającym na lewy policzek. Matka nazywała ją Helmą. Wskutek tego Romek stracił zainteresowanie dla Dzidki i przesiadywał coraz częściej przed lustrem, komponując starannie niż zwykle przedziałek i wyciskając węgry co do jednego. W tym okresie zapuścił sobie również wąsiki. Co więcej, wynalazł dla swych uczuć nowy sposób sygnalizacji: ilekroć w przeciwnym mieszkaniu rozlegało się radio, szedł do pokoju Austriaka i nastawiał swoje, tak że z obu okien wzbijała się równocześnie w niebo melodia Stolza lub Straussa, muzyka złączonych serc. Bywało, co prawda, że Heima podbiegała do aparatu i zamykała go gwałtownie; wówczas jednak Romek czynił momentalnie to samo, zastępując dotychczasowy zgodny dwugłos serc - równie zgodnym dwumilczeniem.

Mimo wielokrotnych usiłowań nie udawało się jednak Romkowi nawiązać osobistej znajomości z Helmą. Przechodziła ulicą milcząca i wyniosła w cieniu rozłożystej matki. Jedyne i - zważywszy temperaturę jego uczuć - dawno już niedostatecznym sposobem konkurów pozostawało radio. Lecz i temu środkowi serdecznej komunikacji zagroziło w pewnej chwili przerwanie. Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku - matka była jak zwykle nieobecna, Romek zaś, siedząc przy aparacie, próbował bezskutecznie uchwycić falę eteru dolatującą z drugiego okna tryumfalnym walcem, gdy u wejścia rozległo się stukanie. Zakręciwszy pośpiesznie gałkę, Romek wybiegł do przedsionka i otworzył drzwi dwu niemieckim urzędnikom.

- Pan jeszcze przed chwilą grał na radio - rzekł jeden z nich po polsku. - Czy panu jest rozporządzenie starosty powiatowego z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego o oddaniu aparatów radiowych wiadome?

- Aparat nie należy do mnie - odpowiedział uśmiechając się Romek - lecz do naszego lokatora, Reichsdeutscha, który jest chwilowo nieobecny. Proszę, oto dowody - i wyjął z szuflady książkę meldunkową oraz dokument sprzedaży.

- Nie ciekawi mnie - odparł Niemiec, nie patrząc na podsuwane mu papiery. - Ja się ale pytam, czy pan przed chwilą na radio grał, czy nie?

- No tak... ale... panowie rozumieją... lokator... swój człowiek... Może panowie raczą usiąść? Wódeczki? Papierosika? Mam pierwszorzędny koniak, podbity jajami.

- Dziękujemy pięknie. Nie chcemy pańskiej gościnności nadużyć. Czy możemy ale wiedzieć, dlaczego, znając pełny tekst rozporządzenia starosty powiatowego o surowym zakazie słuchania wiadomości radiowych przez ludność nieniemiecką, pan do tego rozporządzenia zastosować się nie chciał? Czy pan jest przewinienia, które pan przez to popełnił, i kary, której pan podlega, świadomy?

- Przepraszam panów najmocniej, ale ja to rozporządzenie rozumiałem w nieco innym sensie. Sądziłem, że jeśli lokator... Jestem urzędnikiem niemieckim. Pracuję w nadleśnictwie, Oberförsterei.

- Nieznajomość przepisu prawnego nie usprawiedliwia uchylenia się od niego. Pan, jakkolwiek urzędnik nadleśnictwa, jest Polak i - jako taki - ogólnie obowiązującym przepisom o oddaniu aparatów i o surowym zakazie słuchania wiadomości radiowych przez ludność nieniemiecką podległy.

„Heima... radio mi zabiorą...” - przeleciało przez głowę Romka, który pośpiesznie wypalił:

- Tak, ale mój pradziad był Niemcem.

- Ach, tak - rzekł urzędnik, robiąc jakiś znaczek w papierach. Ach, tak. Czy pan jest na liście narodowości niemieckiej zapisany?

- Nnnnie... to znaczy... miałem zamiar, ale nie zdążyłem. Te zajęcia... Człowiek pracuje ile sił dla zwycięstwa, dla dobra Führera i narodu.

- To jest poważne zaniedbanie. Będzie pan musiał jutro do niemieckiego punktu zbornego między godziną dziesiątą a dwunastą się zgłosić, aby formalności związane z pańską przynależnością narodową wypełnić - Niemiec przyłożył rękę do daszka. - Od jutra będziemy się inaczej pozdrawiać. A na razie: do widzenia.

- Ha, to ci przeprawa - westchnął Romek, gdy drzwi się za nimi zamknęły. - Z tą Volkslistą to, w istocie, wpadunek. I co ja tam będę robić między tymi Volksdeutschami? Maszerować do taktu? Śpiewać? *Mein Kampf* czytać? Nie miała baba kłopotu... Ha, trudno. Grunt się tylko nie przejmować.

I zapaliwszy fajeczkę, wyciągnął się na sofie przeglądając najświeższy numer „Illustrierte Blätter”.

Przyjęcie narodowości niemieckiej przyniosło niespodzianie pozytywny skutek: Romek nareszcie poznał Helmę, która - wbrew jego oczekiwaniom - okazała się Niemką ze Śląska, wcale nieźle znającą język polski i uczęszczającą na zebrania Volksdeutschtów. Pewnego dnia zaprosiła go nawet do domu,

dokąd udał się z drżeniem serca, odziany na czarno i z wypomadowaną fryzurą, spodziewając się rozmowy wyłącznie niemieckiej, i to na najwyższe tematy. Gospodarze jednak - być może, przez wzgląd na gościa - mówili łamanym, ale zrozumiałym, polskim językiem: pan domu w sztywnym kołnierzu i w monoklu wypytywał go o ceny dolarów i złota, których Romek mu nie mógł mimo najlepszych chęci podać, i o prawdopodobny koniec wojny. Po sowitym obiedzie, pani, uprzątnąwszy ze stołu i szydełkując, wzdychała: „Ach, Herrje! Unsere ganze Hoffnung ist in Gott und im Führer!”²⁰ Helma nastawiła radio i przy jego dźwiękach odtańczyli oboje niezliczoną ilość walców i fokstrotów, przy czym Romek stwierdził z przykrością, że jest o całe pół głowy od niej niższy, z przyjemnością zaś, że, jakkolwiek mniej podatna w tańcu od Dzidki, jest natomiast bardziej od niej wysportowana i towarzyszy mu bez trudu w najbardziej skomplikowanych figurach.

W tym samym mniej więcej okresie przeniesiono go z mało intratnej i nie licującej już z jego pozycją posady w nadleśnictwie do „Kommission zur Beschlagnahme des nichtarischen Eigentums”. Stworzony w związku z odbywającą się wówczas likwidacją ludności żydowskiej, urząd ten miał na celu konfiskatę jej mienia i sprawiedliwy jego rozdział między miejscowych Niemców. Romka przydano do pomocy Heinzowi Cormannowi, młodemu Hitlerjunge o rumianej twarzy i wąskich, złych oczach. Codziennie, o godzinie dziewiętej, wraz z oddziałem przysłanych z dzielnicy tragarzy, ruszali, zarekwirawwszy u przejezdnych chłopów furmanki, na rewir. Włamywali się do pustych mieszkań, cuchnących odstałym, wielotygodniowym moczem, przewracali nocniki, wyrzucali pierzyny, brodzili w pierzu i w pajęczynach. Tragarze rozbiegali się po spiżarkach za jedzeniem, znajdowali cukier i zjeżdżały masło, spożywali je na miejscu lub pakowali pośpiesznie do kieszeni. Heinz, pełen wspomnień z świeżo przeczytanego Conan Doyle'a, opukiwał ściany, szukając schowków i - o dziwo! - czasem odkrywał je, w nich zaś zegarki, pierścionki i bransolety, które wkładał do podręcznej skórzanej torby. Romek stał zazwyczaj na uboczu i pogwizdując przeglądał podniesione z ziemi książki. Raz tylko podniósł walającą się w kącie złotą papierośnicę, kiedy indziej zaś chromowany zegarek, który tegoż wieczora podarował Heimie. Pod nieobecność Heinza, który wyruszał niekiedy na samotne wyprawy, rozprawiał najchętniej z tragarzami. Pozwoliwszy im nakarmić się i nakraść do syta, wyjaśniał im dobrotliwie ogólne zasady polityki Führera, przekonując o jej słuszności i namawiając do pogodzenia się z losem. Wśród tragarzy bywał czasem i Pugu, przechodzący po staremu mutacją głosu, lecz czyniący to obecnie raczej po cichu. Wychudzony do cna, z powiekami zaczerwienionymi i w poplamionym ubraniu, milczał uparcie, odpowiadając stereotypowym „ja” i „jawohl” na wszelkie zagadywania. W rozmowie z nim, jak i z resztą tragarzy, Romek używał bowiem stale języka niemieckiego, którego się nieco poduczył, i grzecznościowej formy „Sie”. Czasem - tylko, pozostawiony z nim sam na sam, gdy inni robotnicy rozłazili się po pokojach, przechodził na tykanie i na język polski. Tłumaczył mu wtedy ducha nowych czasów:

- Ty zapewne - mówił - z właściwym sobie suchym intelektualizmem myślisz (no, nie wypieraj się, wiem przecie), że ta mistyka krwi - to bzdury. Otóż nie! Wcale nie takie bzdury, jak się... jak ty sądzisz. Wiesz, ja sam chwilami czuję coś takiego. Nawet bardzo! Bo ty jesteś subiektywny - zaperzał się nagle. - Wszystko oceniasz ze swojej strony, z punktu widzenia własnego interesu. Wiesz tylko, że cierpisz. Tak nie można! Trzeba umieć wznieść się na wyższe stanowisko. Pod Anglikami cierpią - dajmy na to - narody kolonialne, pod bolszewikami - kapitaliści, a pod Niemcami - wy! Zawsze ktoś musi być kozłem ofiarnym. Każdy ustrój na tym się opiera. No, i w porządku.

²⁰ Ach, Chryste Panie! Cała nasza nadzieja w Bogu i w Führerze!

Nieszczęście chciało, że podczas jednej z takich rozmów, odbywającej się w zasypanym bezimiennymi odpadkami pokoju, gdy Romek, siedząc na sprężynowym, ogołoconym z materaców łóżku, klarował właśnie stojącemu przed nim Pugu zbawienność polityki rasowej Führera, wpadł ze szpicrutą w rękę wracający z jakiegoś wypadu Heinz. Złe jego oczy zwężyły się jeszcze bardziej.

- Weg! - machnął nahajką w stronę Pugu, który skierował się pośpiesznie ku wyjściu.

- Du hast hier einen Freund, seh ich! - wycodził do Romka. - Spekulierst mit ihm? Vielleicht verkaufst Staatseigentum? Du! Pass auf! - pogroził mu nahajką. - Ich hab dich im Auge!²¹

Po raz pierwszy był Romek tego wieczoru umówiony na spotkanie z Helmą. Spieszył na nie z sercem bijącym, powtarzając w myśli tekst wyznania, które sobie poprzednio przygotowywał i zapisał w notatniku.

Szli przez opustoszałe ulice. Grudniowa odwilż pachniała zielono i gorzko. Coś młodego - zapowiedź przyszłej wiosny - unosiło się w powietrzu. Śpiewały rynny, rynsztokami biegła woda, wiatr dzwonił sztyldami o mury kamienic, które zataczały się w chybotliwym świetle lamp łukowych. Okiennice były wszędzie zatrzaśnięte, żaluzje opuszczone. Na zamkniętych na siedem spustów bramach lwie maskary trzymały kołatki w rozdziawionych paszczach. Daleko krążyły patrole i strażnik na wieży wygwizdywał policyjną godzinę.

- Jakże to jednak piękne - rozpoczął Romek. - Wszyscy siedzą teraz skuleni po norach, a my idziemy spokojnie księżycowymi, średniowiecznymi ulicami, na których...

- No, a jak tam pańska praca? - przerwała Heima. - Jak tragarze? Bardzo się pana boją?

- Wie pani, ja próbuję z nimi raczej po dobremu. Usiłuję przekonać ich o naszej słuszności. Z niektórymi się to nawet udaje: słuchają mnie w skupieniu i przyznają mi rację. Chwilami to ich posłuszeństwo mnie nawet roztkliwia. Są tacy bezbronni...

- I tacy brudni! - dorzuciła, śmiejąc się, Helma. - Popatrz pan na ich domy, z których tynk opada kawałami. Popatrz pan na nich samych...

- Ale dawniej nie byli tacy! - zaoponował Romek. - Przecież to wy, to jest raczej my wyrzuciliśmy ich z mieszkań. My jesteśmy pośredni przyczyną ich brudu...

- Śmie pan twierdzić, że myśmy przynieśli brud do tego kraju! - Oczy Helmy zabłyśły w ciemności. - I pan podaje się za Niemca? Nie, prawdziwy Niemiec, taki Heinz Cormann, nigdy by czegoś podobnego nie powiedział...

Romek spojrzał na nią z podziwem. Miała wspaniałą sylwetkę, gdy tak stała z głową podniesioną, z kosmykiem włosów opadającym spod beretu na lewy policzek. Coś władczego - Brunhilda, Walkiria. Nic wspólnego z trzema K, które Führer zalecał kobietom. Gładka, smukła i wysportowana jej postać przywodziła na myśl złoty BDM i wycieczki w góry Harzu z plecakiem na ramieniu. Nagle odczuł z obrzydzeniem własne, przykrótkie ciało, mięsisty nos i policzki, pokryte tu i ówdzie pryszczami.

²¹ Masz tu przyjaciela, jak widzę! – Spekulujesz może z nim? Sprzedajesz państwowe mienie? Ty! Uważaj! Mam cię na oku!

Podniósł dłoń, aby zasłonić swój cofnięty podbródek. Nie wiadomo, dlaczego rozmowa przybrała tak nieprzyjemny obrót. Po cóż było w ogóle wspominać o tych przeklętych tragarzach? Miał przecie wyznać Helmi swe uczucia, a tymczasem... I ten Heinz za dodatek...

Tego wieczoru Romek długo wiercił się pod kołdrą, usiłując zasnąć i powtarzając szeptem jej imię.

Obudził się później niż zwykle: zegar wskazywał dziewiątą. W lustrze dojrzał swe podbite oczy. Parę dodatkowych pryszczów wyskoczyło przez noc.

Do składu skonfiskowanych mebli zjawił się z godzinnym opóźnieniem i dowiedziawszy się, że tragarze już dawno odjechali, wyruszył na ich poszukiwanie. Zastał ich zajętych jak zwykle opróżnianiem jednego z bezludnych mieszkań. Przy furmance - z rozkraczonymi nogami i z założonymi w tył rękoma, uderzając z rzadka szpicrutą o cholewę - stał Heinz i śledził przymrużonymi oczyma tragarzy, znoszących olbrzymią szafę po krętych schodach. Na widok nadbiegającego Romka ograniczył się do ironicznego „Na! Endlich!”²² po czym znów obojętnie zwrócił głowę ku dźwigającym. Jakkolwiek jednak Heinz zachowywał się dnia tego nad wyraz łagodnie i nahajkami obdzielał jedynie swe własne buty, robotnicy, zaniepokojeni jego spokojem, zwijali się prędzej niż kiedykolwiek i natychmiast po załadowaniu biegli truchcikiem na piętro. Wśród nich biegł, sapiąc i z lekka kulejąc, Pugu. Poddając się ogólnemu nastrojowi, Romek nie podniósł leżącego na schodach samouczka języka węgierskiego, lecz tylko, oparty o nadszarpniętą framugę, dogadywał raz po raz: „Prędzej, panowie! Prędzej! Widzicie, co się dzieje!”, chociaż sam nie mógłby określić, co się właściwie odmiennego niż w innych dniach działo.

O godzinie trzeciej, naładowawszy podwozy z czubkiem, wrócili do składu. Zamiast jednak odbyć czym prędzej apel i udać się do Soldatenheimu na obiad, Heinz, ustawivszy tragarzy na podwórzu w odstępach półtorametrowych, rozkazał im podnieść ramiona, po czym, przystąpiwszy do pierwszego z nich, zaczął go obmacywać. Czynił to, co prawda, dość pobieżnie i pobladłe twarze robotników odzyskiwały już normalny kolor, gdy, podchodząc wreszcie do Pugu, Heinz zmienił metodę i tempo rewizji. Kazał mu po kolei zrzucić płaszcz i marynarkę, potem wywracać kieszenie, by wreszcie w lewej nogawicy, u góry, odkryć niewielką wypukłość.

- Na! Komm her damit!²³

Był to woreczek kaszy.

Heinz obejrzał się. Romek stał opodal, dłubiąc zapałką w zębach.

- Komm her! - rzekł.

Romek podszedł.

- Der ist für Diebstahl zu bestrafen!²⁴ - powiedział, wskazując na Pugu. - Da! - rozpiął kaburę i podał mu rewolwer. - Schieß ihn an!²⁵

²² No! Wreszcie!

²³ No! Pokaż to!

²⁴ Należy go ukarać za kradzież!

²⁵ Postrzel go!

Romek wziął chłodne żelazo. Podniósł obciążoną nim dłoń do czoła Pugu, który stał, mrugając zaczerwienionymi powiekami.

Na trzecim piętrze ktoś otworzył okno i wysoka spłynęła na ulicę melodia:

Die Straße frei den braunen Bataillonen,
S-A marschert mit ruhigfestem Schritt...²⁶

- Ich hab doch dir gesagt ihn anzuschießen, nicht zu erschießen²⁷ - zawołał Heinz, ubawiony. - Bist wirklich ein Meister der deutschen Sprache! Na, weg damit!²⁸

Wystąpiwszy z szeregu, dwóch tragarzy złożyło ciało pod murem.

Dzień był ciepły. W takt dolatującej z trzeciego piętra muzyki Romek szedł przez ulicę twardym, zwycięskim krokiem, pod którym dudniła ziemia. Rozejrzał się dookoła: nikt nie zwracał nań uwagi. Jakiś przechodzień musnął go połą płaszcz. Miał ochotę krzyknąć mu: „Hut ab!”²⁹, ale tamten był już daleko, a gonić za nim nie licowało z jego godnością. Uniósłszy nieco prawą dłoń, Romek skurczył parokrotnie jej wskazujący palec. Jakie to proste! Fiut - i nie ma go! I pomyśleć, że do takiego wybierał się jeszcze wczoraj z argumentami. A tu przecie chodziło tylko o ten palec! Zachwiał się, upadł i po harapie!

W przygodnej knajpie zażądał „ein Stöpserl Schnaps”. Wychyliwszy pięć kieliszków, otarł wierzchem dłoni, zapłacił cenę maksymalną i wyszedł. U wylotu ulicy dogorywał zachód. Z podniesioną głową, zataczając się z lekka, Romek wchodził w jego gasnącą czerwień.

Spotkawszy przed domem wychodzącą Helmę, chwycił ją za rękę i zaciągnął do siebie. Szarpała się, opierała, ale weszła.

Na podłodze, jak zwykle, walały się książki. Kopnął jedną z nich.

- Do cholery z bałaganem! Porządek musi być! Że też mama nie dopilnuje...

- Przecież mamy od dwu tygodni nie ma - rzekła Helma.

- Wszystko jedno! Powinna dopilnować! Rozbierz się! Ja tymczasem nastawię aparat...

Otworzywszy zamknięty na klucz pokój Austriaka, odszukał z trudem radiostację wiedeńską. Do pokoju, gdzie rzuciwszy płaszcz, siedziała Helma, wrócił, szeroko rozstawiając nogi i kurcząc raz po raz wskazujący palec. Gest ten powtarzał jeszcze, siedząc obok niej i obejmując ją wpół lewym ramieniem.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Helma.

- To? Nic. Fiut - i po nim.

- Po kim?

²⁶ Pierwsze sowa hymnu hitlerowskiego.

²⁷ Kazałem ci przecież postrzelić go, a nie zastrzelić.

²⁸ Rzeczywiście język niemiecki znasz świetnie! No, precz z tym!

²⁹ Zdjąć kapelusz!

- Po jednym takim. Zastrzeliłem go.

- Zastrzeliłeś? Naprawdę? - Oczy Helmy zaiskrzyły się. - Za co?

- No, twarz jego mi się nie podobała, kapelusza nie zdjął na czas czy coś takiego - nie pamiętam. Wyjąłem rewolwer i zastrzeliłem go.

- Jak to - wyjąłeś. Przecież nie masz rewolweru.

- No, nie mam, nie mam. Ale miałem. Heinz mi pożyczył.

- Pożyczył? Przecież rewolweru nikomu się nie pożycza.

- Heinz dla mnie wszystko robi. Jesteśmy w bardzo bliskich stosunkach. A zresztą możesz się przekonać, jeśli chcesz. Trup leży w składzie, pod murem - rzekł rozpinając jej bluzkę.

- A jacy brudni są ci tragarze! - dodał po chwili. - Patrząc na nich, dochodzi się do wniosku, że na nich naprawdę nie ma innego sposobu, jak rewolwer.

Heima z westchnieniem oparła głowę na jego piersi.

- Taki jesteś inny dzisiaj, taki jakiś...

Radio grało melodię Schuberta.

Sprawa godności

Cóż prostszego, niż być zabitym? Doktor Winter, były sędzia okręgowy i oficer rezerwy, lubił rozwiązania legalne i jasne. Tylekroć wydawał wyroki; cóż dziwnego, że z kolei i on miał im ulec? Samej jednak procedurze tego miesiące już trwającego procesu brakło należytej powagi i zarówno wykonawcy, jak świadkowie i ofiary nie odnosili się doń z wymaganą w takich chwilach godnością. Na ustach Niemców, gdy odwiedzali gmach Rady, igrał pobłażliwy uśmieszek. Zachodzili czasem do mroźnego biura, gdzie urzędował doktor Winter, i klepiąc wyprężonego na baczność po ramieniu, wyrażali uznanie dla jego niezmordowanej pracy: „Arbeiten Sie nur fleißig! Das macht gut!”³⁰ Zachowanie ich, wyzbyte wszelkiej wrogości, wyrażało tylko przyjazną ironię; nie brali go po prostu na serio. Ten sam dwuznaczny stosunek drażnił doktora Wintera, gdy stykał się z ludźmi z zewnątrz.

Wychodził bowiem niekiedy na miasto objuczony zegarkami, dolarami i złotem, które mu - jako posiadaczowi jednej z niewielu przepustek pozwalających przekroczyć druty - dawano na sprzedaż. Kiedy z białą opaską na ramieniu, którą na próżno starał się ukryć, strząsając śnieg z przydrożnych drzew na rękaw, przemknąwszy się bocznymi ulicami, wpadał nareszcie do jubilerskiego sklepu, właściciel i czeladnicy, iskrzący się od świeżo nabytych pierścionków, świeżo ogoleni, z kantami spodni tak ostrymi, jakby nimi się właśnie golili, rzucali na wyplamione palto i zaniedbaną fizjonomię spojrzenie taksujące i nieco zażenowane. Targując się o cenę przyniesionych kosztowności mówili: „Po co się pan tak upiera? Przecież...” i nie kończyli przez delikatność, lecz tylko mrugali do siebie

³⁰ Niech i pan pracuje pilnie! To dobrze robi!

porozumiewawczo. Doktor Winter wił się pod ich bagatelizującym wzrokiem. „Śmierć - myślał - jest rekapitulacją i oceną życia.” Czemuż musiał umierać w tej podejrzanego atmosfery chichotów, poklepywań, groteskowych podrygów? Dlaczego ostatnim gestem miało być klaśnięcie opadającego w błoto ciała? Był oficerem rezerwy, czytał Szekspira i Mickiewicza, kochał kobiety, marzył o wielkości - i to wszystko miało się uwieńczyć koziołkiem w grząskiej jamie. Jaką przybrać postawę, o co się oprzeć? Chłopcy, gdy go widzieli przesuwającego się pod murami kamienic, rzucali weń grudami błota lub śniegiem - nie z nienawiści bynajmniej, lecz z tej normalnej ludzkiej skłonności, która każe popychać to, co i tak upada, i śmiać się do rozpuku z fantastycznej gonitwy przechodnia za porwanym przez wiatr kapeluszem. Cóż jednak począć miał doktor Winter? Jak zareagować z godnością? Ciskać również błotem? Gonić? Co więcej, w nim samym - dawniej tak ufnym - załagał się robak podejrzliwości. Każde „o! patrz!”, każdy głośny śmiech zasłyszany na ulicy odnosił do siebie; czuł się celem każdego - przypadkiem nawet ciśniętego - kamyka. Ta nieufność, wywołana przez poprzednie wypadki, z kolei wywoływała nowe: napada się bowiem na tego, kto napaści oczekuje. Było to błędne koło psychiczne, poza które nie mógł się już wydostać.

Bardziej jednak sromotne niż handel zegarkami i - rzeczywiste lub domyślne - napaści urwisów były widzenia ze znajomymi. Doktor Winter spotykał podczas swych wypraw dawne towarzyski wieczorów kawiarnianych lub partyj brydża. Migaly ulicą, różowe od mrozu, z twarzami wychylonymi z kielichów futer, uśmiechnięte, rozradowane sanna lub proszona herbatką. Na widok doktora Wintera poważniały nagle, przygryzały wargi; niektóre były dość taktowne, by odwrócić głowę. Ale inne - o zgrozo! - ostentacyjnie podchodziły, wyciągały nawet rękę. Ze spojrzeniem trochę nieobecnym, śpiesząc się z lekka, zagadywały, co słyhać i jakie ma zamiary. I umykały czym prędzej, jakby wstydząc się swych futer i czekającej je zabawy, dobrego wyglądu i szminki na wargach, gdy on...

Gdy on, bardziej skulony po takim spotkaniu i osypując jeszcze raz z przydrożnego drzewa okiście śniegu na rękaw, kierował się powoli ku drutom. Miasto stało w mrozie i we mgle; w oddali dzwoniły sanki. Dalej, w odległości dwóch tysięcy kilometrów, biły armaty, szarżowały czołgi, ludzie padali, uciekali, szli naprzód. Tutaj - stały nieskończone ogonki za ćwiartką chleba, opodał, owinięte w papier, leżały trupy pomarłych lub pomarłych z głodu. Czasem rozlegało się - podobne do szczekania psa i równie nie zauważone - wycie konającego.

Doktor Winter, przekroczywszy bramę, nie skierował się do domu. Od miesiąca, odkąd żona zginęła, komórka, którą wraz z nią poprzednio zajmował, była nie opalona i pusta. Tę swoją - jak ją ochrzcił - Syberię odwiedzał tylko w godzinach rannych, kiedy po bezsennej, spędzonej na spacerze lub grze w szachy nocy walił się w ubraniu na nie zaścielany nigdy barłóg. Postanowił zająć do kolegi z lat szkolnych, eks-profesora gimnazjalnego, obecnie - podobnie jak i on - urzędnika. Doktor Maurycy Kolski, któremu już rok temu zabrano żonę wraz z dziećmi, oszczędzając jedynie jego jako wysokiego dostojnika Rady, zdawał się zupełnie pogodzony z ich stratą. Dawniej, obarczony trojgiem osób, głodował. Dziś, gdy miał czterokrotnie mniej gęb do nakarmienia i tylekroć więcej rzeczy do sprzedania, jego stan materialny polepszył się szesnastokrotnie. Toteż spieniężał systematycznie co tydzień sukienkę córki lub ubranko syna, wskutek czego utył niepomierne. Urząd, którego powadze zawdzięczał życie, obecnie - w miarę rosnącej w społeczeństwie anarchii - stawał się fikcją. Dla pozoru wpadał rano na godzinkę do biura, resztę dnia spędzając na ulicach i w cukierniach i myszkując, gdzie

by znaleźć co lepsze ciastka i co korzystniejsze komunikaty. Wieczory poświęcał trzeciej namiętności, szachom, w czym mu dzielnie sekundował doktor Winter. Właśnie doktor Maurycy, wróciwszy z cukierni i nie zdjawszy palta, lawirował w przejściu między stołem a łóżkiem, by wydobyć flaszkę z naftą z jednego kąta, lampę bez szkła z drugiego i rozgrzać nieco nad knotem zgrabiące palce, gdy rozległo się stukanie do drzwi: doktor Winter - mimo zmienionych warunków - nie wyrzekł się kultury, a zwłaszcza jej drobnych nakazów.

Doktor Maurycy odwrócił rozradowaną twarz od lampy.

- Wiesz? - rzekł, podbiegając do stojącego na progu i uderzając go po ramieniu - Ordżonikidze wzięte.

- Pozwól mi wejść do środka i zatrzaskać drzwi za sobą - odparł doktor Winter. - I tak jest już dosyć zimno.

- Ordżonikidze wzięli! - powtórzył doktor Maurycy, zacierając ręce z uciechy i mrozu. - Zuchy! Czterdzieści kilometrów - od wczoraj. Jeżeli zachowają to tempo, to... poczekaj! - Doktor Maurycy wyciągnął z jednej kieszeni notes, z drugiej mapkę, z innej ołówek i manipulując nimi ze zręcznością świadczącą o dłuższej wprawie, oderwał pasek papieru, zmierzył odległość kartograficzną i pomnożył przez podziałkę. - Otóż, poczekaj! Od frontu jesteśmy oddaleni o jakie tysiąc osiemset sześćdziesiąt kilometrów. Za czterdzieści sześć i pół dnia, przyjmijmy dla zaokrąglenia czterdzieści siedem, powinni być tutaj. Ależ to się doskonale zgadza! - doktor Maurycy przytknął palec do skroni, mrużąc jedno oko. - Akuratnie na dwudziestego drugiego lutego w południe. A właśnie jedna osoba, bardzo dobrze poinformowana, powiedziała mi, że wojna ma się wtedy skończyć. Bo - ciągnął sumując szybko drżącymi palcami - jeśli dodać początkowy i ostatni dzień tamtej wojny i pierwszy obecnej i pomnożyć to wszystko przez trzy, to... otrzymujemy cyfrę 22 243, czyli - po uzupełnieniu kropek - 22.11.43.

Po czym spojrzał tryumfalnie na przyjaciela i schował ołówek.

- A czemu zdobycie naszego miasta ma oznaczać koniec wojny? - zapytał chmurnie doktor Winter.

- Ach! Te niedorzeczne pytania! Ileż razy mam ci tłumaczyć, że - jeśli Niemcy cofną się aż tutaj - to automatycznie w kraju wybuchnie rewolucja. Naród nie wytrzyma.

- Słuchaj! Gzy ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

- Przestań mi dokuczać głupimi pytaniami, słyszałeś? - Doktor Maurycy uderzył kułakiem o stół, aż stojąca na nim kopiasta misa z ziarnem podskoczyła, wysypując część zawartości na podłogę. - Wciąż myślisz, jak by drugiemu humor zepsuć. Zazdrościsz mi wiary, że przeżyję - wszystkiego, co mi zostało...

- Maurycy! - doktor Winter ujął go za ramię. - Po co te złudzenia? Jesteśmy skazani, prawda? Umiejmyż umrzeć z godnością. Czyż ty nie dostrzegasz haniebnosci twego optymizmu, tych wszystkich wybiegów, szamotań, bezcelowej walki o życie? Kto ma odwagę zrezygnować, tego już nie może dotknąć: jest wolny. Każda isierka optymizmu, każde źdźbło otuchy osłabia w nas tę decyzję.

Doktor Maurycy spojrzał krągłymi, dobrodusznymi oczyma na przyjaciela. Grube jego wargi skrzywiły się.

- Po co ci to? - mruknął. - Po cóż ci ta decyzja, postawa? Żyj z dnia na dzień, jak ja. Czemuż nie żyć nadzieją, póki można?... Zrobimy lepiej partyjkę, chcesz? Szachy są pod łóżkiem. Wyciągnij i ustaw. Ja tymczasem narąbię szczapek na podpałkę...

Było już dobrze po północy, gdy doktor Winter, przegrawszy nieskończoną ilość partii, wyszedł od Maurycego. Zza drutów dochodziły, dźwięczniejąc na mrozie, głosy chłopców śpiewających kolędę. Słychać było, jak zabijają ręce o kozuchy. Skrzypnęły drzwi: to gospodarz wyносił po kieliszku na rozgrzewkę.

Bóg stał się popularny na dwa tygodnie - pomyślał doktor Winter. - Bohater przebojów religijnych. Gwiazdka, choinka, złożone aniołki u szczytu dzieciństwa. Nie, nie wypada mi - po tylu latach niewiary - nawracać się. Trzeba być w porządku wobec Pana Boga.

Dookoła niego ulice roiły się od niewidzialnej ciżby. Ciemność szurgąła ostrożnymi krokami po gołoledzi, wzdrygała się od niespodzianych spotkań, dyszała szantażem. Doktor Winter, który postanowił zejść do knajpy, chwycił mimochodem urywki rozmów, ułamki zdań, słowa obce sobie i różnorodne, zdziwione jakby swym nieoczekiwanym połączeniem.

Podniesiony, nadrabiający pewnością głos:

- Dokumenty, proszę!

Półgłosem:

- Ordżonikidze odbite... Niemcy ewakuowali Charków...

- Przyjechała lotna brygada SS...

- Nieprawda! To rozbite wojska cofają się przez miasto...

Szeptem:

- No, chodźże, chodź! Wszyscy współlokatorzy poszli na noc do pracy. Pokój jest wolny.

- Nie mogę... Muszę do domu... Mama czeka...

Przechodząc obok wpół oświetlonej, grząskiej sieni doktor Winter słyszy cienki, dziecięcy jeszcze prawie głosik:

- Ona je chowa w poduszce. Widziałem przez okno, jak zaszywała...

Podniesiony, nadrabiający pewnością głos zagłusza inne:

- Czy pan sobie zdaje sprawę, co to znaczy - w tak ciężkich dla naszego społeczeństwa czasach -- nie meldować się? Pan się uchyla od pracy przymusowej. Pan zrzuca cały ciężar na innych. W tej chwili mamy w spisach Rady tysiąc dwustu mężczyzn w wieku roboczym. A Niemcy żądają od nas dziennie, wie pan, ilu? Ośmuset. Dosłownie - ośmuset. Każdy zameldowany musi cztery dni w tygodniu pracować. A za kogo? Za pana i za takich jak pan, którzy uchylają się od spełnienia obowiązku. A ilu was jest? Wedle powierzchownych obliczeń jest was nie meldowanych przynajmniej drugie tyle. I gdybyście się wszyscy zgłosili, to każdy szedłby tylko dwa razy w tygodniu na robotę, na ciężką

bezpłatną rozbiórkę niemieckich baraków. Czy pan nie rozumie, co to jest obowiązek społeczny? Czy pan nie rozumie, że moralność zbiorowa każe nam nieść wspólnie ciężar w tej: ciężkiej chwili?

- Mnie, panie milicjancie - przepraszam - panie doktorze, nie wolno pracować, bo ja mam naderwane wnętrzności z prawej strony - o tu! I muszę zarabiać, bo mam żonę i dwoje dzieci. Jak ja będę pracował cztery dni w tygodniu, to kto im da jeść? To ja bardzo proszę pana milicjanta, to znaczy pana doktora, żeby...

- A ja - pan myśli - nie mam żony i dwóch kuzynek na utrzymaniu? A mimo to pełnię służbę milicjancką codziennie od ósmej rano do ósmej wieczór. I pan mnie mówi, że pan ma rodzinę? A ja to nie mam rodziny, ha?

- No, jak pan doktor ma rodzinę i ja mam rodzinę, to wie pan doktor co? Ja panu doktorowi dam pięćset złotych, a pan doktor mnie nie zamelduje i wszystko będzie w porządku. Wszyscy jesteśmy w tej samej biedzie, panie doktorze. Ja panu doktorowi, pan doktor mnie... No, dam sześćset złotych.

- Panie, za co pan mnie bierze? Ja tu służbę pełnię, a pan mnie propozycje robi? A poza tym, co to jest dzisiaj sześćset złotych?

- Żeby tak żył, panie doktorze, że z całego serca bym dał więcej i jeszcze bym dołożył, jakbym miał. Przez cały dzień zarobiłem osiemset złotych. No, dam te wszystkie pieniądze i niech nie będzie ani na pana doktora, ani na moje...

Reszta rozmowy ginie w pobliskiej sieni, dokąd udają się obaj kontrahenci celem uściślenia transakcji.

Znowu szept:

- Głupia! Czego się upierasz? Nie dziś, to jutro skoczysz do jamy. Co ci zależy?

- Ale u ciebie brudno. I wszy są. I to nieprawda, że wszyscy poszli do pracy, bo ten z górnego łóżka, co choruje na tyfus, nie może się przecież ruszyć.

- Ojej, ważna sprawa. Chybaż on wie, co się z nim dzieje? Czterdzieści stopni i trzynasty dzień gorączki. Wciąż mówi, że Hitler zamianował go zastępcą i kazał mu legiony zorganizować. No, chodź, chodź.

Kroki się oddalają.

Szept z sieni:

- Po co jej, starej skąpicy, tyle dolarów? Byleby dla Niemców chować...

- Ja mam klucz od jej mieszkania. Raz byłem u niej z babcią i wyciągnąłem dla kawału. A teraz się przyda...

- Ordżonikidze odbite... Roosevelt powiedział, że nie pozwoli... Papież zwrócił się do Goebbelsa, żeby... Junacy kopią jamę pod Radłowicami...

Rozstawiając szeroko nogi, by nie pośliznąć się, doktor Winter przesunął się nie zauważony wśród tysiącznych interesów tej nocy, kuszony przez wyłaniające się wciąż z jej głębi propozycje niewiarygodnych przygód i ocalań. Każda boczna uliczka, każda sień wciągała w jakieś swoje

konszachty, przed którymi bronił się, ściskając się i opancerzając wewnątrz. „Obojętność... godność... stoicyzm - powtarzał mentalnie. - Nie chcę... nie będę... Trzeba zachować postawę w tym kłębowskiu.”

- Panie doktorze - ktoś zziębnięty i pośpieszny wpadł mu prosto w objęcia i na wszelki wypadek zatytułował. - Ach, to pan doktor Menkes. Mam do pana ważny, bardzo ważny interes. Jest okazja - u chłopa - na przedmieściu - pokój zamurowany - wejście przez strych - na cztery osoby - po tysiąc złotych. Ja z żoną i córką i pan doktor. Pan doktor by pokrył koszt. To przecież dla pana doktora nie jest pieniądź. Ja z czystej przyjaźni dla pana doktora - od razu o panu myślałem.

- Ależ ja nie jestem doktor Menkes, tylko Winter - odparł tamten sucho, rozpoznając w spotkanym stałego bywalca swego biura, człowieka wiecznie zaaferowanego i tajemniczego, który go bezustannie molestował swoimi sprawami.

- Ach, to pan doktor. Ja bardzo a bardzo przepraszam. Nie poznałem w tej ciemności. Ale ta nic nie szkodzi. Ja się panu przyznam, że ja właśnie pana doktora miałem na myśli i tylko tak sobie powiedziałem, bo myślałem, że to doktor Menkes. Jakby pan doktor mógł od razu wyłożyć pieniądze, to ja bym pana doktora jeszcze dziś tam zaprowadził i sam wziąłbym żonę i dziecko. Trzeba się śpieszyć. Mówią, że coś jest niedobrze...

- Ale ja nie mam ty... - zaczął doktor Winter i urwał. Zdobycie pieniędzy nie było w końcu - po tym, co widział i słyszał - niemożliwością. Uświadomił sobie nagle, że poprzednia dobrowolna rezygnacja z życia wynikała tylko z niewiary w zachowanie go. Teraz, gdy otworzyła się przed nim furtka ocalenia, zabrakło mu odwagi, by ją zatrzasknąć. Wbrew swej lepszej wiedzy zmusił się do ufności dla człowieka, którego nigdy przedtem nie traktował poważnie. - Wie pan - rzekł nagle poufnym tonem - umówmy się na godzinę.

- Dobrze, panie doktorze, doskonale, panie doktorze. Godzina trzecia, punkt - wypalił tamten i ruszył z kopyta. Doktor Winter usłyszał po chwili za sobą jego głos:

- Przepraszam, czy to nie pan doktor Menkes?...

Obudzone na nowo pragnienie życia pchało doktora Wintera ku czynom. Ale jakim? Którą drogę wybrać? Dlaczego na przykład nie wziąć pierwszej wyłonionej z ciemności dziewczyny pod ramię? Dlaczego właściwie nie zająć się szantażem?

Próbował na chybił trafił okrzyknąć prześlizgującego się pod murami przechodnia:

- Dokumenty, proszę!

Lecz głos jego zabrzmiał - widocznie - słabo i nieprzekonywająco: ponocny wędrowiec nie dosłyszawszy lub udając, że nie dosłysz, i nie odwróciwszy nawet głowy, kontynuował swą przechadzkę.

- Czemuż to od dzieciństwa nie ćwiczyłem się w tej sztuce? - mruknął do siebie doktor Winter z żalem. - Miałbym teraz wprawę... Niepoprawna uczciwość mojej natury stłumiła mi głos i zdusiła w zarodku tę delikatną próbę, ten niejako pierwszy nieśmiały pączek szantażu. Cóż dalej?

Po chwili namysłu zawrócił ku na wpół oświetlonej bramie, gdzie wciąż jeszcze stali dwaj uczniowie, pochyleni ku sobie, z miną nader zaafierowaną. Rozczochrani i zamorusani, w wytartych szynelach, mogli liczyć najwyżej po piętnaście lat. Doktor Winter znał obydwu; w okresie, gdy aplikował jeszcze w sądzie, udzielał im nawet korepetycji. Wprasać się teraz do ich towarzystwa - było dlań nad wyraz nieporęczne. Toteż słowa jego: „O czym właściwie mówicie?” - uderzyły - wbrew jego woli - w dawny ton profesorski. Pochylone ku sobie w niewinnym geście dziecięcej zmowy twarze odstrychnęły się, zalane rumieńcem. Chłopcy wzdrygnęli się, stropieni tym bardziej, że mieli przed sobą - bądź co bądź - przedstawiciela ładu i porządku. Nie przeczuwali, że stróż praworządności zdradził tymczasem, że psychicznie przeszedł już na ich stronę.

- My nic, panie sędzio, my tylko tak...

- Nie wykręcaj się, Zygmuncie - rzekł doktor Winter nabytym w ciągu praktyki zawodowej surowym tonem sędziego. - Nie oszukasz mnie. Przed chwilą mówiliście o dolarach babci Eitlowej z ulicy Kinela.

- Jak babcię kocham - zawołał uderzając się w piersi młodszy z niedoszłych opryszków - żeśmy nie chcieli nic złego zrobić babci Eitlowej. Ja panu doktorowi wytłumaczę... niech pan doktor wysłucha... ja panu doktorowi coś pokażę... i pan doktor zrozumie...

- Co ty pleciesz? Cóż ty właściwie chcesz mi pokazać? - rzekł doktor Winter zirytowany mimowolną rolą indagatora.

- Myśmy nie chcieli babci Eitlowej... Tylko nam pieniędzy potrzeba... bo my mamy jeden karabin...

- Co to wszystko znaczy, do stu... - zawołał doktor Winter tracąc panowanie nad sobą.

- Nam bardzo pieniędzy potrzeba, bo my chcemy do partyzantki, a babci one się na nic nie zdadzą, tylko Niemcy się nimi nad jamą nakarmią, więc myśmy chcieli ją - podbródek malca zatrząś się - obrabować.

- Więc wy do partyzantki się wybieracie? - zapytał spokojniej już doktor Winter.

- Tak jest, do lasu, panie sędzio - odparł pośpiesznie starszy z obydwu, Zygmunt. - W Karpatach jest oddział, sami nasi koledzy. Dzisiaj przyszedł goniec, abyśmy doszłusowali do nich - co najmniej z dwoma karabinami, bo inaczej nie przyjmą. A my mamy tylko jeden z trzydziestego dziewiątego. Dla Witka trzeba by jeszcze jednej sztuki. A tutaj jest taki, co chce sprzedać bolszewicki automat z nabojami za dwa tysiące złotych. I dlatego chcieliśmy zrobić ten sztos - to znaczy skok - objaśnił rzeczowo. Bo babcia Eitlowa zginie tak czy tak, z pieniędzmi i bez.

- Ach, tak! Pokażcie no ten karabin.

Doktor Winter, w którym obudziła się żyłka oficerska, odczuł nieprzepartą chęć dotknięcia nie oglądanej dawno broni. Podniósłszy skobel u drzwi wszedł do izdebki, którą - po utracie rodziców - wspólnie zajmowali. W łóżku, zaścielonym bardzo starannie, owinięty w koc i nakryty pierzyną, spał cicho karabin. Zygmunt, zdjęwszy kaganek ze ściany, oświetlił go z uwagą i nabożeństwem jak trupa.

- To on! - szepnął. - Nie nabity.

Wymotawszy z obwijaków doktor Winter przycisnął go do piersi, przymrużył oko, nacisnął cyngiel. Po czym z największą czułością opatulił go znowu i wsunął pod pierzynę.

- Kogo chcecie nim zastrzelić? - zapytał. - Babcie Eitlową?

- Nie, ale można ją nastraszyć, bo po dobremu pieniędzy nie da. A jej przecie ich nie trza. Do lasu nie pójdzie.

- A ileż kosztuje tamten karabin?

- Dwa tysiące.

- A czy jest tutaj, czy w mieście?

- Tutaj.

Taką właśnie sumą doktor Winter rozporządzał. Nabywszy karabin, mógł przyłączyć się do eskapady chłopców; mógł też - w razie czego - sprzedać drogo swe życie. Ta nowa, bardziej realna koncepcja zatarła w jego pamięci właściwy cel wizyty.

- No, więc chodźmy.

- Pan doktor chce kupić karabin? Jak to dobrze! Moglibyśmy w trzech pójść z dwiema sztukami. Nie będą chyba tacy dokładni. Trzeba się śpieszyć. Ludzie przeczuwają coś niedobrego. Nikt się nie położył spać tej nocy... Junacy kopali wczoraj jamę w Radłowicach...

Wyszli w wirującą ciemność, zagęszczoną jeszcze przez świeżo opadłą mgłę. Droga była śliska, pełna zamarzłych śladów po wylanej z wiader wodzie, które znaczyły bliskość jedynej w dzielnicy studni.

Nie uszli dziesięciu kroków, gdy idący przodem Zygmunt, pośliznąwszy się, zahaczył głową o coś twardego. Z ciemności wytrysnął błysk latarki i gniewny głos:

- Szczu ce, u didka, take?³¹

Doktor Winter stanął jak wryty: ukraińska policja! Tego jeszcze brakowało! Zygmunt padając trafił prawdopodobnie jednego z nich w słabiznę: zderzenie równie nieprzyzwoite, jak niebezpieczne.

- Czoho wy po noczi łazyte?³²

- Ja maju nocnu przepustku.³³

Doktor Winter usiłował, posługując się nie znanym sobie językiem, obłaskawić policjantów.

- Ja tobi pokażu nocnu przepustku.

Błędy językowe doktora Wintera powiększyły wściekłość policjanta.

- Nocnu przepustku chce meni pokazaty - zwrócił się do towarzysza z ironią, wzywając go na świadka ignorancji językowej doktora Wintera. - Skaży meni łuczszu, zwidky ty wyszoł i szczo ty tam robył.³⁴

³¹ Co takiego, u diabła?

³² Czegóż ty łazisz po nocy?

³³ Ja mam nocną przepustkę (łamany język ukraiński).

³⁴ Powiedz mi lepiej, skąd wyszedłeś i coś tam robił?

Doktor Winter pobladał. W tamtym kierunku był tylko jeden dom mieszkalny, poza tym rudery i zgliszcza. Dalej zaczynały się druty i puste, huczące pole. Wydało mu się nagle, że tamten przeziara go na wskroś. Czuł na sobie jego szyderczy, wszechwiedzący wzrok. Domyśla się na pewno, domyśla, Obejrzał się: malców już nie było. Policjanci, zajęci rozmową z doktorem Winterem, nie zauważyli ich obecności ani ucieczki.

- Abo skążesz meni, zwidky ty wyszoł, abo...

- Panie policjancie - rzekł doktor Winter, uspokojony nieco ucieczką chłopców i przechodząc dla większej swobody...na język polski - chętnie powiem panu, skąd wychodzę. Lecz po cóż stać tu na mrozie? Pan pozwoli parę kroków ze mną do mego mieszkania. Tam panu wyłożę motywy mojej przechadzki.

- Szczo ty meni jakiś swoi motywy chcesz wykładaty³⁵ - powtórzył policjant z uporem, bodaj czy nie z pijackim? - Meni treba znaty, zwidky ty wyszoł, a jak ni...³⁶

- Z knajpy wyszedłem - odparł zuchwale i nieoczekiwanie dla siebie doktor Winter, przygotowany już teraz na najgorsze.

Odpowiedź była niewiarygodna. Knajpa znajdowała się w zupełnie innym kierunku, o czym policjanci, stali jej bywalcy, nie mogli nie wiedzieć. Przypadkowe to słowo podziało jednak zbawiennie. Głos policjanta zmieknął.

- Ano, chodim do knajpy, jak tak napyrajeszsia. Tam meni wyłożysz wsi swoi motywy. Ale uważaj, szczobyś druhyj raz ne upał na mene...³⁷

W pustej knajpie, skąd odeszli już ostatni goście, pośród wywróconych krzeseł i poplamionych piwem obrusów właściciel krząta się, chowając szklanki i talerze, zbierając rozbite szkło. Po czym w świetle kaganka oblicza kasę. Niekiedy, śliniąc palce przy rachowaniu banknotów, rzuca pobieżne spojrzenie na śpiące na podłodze pod pierzyną dzieci. Wtem podnosi głowę: nasłuchuje. Zgrzytnęła brama. Na schodach słychać podkute kroki. Odruchowym gestem chowa pieniądze pod blat stołu. Już łomocą we drzwi: „Otwierać!” Właściciel podbiega ku leżącym na podłodze dzieciom, szarpie je za ramiona: „Wstawajcie! Prędeż! Tylne drzwi!” Lecz nim zdążyły się wypłatać ze snu, drzwi pod naciskiem kolby ustępują. Właściciel poznaje twarze wchodzących: ten blondyn z szeroką gębą i zadartym nosem, nazwiskiem Mykitko, wziął w sierpniu jego matkę na śmierć. Tamten drugi, czarnowłosa, to Mikolko, który tak bije w więzieniu. Ale oblicza ich - na szczęście - nie zapowiadają dzisiaj nic groźnego; zwracają się doń nawet po polsku, co jest niewątpliwą oznaką dobrego humoru.

- Czegóż to pan nie otwiera, panie szef? My w gości do pana przyszli, a pan nas tak przyjmuje? Na wódkę do was zaszli, za bezdurno nic nie chcemy. Ani grosza nie zostaniemy dłużni. Ten pan stawia.

Właściciel mruży oczy, by rozpoznać twarz trzeciego gościa. Czyżby go wzrok mylił? Więc i ten ma konszachty z policją? Taki porządny - zdawałoby się - człowiek... Czasy, czasy...

³⁵ Cóż ty mi jakieś swoje motywy chcesz wykładać?

³⁶ Ja chcę wiedzieć, skąd wyszedłeś, a jeśli nie...

³⁷ No, to chodźmy do knajpy, kiedy się tak upierasz. Tam mi wyłożysz, wszystkie swoje motywy. Ale uważaj, żebyś drugi raz na mnie nie upadł.

- Ach, to pan, panie doktorze - mówi głośno. - Proszę, proszę!

Policjanci zajmują miejsca za stolikiem; karabiny biorą między nogi.

- Flaszkę wódki poproszę! - mówi siadając obok nich doktor Winter.

- A zakąsek to pan nie stawia, panie doktor? - mówi czarny Mikołko patrząc nań uważnie. - No, dobrze, jak pan chce. A przy wódce powie pan nam, skąd pan wychodził, kiedy my pana spotkali.

- I zakąski poproszę! - mówi doktor Winter do właściciela.

- A to coś inszego! Łosoś u was jest, panie szef? Dawaj pan kanapki z łososiem! Lu go! Za pańskie zdrowie, panie doktor! Żeby nasze dzieci bogatych rodziców mieli!

Chwila milczenia.

- Jak ja tak na pana się patrzę, panie doktor, to u mnie w głowie jest taka myśl: co by pan zrobił, jakby bolszewicy tu przyszli? A? Pan by z pewnością wszystkich niemieckich policjantów nożyczkiem... po kawałeczku... co? A ja, widzi pan, człowiek spokojny jestem, mam pana teraz, swego wroga zakłętego, w rękach - i nic. Taka już moja natura. I wódkę z panem piję. No, lu! Jeszcze po jednym! Bez obrazy, panie doktor! Nu, a co by pan tak zrobił, jakby bolszewicy tu przyszli?

- Wcale nie życzę sobie przyjscia bolszewików - odpowiada doktor Winter, patrząc mu prosto w oczy.

- Mało mi oni złego zrobili? Wcale nie życzę im zwycięstwa i...

- Komu pan życzy, panie doktor, jak nie bolszewikom? Niemcom może? A?

- No, Niemcom nie Niemcom. Chciałbym, żeby Niemcy wygrali i żeby stworzyli tutaj niezależną Ukrainę.

- Ech, jaki z pana Ukrainiec! I tak od razu! A dawniej to pan Polakiem był, co?

- Wódki jeszcze poproszę - mówi doktor Winter do właściciela.

- No, widzi pan, jaki z pana morowy chłop, panie doktor! Pij, Mykitka! - trąca kolegę. - Pij, kiedy pan doktor stawia. Widzi pan, to jest prosty parobek od gnoju, a on się przed panem krępuje, chociaż mógłby pana zastrzelić tu, na miejscu, i nikt by mu krzywego słowa nie powiedział. Zmienili się czasy, panie doktor! I ja jestem cham, chociaż mam cztery klasy gimnazjalne, a pan ma szkoły, uniwersytet. A ja dzisiaj jestem niemiecki policjant, deutscher Polizei, a pan służy przede mną na dwóch łapkach i wmawia mi pan, że pan chce, żeby Niemcy wygrali i zrobili tu niezależną Ukrainę. A wszystko dlatego, że się pan boi. Jakbym chciał, mógłbym panu kazać tańcować albo śpiewać te swoje - motywy. No i co, naprawdę myśli pan, że tu będzie wolna Ukraina?

- Tak myślę - zgadza się doktor Winter.

- Ano! Za zdrowie wielkiej Ukrainy! Cyk! Jeszcze raz! Co? I wódka już się kończy? A pan miał nam przecież powiedzieć, skąd pan wychodził, co? - śmieje się dobrodusznie.

- Wódki, panie szefie, i zakąsek - mówi doktor Winter.

- No, widzi pan, jaki pan szczerzy... Ledwo jedna wódka się skończy, już druga... Nu, a teraz zaśpiewamy: „Szczе ne wmerła Ukraina”. Pan zaczyna, panie doktor! Co? Pan nie zna, jaka jest nasza pieśń narodowa? A mówi pan, że pan chce wielkiej Ukrainy? Nu, zaczynać, zaczynać...

Doktor Winter fałszywym głosem intonuje hymn. Pijackie wrzaski budzą śpiące na podłodze dzieci, których czarne, przerażone oczy wyzierają spod pierzyn.

- Słysz, Mikolku - mówi milczący dotychczas Mykitka, spoglądając na złoty zegarek ręczny. - Już dochodzi czwarta... My mieli być tam, gdzie wiesz...

- Prawda! - Mikolko wstaje i opiera się ciężko o krzesło. - Nu, płacić! My ludzie honorowe! Za bezdurno nic nie chcemy! Ile tam się należy?

- Tysiąc osiemst trzydzieści złotych - podbiega właściciel z karteczką.

- Nu, płacić, płacić, panie doktor. Ani grosza nie zostaniemy dłużni. U nas rabunku nie ma. Do zobaczenia, panie doktor! A wciąż pan jeszcze nie chce powiedzieć, skąd pan wychodził dziś wieczorem. Ha! Ha! Nu, wódki już nie trzeba.

Doktor Winter wychodzi w ślad za policjantami na ulicę. Nie jest pijany: zbyt mocną ma głowę. Przelicza pieniądze: zostało mu dwieście sześćdziesiąt trzy złote - na tydzień życia, skromnie licząc. Przebiega myślą zdarzenia tej nocy. Szachy, skrytka, karabin i w końcu pijatyka z policjantami, to - jakże się tamten wyraził? - służenie na łapkach. Tfu! Obrzydliwość! Rozgląda się dokoła: już szarzeje.

Z ciemności wyłania się powoli perspektywa krzywych domków, ogołoconych kominów, zdobnych w żałobne sztandary wron. Śnieżna przestrzeń, pusta od środka, poryta tysiącem niewidzialnych podkopów i lochów, rozbrzmiewa wciąż bezsensnym szuraniem nóg. Czarne postacie krążą bezszelestnie, to zbijając się w grupki, to znów się rozpraszając. Brak ciepłości, by przystanąć. O czym mówić? Trzeba czekać do świtu, póki nie wszędzie spoza cmentarnego muru słońce. Nie pisana zasada głosi, że za dnia nic się nie zaczyna.

Wtedy spać! Otoczyć się na parę godzin bezpieczeństwem pierzyn, zbudować senny schron wśród masywów pościeli. Gdyby tak umrzeć we śnie?

Wtem wszyscy, jak na komendę, zwracają się w tamtą stronę. Nad murem cmentarnym wschodzi powoli kask metalowy. To Niemcy objęli straż nad przejściami. Zaczęło się! Biała przestrzeń pokrywa się momentalnie siatką czarnych, oślepych biegów. Podziemne lochy wsysają żarłocznie ludzi. Wielki, prowadzący nie wiadomo dokąd otwór kanałowy pochłania nieskończoną kolejkę. Ludzie stają w ogonku, aby zniknąć; wszystko to pod pobłażliwym okiem stalowych hełmów, które, stojąc na posterunkach, przypatrują się, nie przeszkadzają, milczą. Gra się jeszcze nie rozpoczęła. Obie strony, ignorując się nawzajem, czynią dopiero przygotowania. Z doświadczeń poprzednich akcji wiadomo, że reguły zabawy są za każdym razem odmienne. Trzeba je odkrywać wciąż na nowo. Kogo oszczędzą tym razem? Starych czy młodych? Kobiety czy mężczyzn? Skąd wezmą? Z Rady czy z domów? Trzeba ryzykować w tej grze, gdzie zasadą jest nieprzewidywalność, a stawką - życie.

Nagle - nie wiadomo skąd, z poszeptów, z pogwarek, z rzuconych w przelocie słów - wyłania się reguła dzisiejszej zabawy. Jest nią praca fizyczna. Robotnicy będą dzisiaj szanowani i nieetykalni. Nikt nie wie, jak powstał ten podział. Może przynieśli go Niemcy. Może został im narzucony,

niezdecydowanym jeszcze, przez same ofiary, które dobrowolnie rozpadły się na dwa obozy. Jakaś podstawa wyboru musi przecież istnieć. Więc na dzisiaj ta...

I oto zebrani w oka mgnieniu w gmachu Rady urzędnicy, którzy podczas poprzednich, na innej zasadzie opartych, akcji, pochyleni nad księgami, do tego stopnia zdawali się zajęci sprawdzaniem zeszłorocznych bilansów, że nie zauważyli nawet wchodzących esesowskich patroli, dzisiaj, porzuciwszy wyciągi i szkontra, rozbiegają się pośpiesznie po salach w poszukiwaniu instrumentów. Jeden wióruje znalezionym w magazynie heblem nieposzlakowanie gładki stół, inny wszedłszy na krzesło obłupuje kit z okien, by je po chwili na nowo zalepić, ów wreszcie, wyłamawszy klamkę z drzwi, zabiera się natychmiast do jej przymocowania.

Przybyły nieco później doktor Winter zdobył już tylko jako jedyne narzędzie pracy fizycznej starą miotłę wierzbową, pleśniejącą cicho w kącie. Naśladując swych zaaferowanych kolegów, zabrał się ze zwykłą starannością do wymiatania jednej z pustych sal, płosząc śpiące odwiecznym snem po zakamarkach pajęczyny.

Młody gołowąs esesowski, wszedłszy do sali, gdzie doktor Winter oddawał się swemu zajęciu, przystanął na chwilę zdumiony - w rozterce między posłuszeństwem wobec obowiązującej już teraz i jego zasady a oburzeniem wobec tak bezczelnego jej nadużycia.

- Was machst du denn hier?³⁸ - zapytał i jakby sam nie mogąc się nadziwić własnym słowom, urwał z wpółotwartymi ustami.

- Ich fege den Fussboden³⁹ - brzmiała równie oczywista jak niepotrzebna odpowiedź.

- Ja... aber... - esesowiec był wyraźnie w kłopotcie, czy zamiatanie czystej zupełnie podłogi można uważać za pracę. Wreszcie wściekłość z powodu nie znanego mu dotąd uczucia rozterki, narastając, wyładowała się w niespodziewanym dla niego samego wybuchu:

- Komm!

Doktor Winter postawił miotłę w kącie i poszedł wzdłuż korytarza z esesowcem, który wciąż jeszcze walczył ze sobą. Właściwie sprawa była niejasna. Ostatecznie zamiatanie podłogi... Korzystając z tych duchowych powikłań doktor Winter, połączony z nim ową więzią intuicyjną, jaka rodzi się między zwierzyną a myśliwym, oddalił się spacerowym krokiem ku pierwszym przygodnym drzwiom - pośpiech byłby wywołał chęć, a może i przymus pogoni - od esesowca, zadowolonego być może z wyzbycia się jedyne, jaki go kiedykolwiek trapił, moralnego problemu.

Drzwi otwierały się na schody prowadzące w dół, do kuchni i kotłowni. Zapaliwszy papierosa, doktor Winter schodził z wolna po stopniach. Nie odczuwał ulgi ani radości. Zbyt zaskakujące były te wypadki, aby dawały czas na doznanie czegokolwiek prócz komizmu przeżytej przed chwilą sytuacji. Wszystko rozplynęło się w wewnętrznym wybuchu jadowitego śmiechu...

W kuchni, dokąd zaszedł w poszukiwaniu zajęcia, wrzała praca. Wśród kłębow pary uwijały się kobiety gotujące niepotrzebną nikomu zupeł. I - jak zawsze w ustroju kapitalistycznym, tak i tutaj - okazał się nadmiar rąk roboczych. W kotłowni przy pompie pracowało już dwóch ludzi - z zapałem

³⁸ Cóż ty tu robisz

³⁹ Podłogę zmiatam

tym godniejszym podziwu, że właściwie pompa była zepsuta i wodę do kotłów kuchennych trzeba było i tak nosić wiadrami. Na metalowej rękojeści spoczywało czworo dłoni zataczających równomierne kręgi. Dwie z nich należały do Maurycego, który - chcąc w pełni zrealizować ideał robotnika - mimo mrozu rzucił marynarkę. Na uchwycie pompy zostało jeszcze niewielkie miejsce - dla jednej dłoni. Doktor Winter ujął je lewą ręką, trzeci i niepotrzebny. Obok spocona dłoń Maurycego, posuwająca się ku brzegowi i niechętny głos:

- Przeszkadzasz.

W sąsiedniej hali dudnią już po kamiennej posadzce podkute kroki. Teraz dopiero, gdy ma już za sobą poprzednie doświadczenia, wstrząsa nim groza. Czuje, jak poprzez szczękające zęby zaczyna szeptać modlitwę, upokarzając się nie tylko wobec tamtych dwóch, ale i wobec nie istniejącego Boga, któremu życzy w tej chwili z całej duszy istnienia: „Boże, uchyl ten kielich od moich warg, Boże!” I te wahania go może gubią. Bo kiedy z ust granatowych policjantów pada stereotypowe pytanie:

- Co robicie tu?

i odpowiedź z ust Maurycego:

- Pompujemy wodę

i znów śmiercionośne pytanie:

- A ten trzeci?

zwalnia rękę z uchwytu. Lub może zdaje mu się, że ją zwalnia, trzyma się bowiem jeszcze dwoma palcami, kiedy pada odpowiedź Maurycego:

- Ten się dołączył - by puścić ostatecznie dopiero w chwili, gdy słyszy słowa:

- Z nami!

Nie wie, nie wie, ale chce wierzyć - idąc teraz na miejsce stracenia - że puścił ją dobrowolnie.

Środkiem drogi suną w kapeli dzwonek sanie. Ślizgawica, że aż ha! Na wieś po zakupy! Do miasta na wódkę! Miga różowa twarzyczka w obramowaniu z futer. Z dwukonnej bryczki wychylają się dwie ociężałe głowy, kiwające się symetrycznie w dwie strony w takt ruchu zadów końskich. Lecz oto sanie, mknące dotychczas wydeptanym szlakiem, skręcają w zaspy, grzęzną. Od strony miasta nadciągają, pęczniąc w biegu, samochody, ciężkie, ładowne. Na deskach platformy żandarmi w kaskach z opuszczonymi rzemieniami.

- Leżeć tam na dole!

Głowa, wyłoniła na chwilę spoza burty, znika pod ciosem kolby. Samochody przeszły. Sanki ruszają.

Z kominów wsi Radłowice unoszą się dymy prosto w niebo. Udeptane ścieżki wiodą z obejścia na obejście. Skrzypią furtki.

- Gospośiu! Gospośiu! Jajeczek parę pożyczcie na kołaczki!

- A macie ta głowę do gospodarowania, kiedy takie się robi?

- A bo to moja sprawa, gospośiu kochana? Wola Boża! Komu żyć, komu gnić.

Szczere pole. Wzgórki, dołki, wydmy, obrywy śnieżne. Nartami by śmignąć, aż wichur by zaświstał. Prawda, że w środku jest jama osiemdziesiąt na sześćdziesiąt metrów, a kupy świeżo wyrzuconej ziemi plamą harmonijny krajobraz. Tu skręcają samochody.

Jest tam i nasz bohater. Czy poznajecie go jeszcze? Odwróćcie raczej spojrzenie, aby nie dojrzeć rumieńca, który pali mu twarz. Lecz może ten wstyd właśnie w tej wszechpodobniającej chwili odróżnia go od ośmiuset nagich, dygocących postaci.

Patrzy:

Z kominów dymy idą - prosto w niebo.

Volksdeutsche przetrząsają kieszenie za złotem.

I kiedy gestapowiec z empi w dłoni zwraca się do tłumu:

- No, dzieci, kto na ochotnika? On występuje pierwszy.

I to jest jego odwet. Nie odbierajmy ostatniej pociechy umierającym.

ZAPISKI Z MARTWEGO MIASTA (AUTOBIOGRAFIE I PARABIOGRAFIE)

Iwanowi i Marii Małankiewiczom z Sambora

Motto

„...wyobrażam sobie opowieść - najchętniej autobiograficzną, w której zmiennymi byłyby nie tyle style czy fakty, co tonacje. Jedno i to samo wydarzenie z własnego życia można by podawać kolejno w przyprawie niefrasobliwej lub tragicznej, realistycznej lub groteskowej. Zakładałoby to dystans i swobodę wobec własnych przeżyć, traktowanych jedynie jako materiał, któremu można nadawać dowolne kształty, i «parabiografia» taka zdawałaby się biec nie tyle wzdłuż, co wszerz czasu; następstwo wydarzeń ustąpiłoby w niej miejsca ich oboczności.”

(Z artykułu)

POLITYKA I SZTUKA (AUTOBIOGRAFIA)

Konflikty rodzinne

Miałem dzieciństwo - jeśli chodzi o stosunki domowe - wyjątkowo łatwe: nigdy nie odczuwałem potrzeby, aby buntować się przeciw konserwatyzmowi rodziców. Nie zastałem żadnych bram do wyważania: wszystkie były już otwarte; ani przesądów do przewycięzania: wszystkie były już obalone. Wysiłek wyzwolenia się z żydowskiego średniowiecza podjął za mnie mój ojciec; za mnie uciekał jako wyrastek z domu. Proces europeizacji dokonał się więc jeszcze przed moim przyjściem na świat. Urodziłem się w domu już polskim, już socjalistycznym i ateistycznym: około 1905 roku ojciec - jak i znaczna część młodzieży z jego dzielnicy - wstąpił do świeżo powstałej organizacji PPS. W biblioteczce domowej znajdowałem czerwone broszurki, na których tytułach uczyłem się sylabizować; przy stole słyszałem rozmowy o rozkładzie rodziny burżuazyjnej lub o przyszłym społeczeństwie komunistycznym. Na ścianach wisiały portrety dwu brodatych panów, w których nauczyłem się rozpoznawać Marksa i Engelsa; był również Heine i kamienowany przez ortodoksów Spinoza. Zwłaszcza ostatni ten obraz - dzieło żydowskiego malarza Hirszenberga - utkwiał mi w pamięci. Filozof w hiszpańskiej krezie i z opadającymi na ramiona włosami, z nosem w grubym traktacie, przechodzi amsterdamską ulicą. Widocznie niedawno rzucono nań klątwę, gdyż Żydzi schylają się po kamienie, a jakiś brodacze rozpłaszcza się z wyrazem obrzydzenia na murze, aby uniknąć kontaktu z nieczystym. Snułem - patrząc na ten obraz - niewyraźne analogie rodzinne. Czyż ojciec mój nie przypominał - mimo braku hiszpańskiej krezki - amsterdamskiego filozofa? Tak samo przecie uchodził za niedowiarka i tak samo, idąc ulicą rozczytywał się w partyjnym „Robotniku”. Rozpłaszczony na murze starzec kojarzył mi się z dziadkami, którzy również przybierali wyraz obrzydzenia, ilekroć coś nieczystego - zataczając się beztrudno prostytutka, czy wieprzek z zakręconym ogonkiem - groziło naruszeniem nieprzekraczalnej granicy, jaką wokół siebie zakreślili.

Jeżeli bowiem nie było konfliktu między mną a rodzicami, to tylko dlatego, że linia demarkacyjna przesunęła się o pokolenie wstecz: przebiegała między nami a dziadkami. Konflikt ten zaostczał się na skutek sąsiedztwa: jedni i drudzy mieszkali przy Targowicy - już nie w dzielnicy żydowskiej, ale jeszcze nie na Rynku. Bliskość powodowała ciągłe tarcia. Pamiętam furję, z jaką wpadał do nas dziadek Izrael, koźłobrody i wiecznie jak w febrze dygocący starzec. „Jaki będzie - wołał - twój koniec, Abramie (takie było bowiem pierwotne imię ojca, który dopiero w późniejszym wieku zeuropeizował je na Adolfa)? Jaki będzie twój koniec? Żonę twoją widziano onegdaj, jak wychodziła w biały dzień z wędliniarni, a ty sam ubiegłej soboty rozpalaleś - przy otwartym na oścież oknie - ogień pod kuchnią. Adolfem każesz się nazywać, a czy wiesz - tu zniżał głos do szeptu - jak cię nazywają? Acher - odstępca!

Długo znosił ojciec te inwektywy, w milczeniu, zerkając tylko co chwila na leżący przed nim numer „Robotnika”. Pewnego jednak razu - było to na jednej z biesiad świątecznych, na które rodzina stawiała się w komplecie - uśmiech znikł z jego twarzy. Kiedy piorunując swoim zwyczajem przeciw odszczepieńcom, dziadek nazwał Marksa „mechesem”, ojciec pobladł i zanim zdążyłem się obejrzeć - zastawa stołowa znalazła się na podłodze. Przy okazji spadł i modlitewnik w cielej skórce, z którego dziadek odmawiał błogosławieństwa: było to wet za wet, profanacja za profanacją. Odtąd ustały inwektywy, ale ustały i wizyty. Ojciec zerwał ostatecznie z tamtym światem.

Nie zdawał sobie jednak sprawy dziadek Izrael, że początek odstępstwu dał on sam, kiedy pół wieku temu przeniósł się z matecznika plemiennego Blichu, na teren pośredni, jakim była Targowica. Właśnie drenowano tam rozlewiska Młynówki, a powstałe w ten sposób place sprzedawano za bezcen. Że zaś nadarzyła się i okazja kupienia budulca po jakiejś rozbiórce, więc dał się skusić i po niedługim czasie okazał się właścicielem kompleksu zbudowanych przez siebie parterowych domków, co mu zyskało w dzielnicy wielce zaszczytny przydomek Dziedzica. Grunt był podmokły, na jezdni stały nie wysychające kałuże, że i budulec był mocno sfatygowany, więc na ściany rzucił się grzyb. Mieszkania te zajmowała najgorsza hołota, która nie mogła sobie pozwolić na nic lepszego. Do jednego z tych domków wprowadził się skuszony bezpłatnością i sam dziadek.

Przenosząc się tutaj nie przewidział jednak dalszych konsekwencji swojego czynu: oto że daje w ten sposób początek imigracji naszej rodziny do dzielnicy polskiej. Rzeczywiście, w nowym miejscu zamieszkania syn – zamiast na dysputy do bóżniczki – zaczął się wymykać na Rynek, skąd wraz z egzemplarzami „Robotnika” przynosił nowy język i obyczaj. Czyż nie podobnie biblijny Terach przepawił się pierwszy z chaldejskiego Ur za rzekę Eufrat i osiadł w pół drogi, w krainie pośredniej Hanan, skąd dopiero syn jego też Abraham, miał ruszyć dalej – do Ziemi Obiecanej? I czyż na odchodnym ów Abram, też nie natłukł świątków chaldejskich, którym oddawał cześć jego ojciec i też nie zmienił imienia - z Abrama na Abrahama?

Sam dziadek nigdy się zresztą na Targowicy nie zadowolił. Najchętniej wracał za rzeczkę, na Blich, gdzie żył jeszcze protoplasta rodu, pradziad Aron, znany z cudactw i prawości, arbiter wielu niegdyś sądów polubownych. Legenda głosiła, że gdy jakiś potentat miejscowy nie chciał uznać jego werdyktu, pradziad zażądał, aby ten ukorzył się stając przed nim w samych tylko pończochach; pamięć o tej Canossie przetrwała w miasteczku jako dowód wyższości siły duchowej nad świecką. Za moich czasów był to zgięty wiekiem asceta, który cały czas spędzał w bóżnicze - bardziej żółty od otaczających go świec i pergaminów, z zastygłą w zmarszczkach niby w krawędziach mosiężnego lichtarza śniedzią. Kiedy mnie doń przyprowadzono, podniósł na mnie wyblakłe ze starości oczy, lecz - czy że absorbował go jakiś trudny problem, czy że zraził brak pejsów - dość że po chwili opuścił je bez słów na maczek leżącego przed nim tekstu.

Co czało się pod martwością tych powiek? Jaką prastarą wiedzę przeciwstawił optymistycznemu światopoglądowi ojca? Co pamiętał? Tłumy huczące pod bóżniczką? Drzwi uginające się pod ciosami drągów? Łzy kapiące bezgłośnie z oczu jak sople ze świec stearynowych? Wargi poblądłe? Szczękanie zębów? Bagatelizowaliśmy tę wiedzę przekonani o rychłym tryumfie postępu. I w istocie pierwsze lata powojenne - zarówno wydarzenia ogólne, jak i rodzinne - zdawały się potwierdzać te oczekiwania. Ojciec został radnym miejskim, kandydował do Sejmu i pamiętam, jak matka rozgorączkowana i promieniejąca prowadziła mnie na wiece, gdzie groził bliżej nie określonym burżujom bliżej nie określonymi barykadami; słowo to znałem już zresztą z pieśni.

Oczekiwania nasze miały się obrócić wniwecz. Po przewrocie majowym ojciec, który dotąd kierował jedną z miejskich instytucji samorządowych, stracił zajęcie i pozostał na długie lata bezrobotnym; odsunął się też, czy raczej został odsunięty od życia politycznego. Mimo tych niepowodzeń trwał uporczywie przy swoim. Podczas gdy jego dawni towarzysze partyjni ewoluowali z duchem czasu, przechodzili do Moraczewskiego, zajmowali pozycję w życiu i apartamenty w Rynku, on nie zmieniał niczego: ani adresu, ani przekonań. Jego szczęśliwsi rówieśnicy, obecnie mecenasi, lekarze, jeżeli zjawiali się w dawnej dzielnicy, to tylko raz do roku, aby wziąć udział w nabożeństwie jesiennym, od

którego uchylić się - wciąż jeszcze nie mieli odwagi. Pamiętam sarkastyczny uśmiech, z jakim ojciec śledził ich przez okna, jak w cylindrach i czarnych garniturach, z modlitewnikami pod pachą defilowali przed naszym domem, kierując się do plemiennego matecznika, na Blich, w stronę Wielkiej Synagogi. On sam - do synagogi nie chadzał, w nabożeństwach nie uczestniczył, jeżeli zaś pochylał się nad jakąś księgą z modlitewnym żarem, to chyba jedynie nad dziełami Kautskiego lub Bebla.

Po drugiej stronie ulicy gnieździła się w małym mieszkanku rodzina matki. Nigdy nie mogłem pojąć, jakim sposobem ci dziadkowie ze swoim ośmiorgiem dzieci mogli się kiedyś pomieścić w tych dwu izdebkach; kiedyś - mówię - gdyż za moich czasów zrobiło się tam luźniej. Pierworodna córka, tj. moja matka, wyszła za mąż, a w ślad za nią wyfrunęli czterej starsi synowie. Pozostawali trzej młodszy - Mordechaj, Jonah, Icchak. Atmosfera domu była odmienna od tej, jaka panowała w rodzinie ojca. Tamta była przepojona ascetyczną eschatologią: dziad Izrael i pradziad Aron uważali, że jedyne zajęcie, jakim można wypełnić oczekiwanie na Mesjasza, to wertowanie ksiąg świętych. Żadnego wytchnienia w ich życiu i żadnej dbałości o wygląd zewnętrzny; jedyną ozdobą ich mieszkań były ciemnobrązowe tomy Talmudu. Ascetyczną tę linię kontynuował po swoim ojciec - socjalista przecie i wolnomyśliciel. I jego życie było wyczekiwaniem - nie na Mesjasza, lecz na rewolucję. I on wypełniał czas dzielący go od niej wertowaniem ksiąg - nie ciemnobrązowych tomów Talmudu, lecz broszur w czerwonych okładkach.

W matczynej rodzinie natomiast ciążenie mesjanizmu było mniej silne i nie przesłaniało całkowicie teraźniejszości. Przez liczne szpary sączyła się tu radość życia: w okresie Paschy siadywaliśmy przy stole zastanym ziołami, pełnymi jadła i kielichów. Okna były szeroko otwarte na noc majową skąd miał lada chwila przyjść prorok Elias. I rzeczywiście w pewnym momencie wydawało się, że cień topocący wlatuje do izby i upija z kielicha. Nie tylko jednak to! O charakterze domu stanowiła głównie obecność młodzieży, owych trzech wujów mówiących po hebrajsku. Mieli oni - rzecz w naszym środowisku arcyzadka - zamiłowania plastyczne i w ogóle stosunek do konkretności. Na wiosnę kopali grządki na podwórku i pamiętam olśnienie, jakim były dla mnie, chowanego w skwarze i pozbawionym zieleni świecie, strzelające z ziemi wilgotne kiełki. Kiedy pewnego razu dali mi honorowe zadanie: poszukać dla ogrodzenia grządek drutu na Targowicy, było to dla mnie swoistym wstrząsem; ów drut był dla mnie, żyjącego w świecie abstrakcji, pierwszym symbolem konkretności.

Różnice psychiczne między ojcem a wujami znajdowały przedłużenie w przeciwieństwach politycznych. Wujowie, którzy - jak się rzekło - mówili na co dzień po hebrajsku, przychodzili nie raz do domu rozradowani wieścią o świeżo zakupionych dunamach ziemi palestyńskiej czy o paru tysiącach przyznanych certyfikatów: drobne sukcesy, które nie omieszkwały wywołać sarkastycznego uśmiechu ojca. Śmieszyła go i drażniła wąskość tej ideologii, jej ograniczenie do jednego narodu. Ostatecznym jej ukoronowaniem była wizja Żydów, którzy w upalne popołudnie sobotnie wypoczywają, każdy pod swoim namiotem., „isz tachat ohalo?”. „No i co dalej?” - mawiał ojciec.

Właśnie w popołudnia sobotnie, w owe uroczyste opięte błękitem, przepojone ciszą popołudnia, kiedy czas odświętny zdaje się wahać przez chwilę, nim opadnie w powszedniość, bywałem świadkiem starcia tych sprzecznych ideologii. Podczas gdy za ścianą rozlegało się modlitewne brzęczenie dziadka, który żegnał sobotę „narzeczoną wiekuistego”, to z przeciwka dolatywał hymn *Tech' zakna*, w którym wujowie akcentowali ze szczególną siłą odnoszące się do ojca słowa: „Mi baz

lajom ktanot? Habuz lamitlocecim...”⁴⁰. Bywało, że i on nie pozostawał im dłużny i że odpowiadał na ich hymn intonowanym wspólnie z matką *Czerwonym sztandarem*. Podbite brzęczeniem dziadka melodie te kreśliły w powietrzu sobotnim swe sprzeczne arabeski, zapowiadając każda po swojemu jakiś stan idealny, kiedy „wszystko będzie dobre”, „przyjdzie Mesjasz”, „ludzie będą równi”, „każdy spocznie pod swoim namiotem”. Pamiętam, jak w pewnej chwili – słuchając tego śpiewnego sporu – doznałem uczucia nudy i mdłości – uczucia, które spełnia rolę sygnału, ilekroć w jakiejś sytuacji czy pokarmie brak domieszki goryczy. Po raz pierwszy – dotychczas całkowicie podległy ojcu – zaczynałem sobie uświadamiać własną odrębność.

To bowiem, co dla niego było punktem dojścia, dla mnie było już wyjściem. Jeżeli cechą mego rodu - czy narodu - była troska o jutro, wybieganie poza chwilę obecną ku przeszłości mesjanizmu, to ja posuwałem tę tendencję do najdalszych granic - aż do samozaprzeczenia. Wybiegałem bowiem nie tylko poza teraźniejszość, ale i poza przyszłość, wyobrażałem sobie każdą ideologię - z chwilą gdy była pomyślana - już jako zrealizowaną, każdy cel już jako osiągnięty i doznawałem wobec nich owej czczości, jaką się miewa wobec rzeczy przewyżczonych. Byłem - paradoksalnie! - konstrukcją nastawioną na dążenie, lecz pozbawioną celów: ideologiem bez ideologii, prorokiem bez wiary.

Stąd samookreślenie - rzecz dla ogółu ludzi najprostsza - miało zawsze stanowić dla mnie trudność nie do przewyżczenia. Wynik bogactwa czy ubóstwa? Permanentnie na rozdrożu, miałem pozostać kimś stale nie zrealizowanym. Moje późniejsze pisarstwo miało mi służyć po to, aby wychylać się poza siebie, eksperymentować na terenie własnej psychiki. Centralnym jego wyrazem miała się stać krytyka. Ona to pozwalała mi wdzierać się w coraz to inne dziedziny, podszywać się pod coraz to inne indywidualności.

Głosy rozlegały się w sobotnim zmierzchu, afirmując każdy swą odrębną ideologię i swą tożsamość z sobą i nie przeczuwając nawet - co ja czułem już wyraźnie - że największym ograniczeniem dla człowieka jest - być tylko tym, czym jest...

Lwów i pierwsze kontakty polityczne

Zalew polityki, na jaki wystawione było moje dzieciństwo, wywołał początkowo skutek wręcz odwrotny od zamierzonego. W latach dojrzewania uszedłem - być może przez przekorę - w dziedzinę najbardziej od aktualności odległą: w starożytność. Swój stosunek do antyku omówię obszerniej gdzie indziej. Tu chciałbym jedynie podkreślić, jak wiele zawdzięczam klasycznemu gimnazjum, owym Platonom i Sofoklesom, Wergiliuszom i Tacytom, w których się rozczytywałem dzieckiem. Prawda, że filologia nigdy nie była dla mnie celem w sobie. Szukałem w niej nie tyle wiadomości o antyku, co wzorów artystycznych; już wówczas chciałem zostać pisarzem. W mojej miejscinie zainteresowania takie uchodziły za coś osobliwego; ich odrębność czyniła ze mnie samotnika i - po trosze - mizantropa. Wydawało mi się, że tak być musi i że każdy artysta musi być nieodwołalnie skłócony ze społeczeństwem. Stąd - obok klasyków - najbliżsi mi byli ci z pisarzy nowożytnych, którzy - jak parnasiści - głosili ideał sztuki czystej i nie zaangażowanej.

⁴⁰ „Któż śmie gardzić drobnymi osiągnięciami? Pogarda dla tych, co gardzą.” (Ch. N. Bialik *Tech' Zakna*)

Ta moja postawa zaczęła ulegać zmianie z chwilą wyjazdu na studia. Uniwersytet lwowski lat 1932-36, jaki poznałem, przypominał po trosze dżunglę. Chodziło się po nim ze wzrokiem wytężonym, z napiętym słuchem: napad mógł nastąpić każdej chwili z każdego zakamarka. Siedząc w seminarium, unosiło się chwilami głowę znad książki: z korytarza dolatywał tupot pogoni i krzyki. Wtedy znów opuszczało się wzrok ku dziejom wojny peloponeskiej, udając, że nic nie zaszło. Bo - rzecz charakterystyczna - dookoła owych awantur, których widownią był uniwersytet, panowała swoista zmowa milczenia. Ignorowali je profesorowie, zdający się nie zauważać plam krwi na podłogach sal wykładowych; ignorował rektor, który - zarządzając zawieszenie wykładow - unikał starannie wymienienia powodów, jakie go ku temu skłoniły; ignorowały również władze, kiedy rozruchy - przeniósłszy się z autonomicznego terytorium uniwersyteckiego na miasto - wyludniały przez parę dni ulice, zaludniały zaś ambulatoria i szpitale. Tak faworyzowany życzliwym roztargnieniem policji, zaabsorbowanej właśnie - w chwili gdy za węglem rozlegał się wrzask ulicznej awantury - spisywaniem protokołu z przechodniem winnym nieprawidłowego przekroczenia jezdni, polski faszyzm, który dwa lata później w 1934 roku, miał objąć rządy oficjalnie, sprawował ją już teraz faktycznie, za pomocą kastetów i pałek.

Samorzutnie, bez planu, bez wspólnej ideologii, zaczęły się tworzyć na Uniwersytecie organizacje samoobrony. Każda z nich obejmowała elementy najróżnorodniejsze: od grup narodowo-żydowskich, poprzez ZNMS do przedstawicieli nielegalnych i półlegalnych organizacji komunistycznych. W jednej z tych bojówek znalazłem się i ja: po dziś dzień czuję między palcami orzeźwiające zimno wręczonego mi wówczas kastetu. Skłamałbym zresztą, gdybym twierdził, jakoby organizacje te przyczyniły wiele szkody faszystom. Mieli oni przewagę nie tylko liczebną. Byli w korzystniejszej sytuacji: mogli wyznaczać czas i miejsce spotkań, cieszyli się poparciem władz, wreszcie - brak zaprawy fizycznej czynił z nas przeciwników niezbyt groźnych. Jedną tylko pamiętam porażkę pałkarzy: było to, kiedy - ośmieleni łatwym zwycięstwem odniesionym na terenie uniwersyteckim - zapuścili się w pogoni za grupą studentów aż za Teatr Wielki, w kręte uliczki zamieszkałe przez żydowską ludność robotniczą. Przyjęcie, jakie zgotowano stanowiącym postrach całego miasta bojówkarzom, dało mi poglądową lekcję jaki jest rzeczywisty układ sił we współczesnym świecie.

Dawały mi ją również moje kontakty pozauniwersyteckie. Jak większość studentów pozamiejskowych i niezamożnych, podnajmowałem pokój na mieście nie w pojedynkę. Współlokatorami moimi bywali przeważnie starsi ode mnie studenci, mocno już zaawansowani w działalności wywrotowej. Jeden z nich szczególnie wrył mi się w pamięć. Starszy ode mnie o dwa lata Izydor Press wyglądał na czternasto lub piętnastoletniego wyrostka. Malutki, różowiutki, z okrągłą buzią przemierzał olbrzymie przestrzenie przedmieść robotniczych, gdzie prowadził partyjną robotę, biegł truchcikiem na uniwersytet, by zasiąść na godzinkę do swojej pracy magisterskiej, w której - na przekór Nietzschemu - dowodził, że kult Dionizosa w starożytności miał podłoże klasowe. Stamtąd z kolei pędził na korepetycje, by wreszcie późnym wieczorem wpaść do naszego wspólnego mieszkania. Tu zaczynał się rytuał wieczorny zaparzania herbaty i łańskie rozmówki. Profesorowie wymagali mianowicie na seminariach umiejętności płynnego wyrażania się po łacinie; postanowiliśmy zatem dla wprawy posługiwać się między sobą tym językiem. Że zaś współlokator mój nie mógł się oderwać od spraw, które go przez cały dzień absorbowały, więc - mimo archaicznej szaty - treść tych pogawędek była arcyaktualna. Padały tam zdania w rodzaju: „Scin? Heri cessatio laboris apud oper arios aedificatorios incepit”, co w przekładzie na polski znaczy: „Wiesz? Wczoraj wybuchł strajk budowlanych”. Rozmówki te - nie wiem czy utrzymywane w stylu idealnie cyceroniańskim - miały tę niewątpliwą

zaletę, że służyły nam jako szyfr wobec nazbyt wścibskich i oddzielonych tylko przepierzeniem gospodarzy.

Wcielonym przeciwieństwem Pressa, którego niepokazną figurkę, filologiczne roztargnienie, dziecinny entuzjazm, budziły raczej wesołość, był inny mój przyjaciel z tego okresu, Karol Katzner. Syn znanego lekarza lwowskiego, sam student – dostępnej wówczas tylko wybrańcom – medycyny, przystojny i obdarzony dużym wdziękiem osobistym, zdawał się nie mieć żadnych przyczyn do niezadowolenia z istniejącego stanu rzeczy. Kiedy go poznałem, zrobił na mnie wrażenie złotego młodzieńca. Jako kompan był niezrównany. Celował we wszystkich grach hazardowych, w których – jak i wszędzie indziej – szczęście go nie opuszczało. Podziwiać można było niechybne mistrzostwo, z jakim – pochylony nad kijem bilardowym – powodował wielokrotne karambole, lub suche opanowanie, z jakim dublował stawki w kartach. Wydawało się, że hazardując chce wystawić własne szczęście na próbę: a nuż nie dopisze? A jednak dopisywało zawsze.

Niebawem zacząłem wraz z paru kolegami bywać w domu Katznerów na proszonych podwieczorkach, które stopniowo przekształciły się w wieczory dyskusyjne. Przebiegiem tych rozmów, całkowicie na pozór samorzutnych, kierował – jak się niebawem zorientowałem – niepostrzeżenie Karol, doprowadzając je do upragnionych wniosków. Wtedy to zrozumiałem, po co był mu potrzebny ów styl złotego młodzieńca, który tak podkreślał swoim noszeniem się i sposobem bycia: służył mu jako barwa ochronna. W wyniku owych wieczorów uczestnicy ich stanęli przed alternatywą: albo wysnuć z nich wnioski praktyczne i wziąć udział w robocie podziemnej, albo wycofać się całkowicie.

Wiosną 1936 roku alternatywa ta stanęła przede mną w całej ostrości: rozpoczęła się wówczas kontrofensywa przeciw faszyzacji kraju; zdawało się, że głuche lata dobiegają końca. Historycy mówią w takich razach o narastaniu fali rewolucyjnej. Mnie zagarnęła ona w pewien wiosenny poranek, kiedy – idąc na uniwersytet, aby posiedzieć nad pracą magisterską – zobaczyłem idącą śpiesznym krokiem przez park Jezuicki grupkę robotników ze zwiniętym czerwonym sztandarem. Okazało się, że jest to delegacja budowlanych idąca na pogrzeb Kozaka. Dwa dni temu bezrobotni demonstrowali przed starostwem; jeden z nich, nazwiskiem Kozak, został w czasie utarczki z policją zabity. Z tego pogrzebu postanowiono uczynić manifestację. Bez wahania przyłączyłem się do grupy. Zawsze – nawet w moich najbardziej apolitycznych okresach, a cóż dopiero w tych latach rewolucyjnego fermentu – pojawienie się czerwonego sztandaru budziło we mnie uśpione tradycje rodzinne.

Przed gmachem Związków Zawodowych, szarym i brzydkim, formował się pochód. Po raz pierwszy w życiu znajdowałem się w tak bardzo zrewolucjonizowanym tłumie. Nastrój był napięty. Krążyły niepokojące wieści: starostwo – mówiono – wydało zarządzenie, aby zabitego pochować na cmentarzu Łyczakowskim, tuż obok kostnicy; według poprzedniej marszruty miano go złożyć na Janowskim. Rzecz na pozór błaha i formalna; w istocie chodziło o sprawę znacznie poważniejszą. Aby dostać się na cmentarz Janowski, kondukt musiałby przejść przez sam środek miasta, przeistaczając się tym samym w wielką manifestację polityczną. Na Łyczakowski natomiast, który znajdował się o dwa kroki od kostnicy, dotarłby prawie nie zauważony.

Było już południe, kiedyśmy doszli na Piekarską. Mimo upału okna były pozamykane, żaluzje pospuszczone. Kamienice odgradzały się z nieufnością od ulicznych wydarzeń; tylko lufciki strychów zdawały się obserwować ciekawie to, co się działo w dole. Kiedy trumnę wyniesiono z kostnicy, rozległy się okrzyki: „Na Janowski!” Tysiące pięści dźwignęło się ku górze. Chwiejnie, wśród

rozstępujących się szeregów, trumna przepłynęła z jednego końca pochodu na drugi. Kondukt zrobił w tył zwrot - mimo zakazu władz szliśmy na Janowski.

Wtem z wysoka - chyba z owych lufcików - sypnęło po nas drobnym makiem. W okamgnieniu szeregi pękły, wszczął się zamęt. O parę kroków ode mnie ktoś wzywał ratunku. W tym zamęcie uciekałem i znów biegłem naprzód chwyciwszy cegłę z przydrożnej budowy. Moim punktem orientacyjnym była górująca ponad tłumem trumna. W pewnej chwili znikła mi z oczu, jakby się osunęła, po czym wypłynęła znowu, ale teraz niesiona już chyba przez innych – tak, przez innych.

Nie w szeregach już – bezładnymi kupami, wciąż pod nie wiadomo skąd dolatującym ostrzałem dobiegliśmy do Legionów, najwykwintniejszej ulicy miasta, teraz zastanej odłamkami szkła i kamieni. Materiały, obuwie, cacka jubilerskie stały na wystawach dostępne, nie chronione już przez szyby ani przez policję i czekając jedynie na chętnych: nikt nic nie ruszał. Krzyczano: „Nie rabować” i „Na Brygidki! Odbić więźniów politycznych!”.

Na ulicy Zygmuntowskiej, u której wylotu szarżało więzienie, mignęły mi zadarte pyski końskie i usłyszałem tętent kopyt, gdzieś gwizdnęła kula. „Szarża policji” – pomyślałem i uskokczyłem do sieni. Gdy wyszedłem, ulica była pusta, po drugiej stronie dozorca wciągał jakieś ciało do bramy. Aby odetchnąć, wpadłem obok do parku Jezuickiego. Kręciły się tu niańki z dziećmi, skrzypiał piasek i resory wózków, słońce prześwitywało przez liście. Na ławce, obok mnie, jakiś student poruszał rytmicznie wargami na skrypcie. Niedługo tu wytrzymałem. Bocznymi uliczkami przedostałem się na plac przed Teatrem Wielkim. Tam, u wylotu Gródeckiej, leżał już przewrócony w poprzek przez jezdnię tramwaj. Jakiś chłopak zatrzymywał furmankę, spędzał woźnicę i wyprzęgał konie. Wóz wraz z tramwajem stanowił przegrodę biegnącą przez ulicę. Była to prawdziwa barykada – jedyna, jaką widziałem w życiu. Dotąd znałem ją tylko ze słyszenia – z przemówień i z pieśni; teraz – słowo stawało się ciałem.

Nie było czym o nią walczyć; mieliśmy tylko kamienie. Z przeciwka, od strony więzienia, gwizdały policyjne kule: ktoś upadł trafiony i usłyszałem krzyk kobiecy. Niebawem ujrzałem, jak mundury policyjne wychylają się spoza Teatru, biorąc nas w dwa ognie. Rozproszyliśmy się. Barykada na Gródeckiej - jedna z najbardziej krótkotrwałych, jakie zna historia - została zdobyta. Długo jeszcze tego dnia - aż do późnego wieczoru - trzeszczały salwy i krążyły patrole po zaciemnionym mieście. Niezliczone klepsydry, jakie nazajutrz upstrzyły jego mury, starannie przemilczające przyczynę tylu równoczesnych zgonów, świadczyły o przerażeniu władz wobec własnego dzieła.

Kraków-Warszawa i pierwsze kontakty artystyczne

Wydarzenia kwietniowe stały się przyczyną, że pod koniec 1936 i z początkiem 1937 roku ściślej niż dotychczas związałem się z partią. Nie będąc nigdy jej członkiem, stałem się odtąd aktywnym jej sympatykiem; mieszkanie swe oddałem do dyspozycji jako miejsce zebrania i skład nielegalnej bibuły.

Wiosną 1937 roku Karol znalazł się w potrzasku. Stało się to w związku ze słynną wyspą Cywińskiego, w wyniku której w posiadaniu władz śledczych znalazło się archiwum partii, między innymi spis niektórych jej działaczy; wśród nich figurowało i nazwisko Karola. W domu jego zrobiono rewizję; wśród innych papierów znaleziono tam i mój indeks, który - nie pamiętam już, dla jakich celów - mu

wypożyczyłem. Nieobecny podczas rewizji w domu i ostrzeżony o niej, Karol spędził wówczas parę dni w moim mieszkaniu - bijąc się z myślami, czy zdecydować się na ucieczkę z kraju, czy też odsiedzieć swoje, aby po wyjściu z więzienia - kontynuować studia i partyjną robotę. Przeważała ta druga alternatywa. Po trzydniowym pobycie u mnie Karol powrócił do domu. Niebawem otrzymał trzyletni wyrok, który odsiadywał w twierdzy kaliskiej, skąd wyzwolił go dopiero wybuch wojny.

Właśnie wtedy ukończyłem studia i znalazłem się na rozdrożu. Nic nie wiązało mnie już ze Lwowem. Co więcej, pewne poszlaki wskazywały na to, że jestem pod inwigilacją. Zdrowy rozsądek dyktował jak najrychlejszą zmianę miejsca pobytu. Wybór mój padł na Kraków. Do przeniesienia się tam skłaniały mnie również moje zamiłowania literackie. Był to teren ciekawszy od Lwowa, liczba zgromadzonych tam indywidualności - większa. W nawiązaniu pierwszych kontaktów na terenie krakowskim pomógł mi Bruno Schulz. List, jaki mi dał do tamtejszego krytyka, Henryka Webera, wprowadził mnie w nowe środowisko.

Mój cicerone to typowy przedstawiciel tej już przedwojennej generacji, której polski faszyzm odebrał młodość, a niemiecki - życie, generacji niepełnej jak gdyby i nie dokończonej, a to zarówno z winy bardzo nie sprzyjających okoliczności zewnętrznych, jak i pewnych przyczyn tkwiących w niej samej. Umieszczała ona swe ideały artystyczne tak wysoko, że w praktyce skazywało ją to na jałowość; jej sztuka była typową produkcją dla producentów. Już samym swym wyglądem Henryk Weber zdawał się zdradzać przynależność do tego pokolenia ludzi zapowiadających się raczej niż spełnionych: olbrzymia, sokratyczna głowa o nagiej, pogiętej jak miedziany kocioł czaszce, barczyste ramiona, krępy, szeroki tułów, wszystko to osadzone było na nogach zbyt krótkich, aby dźwigać tak potężną nadbudowę. Podobnie i jego tubalny głos, rozlegający się z przedpokoju, zapowiadał wkroczenie olbrzyma. Oczekiwanie to zawodził wchodzący przysadzisty człowieczek, który zresztą po chwili opanowywał całe towarzystwo swą błyskotliwą rozmową. Prawda, że wypowiedzi te - słuchane z nie słabnącym zainteresowaniem - pozostawiały pod koniec wrażenie barwnego, wirującego chaosu. To samo wrażenie wywoływała lektura jego - publikowanych w pismach krakowskich - recenzji malarskich oraz jego nie publikowanych wierszy. Innymi słowy, jego twórczości pisanej i mówionej - bo i mówienie było dlań twórczością - brakło myśli przewodniej, skupienia na jednym przedmiocie, określonego kierunku uderzenia. Dopiero w okresie radzieckim (1939-41), w gorączkowej atmosferze organizującego się - już nie w Krakowie, ale we Lwowie - życia artystycznego, Weber określił się wyraźnie i - ze względu na rychłą śmierć - nieodwołalnie jako przeciwnik malarstwa naturalistycznego. Ówczesne jego powiedzenia stawały się obiegowymi cytatami. Pamiętam, jak podczas publicznej dyskusji nad obrazem przedstawiającym nadanie ziemi - bardzo naturalistycznie namalowanym - chłopom Weber zawołał: „Malarz, który w takiej chwili widzi guziki, nie widzi rewolucji”.

Środowisko, do którego dzięki niemu wszedłem, składało się z młodych literatów i malarzy. Już to ostatnie stanowiło dla mnie, wykarmionego wyłącznie na literaturze, nie lada nowość. Wizualnie - byłem dotychczas wrażliwy wyłącznie na senne uroki prowincji. Wieczne włóczęgi w towarzystwie malarzy otworzyły mi oczy na piękno wielkiego miasta, jakim mi się wydawał Kraków. Polubiłem pędzące po wiaduktach pociągi, zgrzyt nocnych tramwajów, wapienne światło latarni na opustoszałych budowach, rzędy mieszkań zapełniających się miodem po suficie.

Zamiłowanie do urbanistycznej fantastyki łączyło się u członków grupy krakowskiej z ideologią zdecydowanie komunistyczną. Połączenie to podchwycił Juliusz Wit, kiedy w poświęconym jednej

z krakowskich malarek wierszu pisał: „Wśród światła tańczących ogniowej huty - z płomienia tancerką - byłabyś wprost - gdybym nie wiedział, że jesteś żołnierzem...” W istocie wszyscy oni byli „tancerzami wyobraźni” i „żołnierzami rewolucji” jednocześnie. Nagła wizyta policyjna odrywała ich od kamienia, płótna czy papieru, aby ich przenieść - jak rzeźbiarza Wicińskiego - do więzienia czy - jak malarza Sterna - do Berezy. Jakkolwiek grupę tę poznałem już w okresie, gdy polityczna jej aktywność - ze względu na rozwiązanie partii - osłabła, to i tak górowała ona nad środowiskiem lwowskim. Była ona narodowościowo bardziej zróżnicowana: w skład jej wchodził Polacy, Ukraińcy, Żydzi, co działało jako odtrutka zarówno na rasizm oenerowski, jak i na skłonność Żydów do izolacji. Na uniwersytecie lwowskim w ofensywie byli faszyci; tutaj - i lewica przechodziła do ataku.

W okresie naszej znajomości grupa ta - już w znacznej mierze po studiach - wydawała niegdyś akademickie, obecnie literacko-społeczne piśmiennictwo „Nasz Wyraz”, którego redaktorami byli Kornel Filipowicz i Helena Wielowieyska, czołowym krytykiem Ignacy Fik, czołowym humorystą - Zygmunt Fijas, a bożyszczem poetyckim - Julian Przyboś. Piśmiennictwo to, z którym nawiązałem współpracę w 1939 roku, znajdowało się - jak całe środowisko - pod podwójnym wezwaniem: jednolitego frontu antyfaszystowskiego w polityce i awangardy w sztuce.

Opozycyjni zarówno wobec poezji skamandrytów, jak i wobec malarstwa kapistów, awangardziści krakowscy pragnęli wyrazić stosunek do świata mniej doznawczy i hedonistyczny, postawę aktywną, która kształtuje i przekształca rzeczywistość; obrazy ich - bardziej aluzyjne - były nie kopią, lecz skrótem. Takie jest - twierdzili - widzenie świata charakterystyczne dla nowoczesnego człowieka. Odwołując się w zasadzie do przyszłości, wskazywali już w chwili obecnej na pewne zapowiedzi umasowienia ich sztuki, na fakt np., że wystawione przez Juliusza Wita w krakowskim Domu Górnika awangardowe widowiska, montaż dramatyczny z wypadków w „Semperiecie” oraz inscenizacja *Pociągu historii*, spotkały się u publiczności robotniczej z gorącym przyjęciem. Sukcesy te nie wystarczyły jednak, aby mnie osobiście przekonać do ich poezji. Wychowanek tradycji klasycznej i parnasistowskiej, reagowałem niechętnie na ich hermetyzm, na wysilenie, na specyficzne połączenie wyrafinowania z barbarzyństwem, wreszcie - na nadmierny ekskluzywizm. Nie znajdowałem też tu na razie niczego, co by mną wstrząsnęło równie mocno, jak wiersze Leśmiana czy Tuwima. Zastrzeżenia te trwały do chwili, kiedy jesienią 1938 roku ktoś mi wręczył świeżo wydany tomik Przybosia *Równanie serca*.

Cały naładowany niewybuchłą dynamiką, dygocący od oczekiwanych eksplozji, zbiór ten objawił mi, kim jesteśmy my, kupiacy się po kawiarniach, dyskutujący o wierszach, obrazach, prądach: pokoleniem wojennym, któremu dopiero dzień jutrzejszy wykuje twarz albo - maskę pośmiertną. Nie mogłem oczywiście przewidzieć, że ten oto poeta będzie zebrał o kawałek chleba, że tamten malarz wyśliźnie się spod stosu rozstrzelanych i przewędruje nago setki kilometrów; że tej malarce zamordują na jej oczach rodziców; że ten oto miły pijak zginie pod Stalingradem, a inny - równie miły - okaże się hitlerowskim agentem. Ale jakieś tchnienie nadchodzącej epoki powiało na mnie z kart tej książki: rozejrzałem się bacznie dookoła.

Patrząc na swoje otoczenie z perspektywy wojny, zauważyłem rzeczy osobliwe: było ono niczym kretowisko, przebiegały przez nie tu i ówdzie podziemne chody, nie wiadomo dokąd prowadzące. Kim był na przykład ów sympatyczny kiper, który przyplątał się do nas aż z ONR-u i któregośmy jako neofitę otoczyli szczególną opieką, przygarnęli, odchuchali, zaopatrzyli w mieszkanie, a nawet - jakkolwiek dziwnie to brzmi - w ochronę prawną? Neofita ów zjawił się bowiem u nas obciążony

pewnymi grzeszkami przeszłości: czy to, że pikietując sklep żydowski, pobił jakiegoś klienta, czy że rzucił do wnętrza cuchnącą bombę, dość że miał sprawę sądową. Że jednak ówczesna procedura sądowa była nader powolna, znajomek ów - będąc już członkiem ZNMS-u i naszym nieodłącznym kompanem - broniony przez naszego adwokata - odpowiadał za przestępstwo popełnione ze zgoła odmiennych pozycji. Była to jedna z owych rzadkich spraw, gdzie na łagodnym wyroku zależało wszystkim: lewicy, prawicy i samemu sądowi. Toteż bohater nasz otrzymał - ku ogólnemu zadowoleniu - jakiś drobiazg, dwa albo trzy miesiące, i to jeszcze z zawieszeniem. Chadzał zatem przykładnie na zebrania ZNMS-u, brał udział w dyskusjach, a nawet - dla tym pełniejszej aklimatyzacji - zakochał się na zabój w jednej z naszych koleżanek. Wszystko byłoby więc w najlepszym porządku, gdyby nie drobne wydarzenie: oto na demonstrację 1 maja 1939, która była w tym roku przez władze zabroniona, a na którą wybrali się samorządnie ludzie z naszego środowiska - napadła policja. Traf chciał, że koleżance będącej przedmiotem jego uczuć mignęła - podczas gdy siedziała już w karetce więziennej - twarz owego znajomka, który przed chwilą siedł obok niej w szeregu, teraz zaś - jak gdyby wyłączony z całej akcji - przechadzał się z uśmiechem zadowolenia po trotuarze. Zaznaczyć zresztą należy, że znalazł się on później również wśród aresztowanych, tak że cała sprawa pozostała - jak to często w takich wypadkach bywa - nie wyjaśniona.

Wydawało mi się chwilami, jakoby w całym społeczeństwie ówczesnym krążyła jakaś zawiesina odbierająca mu klarowność. Mętlik w umysłach był tak duży, że nikogo nie dziwiło, jeśli - dajmy na to - antyhitlerowski wiec kończył się biciem Żydów. Tak np. pamiętam, że - w dzień po zajęciu Czechosłowacji przez Trzecią Rzeszę - na grupkę moich przyjaciół (byli to - jeśli się nie mylę - Michał Chmielowiec, Kornel Filipowicz, Helena Wielowieyska) napadli z okrzykiem „Bij Żyda!” bojówkarze, wychodzący z wiecu protestacyjnego przeciw zakusom Hitlera na całość Polski. W tym wyczynie oenerowców, którzy wiecują przeciw Hitlerowi, wznoszą okrzyki przeciw Żydom, a rzucają się na Polaków - znajduję coś symbolicznego.

Drażniące poczucie zamętu i zagrożenia, błędzenia po omacku wśród ludzi, o których nie wiadomo, kim są, ogarniało mnie zwłaszcza podczas moich przelotnych pobytów w Warszawie. Stolicę ujrzałem po raz pierwszy 1 kwietnia 1937 r., w dzień Anschlussu Austrii oraz sanacyjnego ultimatum skierowanego do Litwy. Wybierałem się wówczas do Tuwima, z którym już poprzednio prowadziłem korespondencję. Czy to jednak, że na taksówkę nie miałem pieniędzy, czy że tramwaje były zbyt natłoczone, czy że bałem się im zaufać, aby nie zabłądzić - dość że długą drogę z Dworca Głównego na Mazowiecką odbywałem pieszo, przedzierając się przez rojny tłum, wśród którego krążyły tu i ówdzie bojówki oenerowskie, wywijające pałkami i wiwatujące - nie pamiętam już, na czyją cześć. Gdzieś usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. Pamiętam, jak ostry kontrast z tą zdziczałą ulicą stanowiło dla mnie mieszkanie poety, zalane kwietniowym słońcem, zastawione aż po sufit książkami. Gawędziliśmy, nie pamiętam już dokładnie o czym, chyba o Horacym, na którego poeta - wiedząc, że jestem filologiem klasycznym - skierował rozmowę. W pewnej chwili przez otwarte okno doleciał nas tupot pogoni i przeraźliwy krzyk: „Nie bić!” Spojrzeliśmy po sobie zmieszani, tak niewczesny wydał nam się nagle Horacy w zestawieniu z tą barbarzyńską ulicą.

Kontakty z luminarzami były jednak w moim ówczesnym życiu wydarzeniem odświeżającym i mniej pouczającym niż inne, znacznie skromniejsze znajomości. Parnas nie jest miejscem, skąd najłatwiej obserwować życie. Aby je poznać, trzeba być wystawionym na wszystkie jego ciosy, podróżować przez nie pieszo, nie zaś samochodem, przebijając się przez świat, który nie przybiera na nasz widok maski ugrzecznienia. Środowisko młodzieży artystycznej, które poznałem w Warszawie, nie miało -

jak krakowskie - wyraźnie wykrystalizowanego oblicza: nacisk pieniądza był w nim silniejszy, pokusy sukcesu - większe, walka o byt - ostrzejsza. Jakąś swą odnogą uchodziło ono w całkowicie już mętny i podejrzany światek pół artystów, pół geszefciarzy, ludzi, którzy - dla eksperymentu psychicznego czy dla zysku - zdolni byli do wszystkiego i mieli tego dowieść w niedalekiej przyszłości. Dużą fascynację na wielu z nich wywierał cynizm polityki hitlerowskiej; widzieli w nim objaw tryumfu nowej moralności nad „głupim XIX wiekiem”. Chciałbym opowiedzieć w tym miejscu pewną charakterystyczną dla ówczesnej atmosfery historyjkę, wiedząc zresztą z góry, że nie uda mi się oddać dreszczu grozy i obrzydzenia, jaki mnie ogarnął w chwili, gdym ją przeżywał.

Rzecz działa się jesienią 1938 r., w gorączkowych dniach pomonachijskich, gdy rząd sanacyjny wydierał dogorywającej Czechosłowacji Zaolzie. Rodzimy faszyzm tryumfował; Polska włączyła się do systemu „Neueuropa”; dzień porachunku z komuną wydawał się bliski. W jeden z owych wielkomięjskich wieczorów, kiedy ryk klaksonów miesza się z krzykiem gazeciarzy, z lokalu buchają strzępy rozmów, śmiechów i jazzu; a przez wciąż uchylane drzwi słyszeć, jak kelnerzy, kłaniając się w pas, tytułują każdego wchodzącego „panem hrabią”, w jeden z takich wieczorów zaszedłem - świeżo wylądowawszy w Warszawie - do znanej kawiarni artystycznej. Byli tam i surrealiści, i specjaliści od psychologii głębinowej, i neokatolicy, którzy słyszeli, że w jakimś kościele dzwoniono, ale nie bardzo wiedzieli, w jakim, i wschodzące gwiazdy, i autorzy powieści brukowych, wszystko to stłoczone przy parunastu stolikach, spowite kłębam dymu. Rozmowa toczyła się w owym - tak właściwym temu środowisku - tonie bezustannej zgrywy, który dopuszcza wszelką bzdurę, byle nie wypowiedzianą na serio, byle ujętą w autoironiczny cudzysłów, byle zaznaczającą, że rozmówca stoi ponad tym, co mówi, i że posiada jakieś - nie ujawnione w danej chwili - rezerwy.

W chwili gdy przysiadłem się do jednego ze stolików, opowiadano tam właśnie, że zadowolony w tym towarzystwie autor brukowych powieści, który przed paru miesiącami znikł z Warszawy, pojawił się w niej znowu - i to we wspańiałym samochodzie. Nowość tę powtarzano sobie jako zabawną fikcję, którą sprawdzać czy też oceniać byłoby nietaktem. W tej chwili przez szybę ujrzałem lśniąca od niedawnego deszczu powłokę samochodu i do kawiarni wszedł wysoki blondyn o typie wyraźnie, jak wówczas mówiono, nordyckim, który, przysiadłszy się do naszego stolika, zaczął - wciąż w tym samym tonie nieobowiązującej blagi - opowiadać coś, co - wzięte na serio - kwalifikowałoby go, nawet w ówczesnej sytuacji, na salę sądową. Była to historia o jakiejś wizycie w Berchtesgaden, o jakiejś audiencji u Goebbelsa, o ofiarowanym wielkodusznemu aucie; wszystko podane jako dobry kawał, jako rzecz *nie do wiary, lecz do zabawy*, przeciw której - pod groźbą wyskoczenia ze stylu - nie można było protestować; protestować bowiem - to brać na serio. Kto wie, czym jest tyrania stylu obowiązującego w danym towarzystwie, zrozumie, jakiego wysiłku wymagały ode mnie wypowiedziane w pewnej chwili ze śmiertelną powagą słowa:

- Dziwiłbym się, gdyby Goebbels czynił takie podarunki bezinteresownie.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Już spoczął na mnie wzrok matadora towarzystwa i twórcy obowiązującego w nim stylu, wschodzącej wówczas gwiazdy literatury, już oczekiwałem surowej reprimendy, gdy - na szczęście! - nowo przybyły znalazł się na wysokości sytuacji i wycedził z uśmiechem, ukazującym wszystkie zęby:

- Czy pan wie, że starczy mego jednego słowa, aby się pan znalazł jutro w Dachau?

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Paradoks był tak niebywały, że uśmiech znowu zawitał na twarze, styl nieobowiązującej blagi zatryumfował i rozmowa potoczyła się dalej.

Opowiadanie to byłoby niepełne, gdybym nie dodał doń paru danych z późniejszego okresu.

Szczęśliwy posiadacz samochodu - korzystając ze swych znajomości w świecie artystów - organizował w latach 1939-42 „życie kulturalne” w GG, tzn. szantażował i wydawał na stracenie swych byłych znajomych, do chwili kiedy w 1943 r. w Krakowie wykonano na nim wydany od dawna wyrok śmierci. Zwał się Brochwicz. Fantastyczna jego opowieść o wizycie w Berchtesgaden, o audiencji u Goebbelsa, o podarowanym mu aucie, wszystko - nawet pogrożka, że potrafi osadzić polskiego obywatela w Dachau - było najszczerzą prawdą. Szczwani specjaliści od psychologii głębinowej padli ofiarą własnej przemądrzałości. Nie biorąc - w obawie przed nabraniem - niczego na serio, nie wzięli też na serio i hitlerowskiego szpiega, który - pewien bliskiego zwycięstwa i obłąkany pychą - odślaniał im rąbek dnia jutrzejszego.

URYWKI Z PAMIĘTNIKÓW MIECZYŚŁAWA ROSENZWEIGA (PARABIOGRAFIA)

Wstęp

Wiem, że wprowadzając w tym miejscu *Pamiętnik Mieczysława Rosenzweiga*, dodając do „ja” autorskiego „ja” bohatera i do jednej osoby pierwszej - drugą, komplikując, słowem, biografię o fikcję, narażam się na moc nieporozumień, którym zapobiec mogę jedynie przez autokomentarz. Proceder to jednak nader ryzykowny. Obnażać korzenie własnego utworu, wyjaśniać, jak odbyło się „naprawdę” to, co uległo później przeróbce na literaturę - to rozbijać jednolitość książki, której kolejne rozdziały zostają umieszczone jak gdyby na różnych piętrach świadomości. Można tak nawijać komentarze na komentarze i wstępy na wstępy w nieskończony, koncentryczny kłębek. Cóż to za okazja do mistyfikacji - taka pozorna szczerość! A jednak ryzykownego tego procederu nie sposób uniknąć. Nie mam, prawdę powiedziawszy, najmniejszej ochoty, aby brać odpowiedzialność za czyny i myśli swego żenującego bohatera. Tymczasem wszystko w tej książce - oboczność dwóch „ja”, podobieństwo miast rodzinnych, fakt wreszcie, że akcja tego opowiadania zaczyna się dokładnie tam, gdzie się kończy rozdział poprzedni, tzn. w przededniu wybuchu wojny, wszystko skłania do tego, aby nas utożsamiać: stąd konieczność przedmowy, która by wyjaśniła, co w tej postaci jest z autobiografii, a co - z fikcji.

Miejsce i data powstania tego utworu: Paryż 1948 r. Był to okres, kiedy po zrodzonej z wojennych doświadczeń *Śmierci liberała* nosiłem się z zamiarem spisania swych przeżyć przedwojennych, plan, który doprowadzam do końca dopiero w chwili obecnej. W skład nowej książki miały wejść m.in. i moje literackie pierwociny: wiersze, prozy poetyckie, przekłady. Przeglądając je i poddając powtórnie ocenie, nie mogłem nie zauważyć ich akademizmu i wtórności. Mroziła mnie ich bezbłędna polszczyzna, ich nieskazitelne rymy i przenośnie; ta napięta do ostateczności forma zdawała się popisywać sobą, na coś się sadzić i do czegoś wspinać. Urodzony - ja się rzekło - na pograniczu dwu narodowości i klas, na dwuznacznej Targowicy, za sobą miałem siedlisko żydowskiej nędzy i ciemnoty - Blich; przed sobą, na wzgórzu - nasz małomiejski Rynek. Do tej dzielnicy kultury i polszczyzny musiałem - najdosłowniej - się wspinać. Przez zapach rynsztoków, przez charkot handełesów, przez zawrodość żebraków dobiegałem do schodków, na których szczyt przystawałem na chwilę, aby otrząsnąć się ze wszystkiego, co przyłgnęło po drodze, usztynić się i ucywilizować. Czyż nie podobnie - wchodząc w świat kultury swoimi pierwszymi utworami - tarłem je tak długo, aż ścierałem z nich wszelki znak życia i autentyczności?

Autentyczność - oto pojęcie, które uchodziło w ówczesnej myśli egzystencjalistycznej - przebywałem przecie w Paryżu - za kamień węgielny moralności. Do kwestii żydowskiej zastosował je świeżo w swym studium o antysemityzmie Sartre. Żydzi - twierdził - przebywając wśród obcych, winni bronić się przed asymilacją, dochowując wierności sobie i swemu narodowi. Pięknie! Ale Żyd już zasymilowany i umieszczony na pograniczu dwu narodowości, której z nich ma być wierny? I czyż ta wierność - zwłaszcza w okresie srożącego się antysemityzmu, kiedy być dwunarodowym to jakby mieć sforę psów rozżartych w sobie - nie musi oznaczać wierności wobec własnego rozdarcia, wobec własnej - nieautentyczności? I tak - polemizując myślowo z Sartre'em - zacząłem tworzyć Mieczysława Rosenzweiga, postać - jak już z samej nazwy wynika - rozdwojoną, z jednej strony głęboko

nieautentyczną, bo nienawidzącą siebie samej, z drugiej - obdarzoną jakąś autentycznością wyższego rzędu, bo wypowiadającą tę sytuację jasno i bez ogródek. Dałem jej to i owo z własnej biografii, dałem jednak i coś całkowicie mi obcego: poglądy szlagońsko-endeckie. Biorąc za punkt wyjścia własną sytuację - sytuację człowieka pogranicza - i wyjaskrawiając jej sprzeczności, doszedłem w rezultacie do stworzenia tej karykatury - dobytej z ciemni psychicznej, ze wstydliwych zakamarków, dokąd rzadko ktokolwiek z nas zagląda.

Nie o to bowiem chodzi, że Mieczysław Rosenzweig akceptuje polskość, lecz o to, od kogo ją akceptuje. Pod naciskiem ówczesnego układu sił społecznych przyjął ją mianowicie w jej najbardziej reakcyjnym wydaniu - od „mickiewiczologa” Słotwickiego i jego córki Stasi; przyjął nie tylko ich język i kulturę, ale ich gusta i odruchy, ich przekonanie np. o absolutnej wyższości nosa zadartego nad zakrzywionym, „r” twardego nad miękkim. Słowem, uznał pogardę, jaką go darzą, za słuszną, dopuścił do siebie bakcyła rasizmu. W jednej z Faulknerowskich powieści mieszaniec stwierdza u siebie z przerażeniem obecność ciemnych obwódok za paznokciami - ślad krwi murzyńskiej. Podobnie i Mieczysław Rosenzweig wsłuchuje się trwożnie w głos - czy aby nie ma w nim „akcentu”, bada niespokojnie swą twarz - czy nie znać w niej „typu”. Jeszcze na długo przed wojną znajduje się w okupacji psychicznej, uzależniony od cudzego spojrzenia - jak gdyby był na aryjskich papierach. Cokolwiek zrobi plebejusz wśród arystokratycznej socjety - czy podda się jej ceremoniałowi, czy będzie afiszować swą plebejskość - nie uniknie ironicznych pomrukiwań; podobnie i Mieczysław Rosenzweig nie umknie przed nieżyczliwym sądem Słotwickich, czy będzie manifestował swą polskość, czy podkreślał swe żydostwo; jeśli mówi poprawnie, nazwą go „mechesem”; jeśli zaciąga - „szmajgełesem”. Tak jednak czy owak będzie w groteskowej sytuacji człowieka, który wprasza się tam, gdzie go nie chcą, zaplątany w „komedię pogranicza” - bez wyjścia.

Bez wyjścia - powtarzam - gdyż inteligencja, jakiej składa raz po raz dowody, nie służy mu na nic. Może mnożyć punkty widzenia, wznosić się na coraz wyższe piętra samowiedzy, szydzić nie tylko z wszystkich i z siebie, ale nawet z tego, że szydzi, samej swej sytuacji przez to nie zmienia: uczucia jego pozostaną zatrute, spojrzenia - skrzywione. Położenie jego wydaje się więc bez wyjścia, a zagadnienie asymilacji, jak je stawia w swym pamiętniku - nierozwiązalne. Może by należało wobec tego postawić je inaczej, wykroczyć poza pokrętną psychikę Mieczysława Rosenzweiga i poszukać dla „komedii pogranicza” bohatera pozytywnego - gdzie indziej?

Tu muszę wrócić do punktu wyjścia, do owego „naprawdę”, które łączy mnie z Mieczysławem Rosenzweigem, a także do dzielących nas różnic. Dzieli nas - stwierdzmy nieco tautologicznie - to, że on jako bohater przeżywa dosłownie to, co ja jako autor przeżywam tylko w imaginacji, że np. złemu samopoczuciu, jakie on ma w zetknięciu ze Słotwickimi, odpowiada to, jakie miałem ja w 1947 roku wertując swe dawne szpargały. Widzę siebie, jak je przerzucam w swym paryskim hoteliku, przerzucam nieufnie i krytycznie - z tym samym krytycyzmem, z jakim Mieczysław Rosenzweig przygląda się w lustrze swym rysom. W tych szychach i błyskotkach, w tętniących rymach tych sonetów nie znajdowałem nic, co by mnie poraziło prawdą, nic - co by oddało sprawiedliwość zaginionemu światu mej młodości. I tak - przerzucając coraz szybciej i niecierpliwiej te kartki i rezygnując w miarę kartkowania z myśli, aby je wykorzystać - przysięgałem sobie, że na przyszłość w tym, co będę pisał, pozostanę wierny sobie i miejscu, skąd się wywodzę: nie Rynkowi ani Blichowi, lecz Targowicy. Z tej przysięgi zrodził się *Pamiętnik Mieczysława Rosenzweiga*.

Opowiadał mi o tym gettowy milicjant - jeden z tych, którzy eskortowali wziętych w akcji więźniów na dworzec. Czekali na pociąg długo - może parę godzin - na ogrodzonym placu, gdzie dawniej trzymano przeznaczone do transportu bydło. Osobno stali zbici w ciasną gromadkę chałaciarze, osobno inteligencja - lekarze, mecenasi. Spotykali się dawniej tylko raz do roku, w okresie świąt jesiennych, kiedy to panowie z Rynku, w swych cylindrach i czarnych garniturach, schodzili na Blich do Wielkiej Synagogi; toteż i teraz obie grupy trzymały się oddzielnie. W pewnej chwili z wnętrza czarnego tłumu dobył się śpiew: to chasydzi, narzuciwszy tałesy i zwróciwszy się we wschodnią stronę, zaczęli odmawiać *Szma Israel*. Na głos ten panowie z Rynku zmieszali się jakby i zawahali, po czym nieśmiało i wstydliwie - pojedynczo - zaczęli podchodzić do tamtych; podczas gdy lokomotywa gwizdząc manewrowała na torach, cały plac nappełnił się przemieszaną z płaczem modlitwą. Tylko jeden człowiek - opowiadał milicjant - nie wziął w niej udziału, lecz stał na uboczu, patrząc suchymi oczyma na ciemniejące za drutami miasteczko. „Może mi się przywidziało - mówił - ale miałem w pewnej chwili wrażenie, że się uśmiecha. Wydało mi się to tak nieprawdopodobne, że podszedłem, aby sprawdzić. Tymczasem jednak doczepiono lokomotywę i rozpoczął się załadunek”.

Zdaję sobie sprawę, że w tej historii, która odpowiada skądinąd wszelkim kanonom okupacyjnej poetyki (w każdej nieomal powieści z tych czasów Żydzi idąc na śmierć odmawiają *Szma Israel*, dając tym wyraz swemu przywiązaniu do wspólnoty plemiennej i optymistycznej wierze w przetrwanie narodu), że w tej historii odmowa udziału w zbiorowej modlitwie przedśmiertnej stanowi zgrzyt szczególnie rażący. A jednak mam powody, aby wierzyć, że ów gest podwójnej odmowy, z jakim ojciec mój, socjalista i niedowiarek, skłócony przez całe życie zarówno z ciemnotą Blichu, jak i ze snobizmem Rynku, odrzucił propozycję pojednania z rodzimą społecznością, że ten przekorny i samowolny uśmiech, z jakim poszedł na śmierć, nie były przywidzeniem.

Również i to wspomnienie stanowi jeden z elementów „Mieczysława Rosenzweiga”.

Miłość

Przed każdorazowym spotkaniem ze Stasia spędzałem długie godziny na musztrowaniu własnego oblicza. Zmierzchało już, a ja wciąż jeszcze trwałem przed lustrem. Płoszyło mnie dopiero nagłe otwarcie drzwi kuchennych, kiedy na dnie zwierciadła ukazywała się - zamiast mojej twarzy - odbicie rozpalonego przez matkę ognia. Przypatrywałem się sobie uważnie i bezlitośnie. Oto moje blond włosy, które najwprawniejszego znawcę mogłyby w błąd wprowadzić. Oto nos - orli co prawda, ale szlachetny i prawie szlachecki - który też mógłby ujść od biedy, gdyby nie uszy - cienkie niczym skrzydła nietoperza i jak palce jutrzeńki przeświecające. Niejednokrotnie próbowałem je przytknąć, ale nic nie pomagało. Klejem by przyklepić czy co takiego? Aż pewnego razu - do tego stopnia prawdziwa jest teoria Lamarcka, wedle której każda potrzeba wytwarza odpowiedni organ - aż pewnego razu poczułem, że mogę nimi poruszać już to kładąc je po sobie, już to - jak czyni paw z ogonem lub dama z wachlarzem - rozpinając swobodnie i puszczając niejako z wiatrem. Zbawczy atawizm! Co więcej, zauważyłem, że gest ten zmienia mi wyraz twarzy, nos mężnieje i zaostza się, brwi się unoszą z wyrazem smętnego zdziwienia, wargi dotąd obwisłe zwierają się w szlachetnej dumie, a w kącikach ich pojawia się z lekka ironiczny uśmieszek.

To - kilkakrotnie powtórzone - ćwiczenie pozwoliło mi - przy pewnym nieznacznym, ale za to nieustannym wysiłku - trzymać uszy po sobie. Należało się tylko mieć na baczności, aby ich przez zaniedbanie nie puścić, bo, w istocie do czegoś to podobne - amant, który - w momencie miłosnych wyznań - zaczyna strzyc uszami?

Z obliczem tak przysposobionym i gotowym niejako do boju wyruszam o godzinie punkt wpół do siódmej na miasto. Przekraczając próg rodzinnego domu, podkasuję mankiety spodni. Dzielnica, w której mieszkam, niższa od innych i upośledzona - zarówno ze względu na swe położenie, jak i zaludnienie - przez samorząd, jest niejako ściekiem całego miasta. Tu ze wszystkich jego stron spływają arterie kanałów; tutaj - poprzez stanowiące granice obu światów schodki - zdążają w porze roztopów świergotliwe strumyki; tu taplające się w błocie dzieci zadzierają poźółkłe tyłeczki ku niebu; w oknach suszy się bielizna; anemiczne krawczynie stębnują na maszynach; kłapouchy-szewcy ze sztyftami w zębach klepią ujęte w śrubsztak kolan obuwie; wszystko to, zanurzone w jakimś brązowym, tłustym sosie, niemożliwie wulgarnie: same Motki, Moszki, Jenty, Złaty, chrypliwe „Hejano” i gardłowe „Wigajsty”. O! Jak przyjemnie zwać się Mieczysław, iść na spotkanie z panną Stanisławą Słotwicką, a w dodatku - móc ruszać uszama.

Bo - jeszcze krok, jeszcze dwa - i oto schodki, a wraz z nimi nowy świat, koronkowy i czysty, podmiejski i wiejski, zakończony na ski lub co najmniej na wicz. Wstępując po nich fizycznie, wznosisz się zarazem społecznie. Przestrzeń prostuje się nagle, wyrasta sześcianami kamienic dwu lub nawet trzypiętrowych, nosy - zamiast ku ziemi - wyginają się ku niebu, w niektóre wcieka nawet woda deszczowa, uszy - zamiast sterczeć lub strzyc - przylegają do głowy bez wysiłku, naturalnie.

Tu właśnie zaprasza mnie boczna uliczka, gdzie mieści się willa mego eks-profesora Michała Słotwickiego. Zapomniałem nadmienić, że ojciec Stasi uczył mnie w gimnazjum. Byłem, oczywiście, jego najlepszym uczniem, nikt - jak ja - nie znał na pamięć trzech wieszczów z dodatkami, godziny całe trawiłem nad nimi; wszystko to w nadziei, że pedagog zmięknie w końcu i zaprosi mnie do swojej willi, zdobnej - prócz kul zielonych i złotych, balustrad i amorków - w panienkę z zadartym nosem. Fetysze, fetysze!... Czegoś to nie robiłem, by przeniknąć w to wnętrze nęcące, w to - że się tak wyrażę - jądro gęstwiny? Raz nawet - było to w ostatniej klasie, przerabialiśmy właśnie *Dziadów* część trzecią - wygłupiłem się przy tej okazji potwornie.

Pamiętam jak dziś: na katedrze stary Słotwicki, łeb strzyżony na jeża, okulary na czole.

- A więc - jak mówiliśmy - Gustaw, tytan miłości osobistej, przeobraża się - pod wpływem tragedii narodowej - w Konrada, geniusza miłości zbiorowej. Czegoś tedy uczy nas poeta, ukazując przemianę tytana miłości osobistej w geniusza miłości zbiorowej? Uczy nas, że winniśmy, zwarci w bratnim duchów kolisku, wymieść ze swego ciała miazmaty i elementy szerzące...

Tu czcigodny pedagog urwał - swoim zwyczajem - na półsłowie i zapatrzył się w pręgowaną deszczem szybę; chwila zadumy, która mogła trwać nie wiadomo jak długo. Korzystając z ogólnego milczenia i kierowany chęcią penetracji do wyżej wspomnianego wnętrza, podnoszę palce:

- Chciałem pokazać panu profesorowi wiersz, który wczoraj napisałem.

Wszyscy patrzą na mnie ze zdumieniem, nie zauważając, że nie o wiersz przecie chodzi, ale o willę z kulami, balustradami i wnętrzem. Pedagog schodzi z katedry, wyjmuję mi z rąk papier i zsuwając okulary na czoło, czyta nieufnie:

Jak miękko, upojnie i słodko
Pachną w ogrodach bzy.
Gałęzią kołysze wiatr wiotką.
Z bzów wyszłaś do mnie –
Ty!

Gdy jednak dociera do końca i przekonuje się, że jest i rym, i rytm, i w ogóle wszystko kropka w kropkę jak u Mickiewicza, nie wiadomo co mu przelatuje przez głowę: być może „młody orlik, rwący się wśród źleńców” albo też „uczeń niesłusznie zapomnianego mickiewiczologa, autora własnym sumptem wydanej pracy »Za duchem wieszczka«, Michała Słotwickiego”; dość że wyciągnąwszy z kieszeni kraciastą chustkę, długo wyciera nią okulary, spozierając na moknące w deszczu jesiennym kasztany.

Tum go czekał: wzruszył się starowina, jeszcze chwila, a zapomni o elementach, włączy do balustrad, do amorków, powie: „Proszę dziś o czwartej przyjść do mnie na herbatkę, na ulicę Ogrodową 4...” Wytał jeszcze raz okulary, zwrócił się do mnie, otworzył usta, zawahał się, ale nagle wzrok jego zboczył, ujrzał widać uszy moje - musiały w tej chwili być bardzo czerwone, płonęły nieomal - bo rzekł tylko:

- Hm! To się bardzo a bardzo chwali. Tylko tak dalej, kochasiu, a dumni będziemy...

Tu dzwonek zadzwonił, godzina minęła, a wraz z nią jedyna okazja penetracji na ulicę Ogrodową - na zawsze.

Na zawsze - mówię, gdyż nawet i teraz, po sześciu latach, gdy jako magister filozofii poznałem nareszcie Stasię, i teraz nawet ulica Ogrodowa 4 pozostaje dla mnie zamknięta. Stasia, jakkolwiek wcielone przeciwieństwo ojca, nie ośmieliłaby się wprowadzić kogoś o takiej, jak moja, powierzchowności do wyściełanych zapewne makatami i obwieszonych karabelami pokoiów. Na rachunek sukcesów muszę jednak zapisać, że jakkolwiek nie potrafiłem przeniknąć do wnętrza, to przynajmniej udało mi się - Bóg tylko jeden wie, z jakim trudem - wywabić wnętrze to na zewnątrz. Oto właśnie wychodzi mi ono naprzeciw, kołysząc się na wysokich obcasach, w cylinderku męskim, przytroczonym pod brodą czarną tasiemką i wymachując - niby szpicrutą - ujętą w futerał parasolką.

Jest pora, gdy wieczorne korso roi się od spacerowiczów. Po drugiej stronie dyszą niewyraźne ciemności, pełne tłumionych szeptów, pisków i gonitwy. Nie mogę jednak nie dostrzec, że niektórzy oglądają się za nami, czyniąc sobie porozumiewawcze znaki. Stasia zauważa to również i bierze mnie ostentacyjnie pod rękę:

- Czy zdaje pan sobie sprawę, ile odwagi cywilnej potrzeba, aby pokazać się w pańskim towarzystwie - tutaj?

Na takie dictum acerbum - powiedziałby kto - jedyna reakcja to - obrazić się i odejść. Ale jakże obrazić się i odejść, kiedy jestem po uszy zadurzony w niej, czy - ściślej mówiąc - w jej tle, w willi, amorkach etc. i nawet tego starego Słotwickiego darzę jakąś perwersyjną miłością? Kto odróżni, gdzie przyczyna tu, a gdzie skutek i czy willa przy ulicy Ogrodowej z rosnącymi przed nią wierzbami rosochatymi zafascynowała mnie swą zawartością, czy też, odwrotnie, kocham zawartość ze względu na rosnące przed jej domem dwie wierzby rosochate? Zresztą w stosunku naszym można zauważyć paralelizm

i jeśli mnie w Stasi czaruje ulica Ogrodowa, to ją, odwrotnie, pociąga czające się za mną demoniczne getto. Oboje funkcjonujemy tu jako symbole.

W antytezie tej jest, oczywiście, spora doza przesady i w gruncie rzeczy i ja, i ona zdajemy sobie sprawę z jej fikcyjności: ja ze swej strony wiem doskonale, że dom Stasi nie jest bynajmniej szlacheckim dworkiem, że Słotwicki to zgoła nie karmazyn, a stary grafoman, którego pokoje - zamiast damasceńskich kordów - mieszczą jedynie niezliczone egzemplarze *Za duchem wieszczą*, sprzedawane po cenie niższej odwiedzającym go uczniom.

Mimo to zastarzałe wyobrażenia biorą górę nad moją lepszą wiedzą i jeśli mam być zupełnie szczery, to postępowość i ateizm Stasi rażą mnie nieco i kto wie, czy nie byłbym zadowolony, gdyby - dla tym pełniejszego ziszczenia mitu - nosiła na szyi łańcuszek z krzyżykiem, żegnała się, przechodząc przed strzegącą jej domu spróchniałą Męką Pańską i nawet - o ile możliwe - wierzyła w mord rytualny. Co prawda, w takim wypadku Stasia byłaby już dla mnie całkowicie niedostępna. Jest w tym jakaś sprzeczność, pragnienie nieosiągalnego pod warunkiem, aby było nieosiągalne, potrzeba klęski.

Podobnie Stasia, która ze swej strony wie również, że niewiele mam wspólnego z gettem i że mieszkam tam zupełnie przypadkowo, wołałaby, być może, abym pełniej realizował zapamiętaną z zamierzonego dzieciństwa pogroźkę: „Bądź grzeczna, bo Żyd cię porwie!”. Któż odgadnie, jaki skręt psychiczny, jakie odwrócenie kota ogonem, jaki bunt przeciw rodzicom sprawił, że wartości się w niej przeciwstawiły, że postrach stał się pokusą, a porwanie przez Żyda - marzeniem? Ale jeśli Żyd, to niechby już prawdziwy, lubieżny i demoniczny, a nie ja - ze swoją poprawną polszczyzną i tytułem magistra!... Trzeba by tu czegoś więcej, trzeba by np., abym charczał wymawiając „r”, abym dni spędzał na handlu, a noce nad Talmudem, oraz popełniał od czasu do czasu czarujące błędy gramatyczne, które by ona - z uśmiechem pobłażliwości - prostowała, słowem, abym był bardziej wytrzymały w typie i funkcjonował jako symbol - nienagannie. Toteż ilekroć przez zwykłą nieostrożność zdradzę się z jakimś nazbyt sarmackim wyrażeniem, widzę w jej oczach wyraźne powątpiewanie, czy godzien jestem reprezentować obiecaną w dziecinnych bajkach maszkarkę. Tylko że w tym ostatnim wypadku byłbym znowu dla niej nazbyt już niestrawny i towarzysko kompromitujący.

Jestem nim już zresztą dostatecznie w chwili obecnej, bo oto poprzednie uśmieszki zmieniają się w chichoty, coraz więcej głów odwraca się za nami, coraz więcej palców na nas wskazuje. Atmosfera wieczoru jest i tak wyjątkowo napięta: w gmachu Bratniej Pomocy odbywa się wiec młodzieży endeckiej przeciw zakusom Hitlera na korytarz. Że jednak główny winowajca jest nieosiągalny, łatwo może się zdarzyć, że zapal wiecujących znajdzie obiekt zastępczy. Doprawdy, Stasia po stokroć miała słuszość, mówiąc, że pokazywać się ze mną tutaj to nie lada odwaga, ba! nie cywilna tylko. Bo że zaatakują, to pewne, ale żeby choć zaatakowali, a to - ze wszystkich stron obskoczą, zawrzeszczą, zaplują, nos przetrącą lub ucho naderwą.

Trzeba było za młodu boksu się uczyć lub dżiu-dżitsu, ale teraz na naukę za późno, a zresztą - na walkę nie ma tu miejsca. Ale że Stasia spoziera na mnie badawczo, więc za nic, za nic w świecie nie wolno się zdradzić, trzeba iść naprzód z głową podniesioną i z zaciśniętymi wargami. Ciało może ulec, ale duch - duch zatryumfuje. Jam Europejczyk, za mną murem Zachód, Grecja i Francja, 30 wieków kultury i 5 lat studiów humanistycznych, kubizm i surrealizm, Sofokles i Horacy, Valéry i Léger. Nie widzieć, nie dostrzegać, wznieść się ponad... Ale jakże wznieść się ponad, kiedy tu liczą się już tylko uszy i nosy? Innymi słowy, trzeba wiać, ale - na miły Bóg! - do czegoż to podobne - wiejący amant?

W tej chwili docieramy do końca korsa i wkraczamy na teren dawnego cmentarza, który funkcjonuje obecnie jako park miejski, ofiarujący przygodnym parom swe nagrobki. Co do mnie, nie chadza tu wieczorami, zważywszy, że fizjonomia moja mogłaby mnie narazić na niezbyt przyjemne spotkania. Dookoła zapach butwienia i próchna, pod stopami chrzęszczą rozdeptywane ślimaki, przejrzałe gwiazdy spadają w ogrody, ciemno i głucho, tylko na zakrętach chybocą się oplątane zygzakiem promieni latarnie i okna sąsiedniego gmachu Bratniej Pomocy rozkładają na wierzchołkach drzew talię światła. Nagle gasną, więc musiał się skończyć, w parku robi się jeszcze ciemniej i głuszej.

- Boi się pan? - rzuca wydeętymi wargami Stasia.

Wysypująca się z gmachu czereda zwalnia mnie od obowiązku odpowiedzi. Zdejmując w pośpiechu czapkę, ukazuję swoje blond włosy, po czym wyciągam chusteczkę i przyciskam ją do twarzy. Nie wiedzą, kogo mają przed sobą; nie wiedzą, że ze wszystkich ludzi na świecie tylko ja jeden jestem naprawdę „ja”.

- Co to pan? Zakatarzony? - pyta Stasia.

- To tylko tak... Kichnąć mi się zachciało... - mamroczę, pochylając niżej głowę. Wysoki blondyn w nasuniętym na ucho dekle, przyjrawszy mi się uważniej, wyrywa mi z rąk chusteczkę i przyciąga do latarni.

- Koledzy! - woła. - Chodźcie no tutaj!

Oparta o mur cmentarny Stasia przygląda się widowisku, poblądła, z rozszerzonymi oczyma. Z bocznej ulicy wyłania się granatowa postać policjanta.

- Rozejść się, panowie! - woła. - To wam nie Bolszewia...

Po czym do mnie:

- A ty czego się pętasz po naszym cmentarzu? Siedziałbyś w domu i majufesy śpiewał...

Gromadka rozsypuje się z hałasem i śmiechem po plantach. Ktoś gwizdże w dwa palce. Gdzieś rozlega się brzęk tłuczonego szkła. Schyliwszy się, podnoszę z ziemi chusteczkę, by przycisnąć ją do twarzy, gdy dwoje rąk zawiesza mi się na szyi i dwoje warg dotyka mi policzka.

Szept:

- Biedny!

Ujmuję jej głowę rękami:

- Najmilsza!

Twarz Stasi chmurnieje i cofa się.

- Niech pan mnie nie tyka i nie dotyka - mówi z naciskiem. - Pan zdaje się zapominać, kim jestem...

Wrzesień

Jesień tegoroczna zapowiada się nader bujnie: przy ulicy Ogrodowej przejrzałe owoce rozchylają wargi, na których błyska kropelka soku, ogórki brązowieją na grzędach, strąki eksplodują z ledwo dosłyszalnym traskiem. W tej ogólnej fermentacji jedynie moja działka nie bierze udziału; tylko w jej środku, na placu targowym, gdzie zazwyczaj zjeżdżają się chłopskie furmanki, fermentują wielkie kupy końskiego gnoju.

W mieście nudno, słodkawo i aż mdło od upału. Ludzie łożą po korsie lub zwisają bezsilnie na ławkach do późnej nocy, nie wiedząc, co począć. Spać nie sposób. Iluminacja zachodu trwa na niebie bardzo długo; ledwie dogasa, zastępuje ją wieczorny capstrzyk. Poprzedzany werblem i blaskiem pochodni, z bocznej uliczki wynurza się pułk strzelców podhalańskich w guniach i w okrągłych kapelusikach. Odblaski grają na mosiężnych trąbach, trębacze grają *Pierwszą brygadę*, „Na stos rzuciliśmy swój życia los, na stos, na stos”. Nuda nagle gdzieś znika, na ulicy robi się bojowo, zuchowato i dziarsko, piórka podskakują zawadiacko na kapelusikach, gawiedź biegnąca dookoła podskakuje również, ba! ot i stary Słotwicki, kuśtykając żwawo za pułkiem, podkręca wąż do taktu i pomrukuje groźnie pod nosem. Nawet i ja, ulegając wszechpotędze melodii, mieszam się z tłumem, zbyt zaabsorbowanym, aby mnie zauważyć, mieszam się jako jeden z wielu, nucąc z innymi *Pierwszą brygadę*, pełen gotowości rzucenia swego życia losu na stos, na stos choćby i trzy razy i towarzysząc wraz z innymi wojsku aż do chwili, gdy skręca ono w ciemną uliczkę, w którą ja osobiście wolę się nie zapuszczać.

Niebawem zawracają zresztą wszyscy, radośni jacy i podnieceni. Słotwicki wywija ochoczo młynka pamiętną mi z czasów szkolnych palicą i idąc za nim krok w krok słyszę, jak odsapnąwszy zwraca się do swego sąsiada z ulicy Ogrodowej:

- Co ja do niedawna z nią kłopotów miałem, to w słowach wyrazić się nie da. Do kościoła wołami jej, bywało, nie wyciągnie, a już jak o polityce zacznie mówić, to tylko uszy zatyka! W towarzystwie też się takim pokazywała, że tylko wstyd i hańba. Przychodził do nas jeden chłopak jak złoto, podporucznik ułanów, ale gdzie tam. Nudzi ją - powiada.

- Ta młodzież dzisiejsza - kiwa głową sąsiad.

- Raz wbiega do mnie, a on w drugim pokoju, i usta chusteczką zatyka. „Czego się śmiesz?” - pytam.

- „Bo on - powiada - van Gogha van Magogiem nazwał”.

- Wielkie rzeczy - podchwytuje ze zrozumieniem sąsiad - że jakiegoś Francuza nie tak nazwał, świat się od tego nie zawali.

- Ale od dwu tygodni zauważyłem, że coś się między nimi odmieniło...

Na dalszy ciąg rozmowy nie czekam. Skręciwszy czym prędzej w ulicę Ogrodową i minąwszy obwieszoną kalinowymi wieńcami Mękę Pańską, przesadam pędem sztachety. W ogrodzie zapach przestałej zieleni i skądś przytłumione dźwięki fortepianu. Hrabia podpatrujący Zosię - pełzną przez ogórki. Jedyne oświetlone okno od strony podwórza rzuca na ziemię rozkrzyżowany kwadrat blasku. Wspiąwszy się na obrosły dzikim winem parapet, oglądam - sam niewidoczny - sakramentalny obrzęd pożegnań: wsparty o fotel rośli ułan i przechylona, z wółprzymkniętymi oczyma grająca dziewczyna.

Oczom wierzyć się nie chce, by ta twarda burzycielka mitów poddać się mogła tak bez reszty nadrzędnym prawom grottgerowskiego rytuału!

Oto, pochylając się nad nią, ułan wypowiada sakramentalne słowa:

- Jutro pułk nasz wyrusza. Nagły rozkaz. Rozstajemy się na długo, być może na zawsze. Czy na odjeźdźnym nie ma mi pani nic do powiedzenia?

Odwracając ku niemu głowę i wydymając usteczka, Stasia ma wyraźną ochotę zaskoczyć go jakimś „Nic” ironicznym, gdy nagle - czyżby twarz moją wykrzywioną dojrzała w podokiennych ciemnościach lub tylko wywołała ją w sobie mentalnie? - gdy nagle widzę, jak - oporniejąc wobec jednej myśli - posłuszenie tym samym wobec drugiej i odrzucając głowę na poręcz fotela wydobywa z siebie podszyte dalekimi aluzjami do mnie, kryjące pod swą włochatą puszystością jadowite żądło żmii słowo: „Kocham”.

Wtedy... Lecz po cóż opisywać tę już dawno przewidzianą i przeczutą scenę, szept w pokoju, zgaszone światła i mnie - z twarzą w zielonym gąszczu - podpatrującego? Skrzypnęła furtka. To wraca Słotwicki i słyszę, jak wszedłszy od przodu przez ganek, stąpa po schodach odsapując i opierając się na (przeżartej zapewne kornikami) poręczy. Duszno, duszno... Owoce pęcznieją, soki przelewają się w drzewach i wydaje się, jakoby wszechświat cały, napinając do boleści swe granice, szukał w sobie rysy, szpary jakiegokolwiek, przez którą mógłby się przelać za swe brzegi. Siedząc w krzakach agrestu pod oknem, słucham szeptu tamtych i współdziałam z nimi z całej siły, współdziałam namiętnie i żarliwie...

Aż o świcie - wciąż jeszcze siedziałem w krzakach agrestu, szczękając zębami i nasłuchując zmieszanych hałasów wnętrza: patetycznych nawoływań przez nos Słotwickiego i odpowiadającego im spokojniej z parteru dwugłosu tamtych - aż oto w ćwierkanie budzących się ptaków, w pianie kogutów i w brzęczenie much wdarł się dźwięk żałosny i cienki, rysa metaliczna przebiegła poprzez rozpękły horyzont, a jej śladem potoczył się przedmiot, który zaczął w locie obradzać ostatnimi, najpełniejszymi owocami tej jesieni.

Jawa czy przywidzenie? Jakby wyzwolona wybuchem bomby z obowiązków prawdopodobieństwa rzeczywistość, jeszcze przedtem nasycona elementami grottgerowskimi, teraz już zdecydowanie przechyliła się w literaturę. We wnętrzu rozległ się tupot bosych nóg i w rozepchniętym na oścież oknie ukazał się ułan w rozchełstanej koszuli i Stasia z brzuszkiem lśniącym jak miesiąc w pełni. Po krętych schodach zbiegł w mycce, w szlafroku i z okrzykiem „Wojna!” Słotwicki. Na widok pary w oknie zdębiał, poczerwieniał i wreszcie wykrztusił:

- Córkę wyrodna! Nie uszanowałaś tych siwych włosów, pod których dachem się znajdujesz! Precz! Zniknij mi z oczu! Idź, ukryj się gdziekolwiek w podziemiu, w piwnicy najgłębszej, gdzie by cię ludzkie oko... - Tu świst nowej bomby przerwał mu słowa - Chryste Panie! Co się dzieje? Prędeż, prędeż! Czego stoisz? Do piwnicy!

- Niech ojciec nie krzyczy - rzekła naciągając koszulę Stasia - i tak przecież słyszę...

- Poruczniku! Niechże pan przynajmniej co poradzi! Że też to wojsko nic nie robi! Czemu nie strzelają? Czemu ich nie przepędzą? Żmijo jadowita! Takżeś to ośmielił się splugawić ten próg staropolski, który cię gościnnie...

- Zwracam pańską uwagę, profesorze - rzekł prostując się ułan w koszuli - że w mojej osobie naruszył pan honor munduru polskiego...

- A ja zwracam panu uwagę, że w mojej osobie naruszył pan honor dziewicy polskiej. Bój się pan Boga, poruczniku, dam już panu to błogosławieństwo, niech pan tylko leci do wojska, niech pan im nagada, niech pan im wstydu napędzi! Do piwnicy! Do piwnicy!

Patriota nr 1

Ostatnie wydarzenia, jako to wybuch wojny, upadek Polski i wkroczenie Sowietów, oddaliły mnie od Stasi na przeciąg bez mała dwu miesięcy. Spotkałem ją przelotnie dziś po południu, nie samą jednak, lecz w towarzystwie ojca. Na mój ukłon odpowiedziała nieznacznym i - jak mi się zdawało - dość chłodnym skinieniem zadartego noska. Cylinderek miała - zauważyłem - z lekka osunięty i - co dziwniejsza - zgola nie wywijała parasolką. Drobnny szczegół, a jednak rzekłbyś, że osunięciu uległa cała jej dotychczasowa aureola, bezruch zaś parasolki, ten - smutnym, w istocie, dawał miejsce refleksjom! Nie dość na tym! Słyszę, że i wewnątrz przy ulicy Ogrodowej zostało naruszone i że gości ono w chwili obecnej pięciu, jeśli nie sześciu, oficerów sowieckich. Juchtowe buty na kanapie - i to na tej samej, którą zaszczylił nie tak dawno porucznik ułanów. Grube paluchy, kartkujące welinowy egzemplarz *Za duchem wieszczą*! Pomyśleć! A jednak - z drugiej strony - nie zaprzeczę, jakoby nie znajdował pewnej przyjemności w wyobrażeniu, że niedostępne dla mnie wewnątrz stanęło otworem dla kogoś innego! Być może, nie dla każdego jest uchwytana zawarta w tej myśli pikanteria!

Przesadny chłód Stasinego skinienia zastanowił mnie. Czyżby - czego, Boże, uchwaj! - podejrzewała mnie o tajony tryumf? Lub może wstydziła się zawalenia mitu i czuła się jak gdyby wyjęta z tła, ogołocona z balustrad i amorków? Lub wreszcie - po raz pierwszy w życiu - zaczynała się domyślać, że urok jej nie był samoistny, lecz miał swe najgłębsze uzasadnienie w stacjonującym w naszym mieście garnizonie ułańskim oraz - w posterunku policji państwowej? Czyżby to nagłe pozbawienie niewidzialnej, lecz zawsze wyczuwalnej eskorty żenowało ją i czyżby usiłowała tę swoją odmitycznioną i nieuzbrojoną nagość pokryć - dumą? Nierozsądna! Więc nie dostrzega, że tracąc poprzedni urok - garnizonowy, ułański i policyjny - zyskuje automatycznie nowy, stokroć silniejszy i bardziej przejmujący, urok klęski i zbezczeszczenia, urok - jeśli nie Matki-Polki, to przynajmniej Panny-Polki i że oto wchodzi bezopornie w nową, a zarazem prastarą konstelację - Ofiary i Cierpiętnictwa?

Czyż nie czuje, że ona w ogóle odmitycznić się nie może i że - w jakiegokolwiek by była sytuacji - zawsze znajdzie się mit, który ją uświęci i usprawiedliwi, melodia, pod którą będzie płynąć jej istnienie, i że tylko ja - cokolwiek bym uczynił - będę zawsze niemityczny? Oto zaczyna już chodzić mi po głowie melodia stara, a jednak nowa, melodia nie pod moją, ale pod jej sytuację, owo „Za Niemen hen precz”, piosenka powstańców z 1863 roku, i oto już zaczynają mi się roić tajgi i tundry, stupajki i kubitki, i oto - mijając stojącego na posterunku dawnej policji państwowej strażnika - rzucam mu spojrzenie pełne nie mojej, zapożyczanej i anachronicznej wrogości i na jego okrzyk: „Kto idiot?” wzdrygam się i sięgam machinalnie w zanadrze. Lecz króciły nie ma, jam nie powstaniec z 1863 roku...

Cóż jednak, gdyby wdrzeć się w ten mit cierpiętniczy i bolesciwy, gdyby przyłączyć się do Stasi - poprzez bohaterstwo? Okazja jest jedyna! Teraz albo nigdy! Umityczyć się nareszcie, spolszczyć! Oto nadarza się sposobność wkroczenia do wnętrza - nie poprzez ulicę Ogrodową, ta odwewnętrzniła się, odkąd gości oficerów sowieckich - lecz poprzez Sybir, tajgi, katorgi i tundry. Szybę by wybić na policji albo najlepiej - pójść na komisję paszportową, powiedzieć: „Oto ja, uważany dotychczas za Żyda, podaję się w tej właśnie chwili - dla zmanifestowania swych uczuć patriotycznych - za Polaka! Nie patrzcie na uszy moje, uszy są w tej chwili nieważne, uszy się skończyły! Tak, i zapiszcie: »narodowości polskiej«, a jeśli trzeba, to choćby i zaraz w kajdany, tajgi, tundry i Sybiraki - proszę!”

Pełen tak szlachetnych intencji, nucąc pod nosem „Za Niemen hen precz” i brnąc przez kałuże, docieram do domu, witam się pobieżnie z matką, wchodzę do swego pokoju, gdzie w przewidywaniu cierpiętnictwa biorę z półki tom Mickiewicza, by znaleźć w nim odpowiednie wskazówki, gdy oto rozlega się stukanie do drzwi i na progu pojawia się - sen czy jawa? - gość miły a niespodziany, prof. Michał Słotwicki - z otwartymi na oścież ramiony.

- Nareszcie! - woła stając w drzwiach prowadzących z kuchni prof. Słotwicki. - Nareszcie doczekaliśmy się wlotu naszego orlika w strefy - że się tak wyrażę - piorunu i grzmotu. A zawsze prorokowałem...

- Niech pan łaskawie usiądzie, profesorze - rzekłem - i pozwoli, abym przymknął drzwi od kuchni, bo zapach smażenia...

- Ja tak, gdzieniebądź, boczkiem, dla mnie choćby i ten fotelik wystarczy. - Słotwicki rozsiada się w fotelu i otula kłębami fajkowego dymu. - A co do zapachu - to wprost przeciwnie! Z przyjemnością! Zawsze mówiłem, że ponad smażoną cebulkę nie masz specjału. - Tu pokręcił nosem, wciągnął mieszaninę dymu i kuchennych aromatów, po czym kichnął donośnie.

- Cóż to? Karpika czy szczupaka smaży mamusia na szabas?

- Ach! Panie, profesorze - obruszyłem się. - Ja moją matką jesteśmy tak oddaleni od wszelkich tradycji, że żadnych świąt...

- Ależ drogi chłopcze (wybacz pan, że - starym obyczajem - tak pana nazwę), ależ najdroższy chłopcze, dlaczego, dlaczego? Dlaczego wyrzekać się swej wiary przede mną, który - jakkolwiek człowiek starej daty - wyznaję poglądy jak najszerze i bardzo się cieszę, jeśli kto ojcowskiego obyczaju się trzyma. Swego wstydzić się nie należy, zawsze to mówiłem!

- Nie, doprawdy, profesorze, w naszym domu żadnych świąt się nie przestrzega. A zresztą, to dzisiaj dopiero poniedziałek, a do soboty...

- Ach, rozumiem, rozumiem. - Słotwicki przymrużył jedno oko. - Więc to raczej z okazji awansu, celem uczczenia mamusia przygotowała tę - że tak powiem - biesiadę...

- Ale jakiego awansu?

- Rozumiem, ach! jakże rozumiem! Serce matczyne rośnie i łzami dumy się napętnia na widok syna, który wszystkie nadzieje ziścił, ba! nawet przekroczył...

- Ale jakie nadzieje?

- No, wiemy, wiemy, słyszeliśmy. A to ci filutek, skryta bestyjka! - Prof. Słotwicki pogroził mi żartobliwie palcem. - No, ale po cóż skrywać, o czym i tak wróble na dachach ćwierkają? Po cóż wypierać się, kiedy to teraz niczym nie grozi, to jest przeciwnie, zaszczyt przynosi? Tak od razu przeskoczyć wszystkie szczeble hierarchii, tak jednym susem wspiąć się na szczyty same! Właśnie w związku z tym miałem do pana niewielką...

- Błagam pana, profesorze, niech się pan jaśniej tłumaczy, bo doprawdy ani słowa...

- Bardzo a bardzo się chwali ta dyskrekcja u człowieka tak młodego. Kto inny na pańskim miejscu od razu by fuma puszczał, a pan siedzi tu ze mną staruszką, i nawet przyznać się nie chce...

- Drogi profesorze! Czy mógłbym prosić, aby był pan łaskaw jaśniej się wytłumaczyć? Mówi pan ze mną tak, jakbym został zgola komisarzem albo co najmniej pańskim dyrektorem...

- No, nareszcie! No, jednak wyszło szydełko! Ale jak chytrze! Jak niepozornie! Jak nieobowiązująco! Pani dobrodzika - krzyknął w stronę kuchni - może być dumna...

- Co? Więc naprawdę wierzy pan w to moje komisarstwo czy dyktorstwo? Skądże te wiadomości?

- Ho! Wiedzieliśmy, wiedzieliśmy o tym jeszcze przed wojną i choć sympatią darzyliśmy, to dyskrekcja, rozumie łaskawy pan, dyskrekcja. Ale też dzisiaj panu tego i najgorętszy wróg nie zaprzeczy, że niepoślednie oddał pan usługi tym - przepraszam za wyrażenie - bolszewikom. I dobrze pan dobrodziej liczył! Dobrze pan liczył! Zawsze mówiłem, że co głowa, to głowa, i dlatego - ze względu na sympatię i dyskrekcję - miałem do pana niewielką...

- Zapewniam pana, profesorze, że nigdy nie byłem członkiem partii komunistycznej, a o moim mianowaniu na komisarza czy tam dyktora pierwsze z ust pańskich słyszę. Przekonań byłem zawsze umiarkowanych, ot! demokratycznych, a przede wszystkim polskich! Zaklinam pana, niech pan nie wierzy tym bajdom.

- Jak to? - wzrok Słotwickiego, dotychczas jowialny, przygaś. - Jak to? Więc odmawia mi pan? Mnie - staremu pańskiemu profesorowi?

- Niczego nie odmawiam, bo niczego nie mogę przyrzec...

- Tak, dobrodzieju, oto nagroda za tyle lat pracy. Ha! Cóż? Nie będę szanownemu panu drogiego i dla wyższych niż moja sprawa przeznaczonego czasu zabierał. - Słotwicki wstał ciężko z fotela. - Proszę wybaczyć, że się ośmielił. Uszanowanie dobrodziejowi! Uszanowanie dobrodzie! Padam do nóżek i polecam się łaskawej pamięci!

- Profesorze, na miły Bóg...

- Nie, nie, dziękuję. Rozumiem. Gorycz, która wezbrała w pańskim sercu, szuka sobie ujścia, tylko że nie we właściwym kierunku, och! w jakim niewłaściwym. - Tu prof. Słotwicki wytarł kąciki oczu brzeżkiem chustki, uklonił się i wyszedł.

Dym z fajki chwiał się przez chwilę w powietrzu, po czym znikł bez śladu.

Konferencja nauczycielska

Jakkolwiek moja nominacja na komisarza, ani choćby na dyrektora, na razie szczęśliwie nie nastąpiła, niemniej znajomi, zwłaszcza zaś koledzy, nauczyciele rozpoznający mnie dawniej przy pomocy nieznacznego tylko wzniesienia brwi, teraz kłaniają mi się w sam pas - i to pierwsi! Nie mogłem jednak nie zauważyć, że - ilekroć ku nim podchodzę - ożywiona dotychczas rozmowa nagle się urywa lub zahacza o pogodę, głowy zaś pochylone ku sobie odskakują. Raz nawet słyszałem, jak ktoś - na mój widok - syknął: „Uwaga! Nadchodzi!” A więc ani komisarz, ani dyrektor, tylko... Ach, lepiej nie mówić!

Toteż jak ognia wystrzegam się wszelkich stosunków z Sowietami i nawet, widząc ich, przechodzę na drugą stronę ulicy. Nic to jednak nie pomaga. Wynikła z badań fizjognomicznych fama mego komisarstwa jak zrodziła się, tak trwa. Przyszedł tu do nas niedawno, do szkoły, jakiś ich dygnitarz z inspektoratu - zwie się Capenko - w fufajce, w butach juchtowych, wysokich i w kaszkiecie, którego, oczywiście, nie zdjął. Trzymałem się od niego możliwie jak najdalej, wertowałem jakiś zesłoroczny dziennik klasowy, gdy on - niewiadomo czy tknięty - zbliżył się do mnie i po wstępnych grzecznościach w rodzaju „Kak żywiotie?”, „Kak rabotajetie?”, „Żenaty - li wy?”, przeszedł - niech by kto odgadł na co takiego! - na sprawę ustępów w naszej szkole - nie książkowych jednak, lecz zwyczajnych, których zapach rozchodzi się ponoć po wszystkich korytarzach, co z kolei ma być - według niego - dowodem „braku kultury”. A tu koledzy - jedni rzucają na siebie porozumiewawcze spojrzenia, inni błędą przekonani, że Bóg wie, o jakich sekretach mowa. Sytuacja stała się w końcu tak drażliwa, że nie wytrzymałem: rąbnąłem mu na odlew, że nie kanalarz ani woźny, że moja rzecz uczyć młodzież, a nie do klozetów ją prowadzić. Myślałem, że wyniknie skandal, ale jakoś rozeszło się po kościach.

Parę dni temu odbyła się pierwsza wielka konferencja miejscowego ciała pedagogicznego. Już od rana do wielkiej sali recepcyjnej ratusza napływali przedstawiciele do niedawna poważnionych, dziś w przykładowej zgodzie żyjących narodowości: wszystko to różne fizjognomią i językiem, lecz odziane podobnie: w najluchsze, jakie kto znalazł w rupieciarni, ubrania, w spodnie możliwie jak najbardziej połatanne albo i w ogóle niezatłatane, w kożuski wyleniałe no i oczywiście w kaszkiety. Od wkroczenia bowiem Sowietów panuje u nas moda na wywrót, jakieś pięcie się w dół, nowonędzarstwo i snobizm motłochu. Każdy rad by uczynić ze swych przodków retrospektywnie ślusarzy, dozorców, śmieciarzy, a już zupełnym szczytem marzeń jest babka - praczka, każdy ubiera się możliwie jak najgorzej i widuje się ludzi, skądinąd zgoła przyzwoitych, wychodzących na ulicę - bez krawata, większość wreszcie zastąpiła zachodnioeuropejski kapelusz - sowieckim kaszkietem. Zauważyłem też, że publiczność - rozmieszczając się - mimo łączącej narody Związku Radzieckiego przyjaźni - zastosowała - niewiadomo czemu - klucz narodowościowy: lewy szereg ławek zajęli Polacy, prawy - Ukraińcy, co do mnie, przycupnąłem na brzeжку ławki - opodał Słotwickiego.

Zjawił się wreszcie Capenko - nie sam jednak, lecz ze swym faworytem, niejakim Stelmaszczukiem, miejscowym Ukraińcem o bladej i nalanej gębie kleryka. Ten biegł równocześnie przed, za i obok swego opiekuna, już to czyniąc mu drogę, już to podnosząc wysuwające mu się spod pachy papiery, już to rzucając podejrzliwe spojrzenia na rozstępujący się skwapliwie tłum.

- A zatem, towarzysze - zagaił zebranie, zaginając daszek kaszkietu ku górze Capenko - a zatem, towarzysze, po ukończeniu ubiegłego kwartału szkolnego wkraczamy w nowy kwartał szkolny. Wkraczając w nowy kwartał, powinniśmy podsumować i zrekapitulować osiągnięcia poprzedniego

kwartału szkolnego. Jeśli poprzedni kwartał szkolny był początkiem naszej pracy, to przyszły kwartał szkolny będzie dalszym ciągiem naszej pracy. Rekapitułując doświadczenia poprzedniego kwartału, dochodzimy do wniosku, że w pracy naszej za kwartał poprzedni były poważne osiągnięcia, ale były i poważne niedociągnięcia, byli dobrzy nauczyciele, ale byli i źli nauczyciele, były szkoły, które miały dobre wyniki, ale były i szkoły, które miały złe wyniki. Czyż tak dalej może być towarzysze? Tak dalej być nie może, towarzysze. Trzeba wyżej podnieść sztandar walki o podwyższenie poziomu, trzeba dołożyć starań, aby na przyszły kwartał było u nas mniej niedociągnięć, a więcej osiągnięć, mniej szkół, które by miały złe wyniki, a więcej szkół, które by miały dobre wyniki, mniej nauczycieli, którzy by pozostawali w tyle, a więcej nauczycieli, którzy by byli na przedzie. A czyż aż w tym wina, towarzysze, jeśli za poprzedni kwartał było u nas tyle niedociągnięć? U nas obowiązuje samokrytyka, towarzysze, i dlatego nie mamy potrzeby zamydlać sobie oczu. Winne są tu nie przeszkody obiektywne, bo jakież przeszkody obiektywne mogą być w państwie znajdującym się na przejściu od socjalizmu do komunizmu, a winni nauczyciele, którzy nie dość pracowali z uczniami, winni dyrektorowie, którzy nie dość pracowali z nauczycielami, winni inspektorowie, którzy nie dość pracowali z dyrektorami, a także - co tu gadać, przyjdzie i nam uderzyć się w piersi i zająć się samokrytyką - a także winna Powiatowa Rada Oświatowa, która nie dość pracowała z inspektorami. Dlaczegoż to, towarzysze, bywają u nas jeszcze takie wypadki, jak tow. Benet Stanisław Władysławowicz, u którego procent złych not wynosi aż 23 procent? Dlatego, towarzysze, że tow. Benet bez planu pracuje; planu u niego nie ma. Przychodzę ja raz do szkoły do tow. Beneta i pytam: „Plan u was jest?” „Jest” - powiada i pokazuje mi świstek papieru, a na nim ołówkiem coś tam nagryzmołone. Nu, a przewidujecie - pytam - towarzyszu, ile złych not dacie z końcem roku? „Tego - powiada - przewidzieć nie mogę, bo to nie ode mnie zależy”. Czy to słusznie powiedziane, towarzysze? Nie, to niesłusznie powiedziane, towarzysze. Trzeba zrozumieć, że w ustroju naszym wszystko zależy od człowieka. Dlaczegoż to, towarzysze, u tow. Stelmaszczuka Chwedora Mykołajewicza procent dobrych not wynosi aż 99 i pół procenta, a i ten jeden uczeń też już się zdążył w międzyczasie poprawić? Dlatego, towarzysze, że tow. Stelmaszczuk Chwedor Mykołajewicz z planem pracuje; plan u niego jest. Przychodzę ja raz do tow. Chwedora Mykołajewicza do szkoły i pytam: „Plan u was, towarzyszu, jest?” „Jest” - powiada i podaje mi zeszyt, a w tym zeszycie na samym końcu czystymi, wyraźnymi literami napisano: „Przewiduje się not dobrych 98%, not złych - 2%, wszystkiego 100%. A teraz u tow. Chwedora Mykołajewicza not dobrych okazało się nie 98%, a 99 z połową procenta. Plan, znaczy się, nie to, że wypełnił a i nadwypełnił. Ot, co, towarzysze, znaczy, plan sobie wypisać. A tow. Benet Stanisław Władysławowicz, on choć i na uniwersytet chodził, i za komunizm przy pańskiej Polsce cierpiał, a tego on nie rozumie, że za zasługi, coś ty partii komunistycznej i władzy radzieckiej oddał, tak my cześć tobie powinni, a ty nie myśl, że ty już swoje odrobił i że można tobie na piecu, ręce założywszy, siedzieć.

Ot! tow. Chwedor Mykołajewicz, choć i na uniwersytet nie chodził, i w tiurmie nie siedział, a i bez tego procent u niego 99 z czubkiem i stachanowiec on u nas. Więcej by takich Stelmaszczuków, a mniej takich Benetów, a i umowy o współzawodnictwie socjalistycznym, cośmy ją z drugim rejonem zawarli, nie bylibyśmy przegrali. Zobowiązmyż się tedy, towarzysze, że na przyszły kwartał zdwoimy gorliwość, aby dopiąć stuprocentowych wyników i aby z honorem wypełnić obowiązki, jakie na nas nałożyła Wszechzwiązkowa Komunistyczna Partia (bolszewików) i jej wódz, słoneczko nasze, wielki, mądry i genialny tow. Józef Wissarionowicz Stalin! Hurra-a-a-a, towarzysze! Niech żyje wódz światowego proletariatu, wiodący go od zwycięstwa ku zwycięstwu, Józef Wissarionowicz Stalin!

Capenko dał pierwszy haśło do owacji, przyklaskując frenetycznie własnym słowom. Wszyscy wstali, wykonali brawa, i zaintonowali „Międzynarodówkę”. Gdy śpiew ucichł, Capenko, rozglądając się dookoła, rzucił z dobrotliwym uśmiechem...

- Są u kogoś jakieś pytania? Nie zrozumiał ktoś czegoś, towarzysze?

Milczenie. Wymiana spojrzeń. Porozumienie łokci.

- Są u kogoś jakieś pytania? - powtórzył Capenko wyczekująco.

Wszyscy czuliśmy, że wypada uczynić zadość jego oczekiwaniom. Niezadanie pytania mogłoby łąco ujść za oznakę obojętności. Ale o co zagadnąć? Widziałem, że każdy szuka w sobie gorączkowo śladu niezrozumienia, cienia chociażby wątpliwości. Ale wątpliwości zabrakło! Wszystko było olśniewająco jasne!

- Czy są u kogoś jakieś pytania? - zapytał po raz trzeci Capenko.

W tej sytuacji dalsze milczenie zaczynało nabierać cech wyrażnie opozycyjnych. Bo jakżeż to? Z jednej strony zapał, gorliwość, entuzjazm, a tu nic - indyferentyzm, brak zainteresowania, cisza! Wydawało się jakoby sytuacja ta nie mogła się już skończyć i jakoby Capenko musiał żądać pytań, my zaś nie zadawać ich przez całą resztę wieczności, gdy nagle w ciszy jątrzącej i niewygodnej ciszy, gdzie każdy wierci się na krześle i ani wstać ani usiedzieć, rozległ się flegmatyczny i z litewska śpiewny głos. Obejrzałem się: w ławce stał wysoki blondyn w wiatrówce bez krawata. Był to Benet.

- Nie chcę - powiedział - bronić się przed słusznymi, bez wątpienia, zarzutami tow. Capenki. Przyjmuje na siebie pełną odpowiedzialność za niedostateczne wyniki mojej pracy. Z drugiej jednak strony chciałbym zwrócić uwagę, jak bardzo metoda ta zastosowana do tak nieuchwytnej, jak nasza praca, dziedziny może okazać się zawodną. Przecież w naszym wypadku twórca planu jest identyczny z jego wykonawcą: jest on niejako sędzią i podsądnym zarazem. Czy można przypuścić, aby był on zupełnie bezstronny, oceniając własną pracę? Zasada ta może doprowadzić do pewnych - nazwijmy to łagodnie - omyłek, które...

- Wy, towarzyszu - przerwał mu Capenko - takeście uczenie powiedzieli, że i rozeznąć się nie można. Jaki wam tu sędzia? Jaki podsądny? Tu wam nie sąd żaden, a procent! A procent obliczysz jak podzielisz ilość not przez ilość uczniów. To i dziecko potrafi, nie to, co nauczyciel! A jak nauczyciel się pomyli, to jest od tego dyrektor albo inspektor, żeby go kontrolował. Żadnej pomyłki tutaj być nie może...

- Ależ ja mówię o pomyłce nie w cyfrach, ale w ocenie...

Na te słowa Stelmaszczuk - jakby szydłem w samo siedzenie połączony i nie czekając nawet na przyzwalający gest Capenki, zerwał się i zawołał: - Towarzysze! Wyście to słyszeli? Pytam was, czyście słyszeli i wzywam was na świadków. Tu człowiek się męczy, w nocy nie dośpi, za dnia nie doje, ino o tych 100% myśli, a tu taki jeden z drugim, co niedawno pańskim batem nad chłopskim grzbietem świstał, fałszerstwo mu zarzuca. Komunista - on? Nie komunista, a pański synek co mu się od słodkości w głowie przewróciło. Ale my się znamy na farbowanych lisach. My nie głupi - ho! ho! My swój, chociaż chłopski, a rozum mamy! Skończyło się lackie panowanie! Twardy ukraiński grzbiet, on to cierpi a cierpi, ale jak zamachnie się...

- Nu, nu, i co z wami takiego, tow. Chwedorze Mykołajewiczu? - rzekł życzliwie Capenko - Narody Związku Radzieckiego żyją w pokojowej przyjaźni, a zamachiwać się grzbietem na kogo nie bądź - i niewygodnie, i niekulturalnie. A wy, obywatelu - tu zwrócił się do Beneta - już się o te omyłki nie troszczcie! Tow. Chwedor Mykołajewicz - on uczciwy radziecki nauczyciel i on wie, że za noty, które stawia, odpowiada przed partią i przed władzą radziecką. Jakaż u niego może być omyłka?

- Ależ...

- Nu, wszystko. Odpowiedział ja wam na wasze pytanie, a jeśli wam to jeszcze niejasno, to znaczy się, albo nie umiecie, albo nie chcecie mnie rozumieć. Nad wami przyjdzie się jeszcze popracować, obywatelu...

Setki ironicznych spojrzeń zwróciło się ku Benetowi, który - zgoła nieskonfundowany - siadł, jak gdyby nigdy nic, w ławce i zaczął czyścić scyzorykiem paznokcie. Nie mogłem się oprzeć uczuciu pewnej satysfakcji wobec klęski tego Don Kichota, który uparł się walczyć z wiatrakami i leżść, gdzie go nie proszą...

- Kto z was pragnie jeszcze zabrać głos, towarzysze? - zapytał Capenko. Znow milczenie, wymiana spojrzeń i porozumienie łokci.

- Jakżeż to tak, towarzysze? - rzekł po chwili tonem wyrzutu Capenko. - Cóż to za nieśmiałość taka? - Wzrok jego, błędząc po sali, padł na Słotwickiego. - Towarzyszu Michale Józefowiczu! Czegóż to milczycie? Tak i nie podzielicie się z nami doświadczeniem? Nie opowiecie o swoim życiu i robocie?

- Ja, panie towarzyszu - odparł zainterpelowany, wpół unosząc się z ławki i gładząc siwiznę - ja, panie towarzyszu, bardzo chętnie, sercem całym, dlaczego nie? Odwagi tylko nie starczy, elokwencja - że tak powiem - nie dopisuje, język, mosterdzieju, na starość skołowaciał, oto co!

- No, i co wam za elokwencja taka? Elokwencji tu żadnej nie trzeba. Nie święci przecież - jak za byłego cara mówili - garnki lepią, a ludzie - ludzkim mózgiem i ludzkimi rękami. Powiedzcie nam po prostu, z duszy, jakeście cierpieli za pańskiej Polski, jakeście odżyli i odetchnęli świeżym powietrzem swobody. Opowiedzcie o waszej szkole, o trudnościach, jakeście napotykali i przezwyciężali, o tym, jak życie, buzuje, wre i kipi. No, cóż ja wam będę wyliczał? Małoż to tematów? Sami powiedzcie, co czujecie!

Zapraszany gwałtownymi ruchami Capenki, prof. Słotwicki wszedł, odprowadzony wzrokiem przycichłego nagle zebrania, gładząc błyszczącą szczecinę nad podium, wyjął kraciatą chustkę, zatrąbił w nią trzykrotnie, zwinął i włożył z powrotem do kieszeni. Wreszcie, odgarniając dwoma palcami zasłaniający mu usta wąs, odchrząknął i przemówił w te słowa:

- Ja, towarzysze, zawsze mówiłem, że owszem, jutrzeńka swobody i tak dalej. Nigdy nie miałem niczego przeciw, a przeciwnie zawsze miałem wiele a wiele za. Już wiesz nasz śpiewał: „Jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud”. To jest, należało by powiedzieć odwrotnie: „Szlachta polska z polskim ludem”. A zresztą, może lepiej, panie łaskawco, żeby szlachty i w ogóle nie było. Obejdzie się bez niej. A lud to - i owszem - zawsze nad wyraz lubiłem, na wakacje na wieś jeździłem i w chłopskiej chacie mieszkalem. Bardzo a bardzo mi się tam - że się tak wyrażę - podobało: malowanki, pisanki i stroje ludowe. Całkiem, całkiem niczego. Reymonta „Chłopów” z chłopakami też się przerabiało: piękne dzieło, czterotomowe i z ideą.

- Nu, coście wy, towarzyszu, tutaj Reymonta jakiegoś przyplątali? - przerwał z dobroduszną szorstkością Capenko - wy nam o robocie swojej opowiedzcie, o stosunku waszym do władzy radzieckiej, ot, czegośmy ciekawi posłuchać.

- Właśnie do tego, towarzyszu, zmierzam per ambages - że tak powiem - eloquii. A więc, jak się rzekło, i „Chłopów” się obrabiało i chłopaków tak samo. A i Mickiewicz, wielki nasz poeta, z Moskalami się przyjaźnił i nawet wiersz rzadkiej piękności z tej okazji napisał. Słacze się nieraz człowiek, bywało, że to i czterdzieści i cztery, i że z matki obcej, i że krew jego dawne bohaterzy. Zawsze mówiłem do moich chłopaków: „Widzicie, że i wśród Moskali mogą być porządni ludzie, sam wieszcz nas tego uczy. I Jankiela Żyda pocziwego wystawił i Rykowa, choć Moskała, a wielkiej cnoty człowieka. Łby zakute, pały sakramenckie, osły zatracone, spokojnie wam przecież mówię, w człowieku człowieka przede wszystkim cenić należy - i basta! Sam wieszcz nam tak nakazuje, nie mówiąc już o religii naszej chrześcijańskiej. Synowi memu tak samo, kiedy z uniwersytetu przyjeżdżał, nakazywałem: „Ludzie są równi, nikomu jego pochodzenia wytykać nie należy i ani mi się waży do tych tam burd mieszać”. A i pan Jezus, pierwszym na świecie był komunistą i wszystko, co dalej, z jego nauki poszło, i choć wypaczone, to jak szczerze pomyślane, ach! jak szczerze! I dlatego, mość dobrodzieju, niech nam żyje władza nasza radziecka, miłościwie nam panująca i jej wódz, Józef Pił... to jest, chciałem powiedzieć, Józef Stalin!!!

Oklaski, nad wyraz zresztą skąpe, jakim audytorium przyjęło tę wypowiedź, nagle ustały w chwili, gdy podnosząc się i obejmując wycieczzonego pedagoga w pól Capenko rzekł doń życzliwie:

- Nu, cóż, Michale Józefowiczu, nie tak trudno - znaczy się - przemawiać, jak wam się zdawało. Ja, choć i w polskiej mowie nie uczony, a i tak wszystko rozumiałem i to, coście o Mickiewiczu mówili, że z Puszkinem naszym kolegował, i to, co o szlachcie, że niepotrzebna, słuszna, całkiem słuszna i z linią partyjną zgodna. Niewyrobieniście jeszcze, to prawda, styl u was ciężkawy, ale to wam przejdzie, przyjdzie się tylko popracować nad wami! Zuch starowinka! Takich by nam więcej! - I poklepawszy go po ramieniu popchnął z lekka - wśród żywiołowego już teraz huraganu oklasków - ku schodom estrady.

*

W dwa dni później prof. Michał Józefowicz Słotwicki otrzymał nominację na dyrektora. Mimo to koledzy traktują mnie nadal jako szarą eminencję, święcie przekonani o moich zażytych stosunkach z inspektorem - jak twierdzą niektórzy, bodaj czy nie z samą Moskwą. Jeden tylko Słotwicki zwątpił - widać - o mojej i wszechpotędze, bo kiedy ostatnio prosiłem go o zwolnienie z godziny, podnosząc głowę znad papierów i krzywiąc się jakby miał w ustach coś niesmacznego, odrzekł:

- Cóż, kochasiu (teraz już znów nazywa mnie „kochasiu”, jak za szkolnych czasów) cóż, kochasiu! Pan Bóg, choć nierychliwy, ale pamiętliwy. No, idźże, idź i nie baw długo, a nie zapominaj po drodze, że wielkości tego świata niestałe są i że najpiękniejszą ozdobą młodości jest skromność.

Okropność! Przerzucając dzisiaj - jak to przy niedzieli - miejscową gazetę, znalazłem na stronicie trzeciej w rubryce „Głosy czytelników” artykuł następujący:

„Ja - pisał o sobie autor - za czasów pańskiej Polski byłem prześladowany za swoje pochodzenie... Dopiero teraz zaczęło się dla mnie nowe, radosne życie... Winien jestem dożgonną wdzięczność za wyzwolenie i za możliwość pracy... Zobowiązuję się tedy...”

Itđ., itd. Lizus ten, nie kontentując się trzecią stronicą, przełaził na czwartą, aby wciąż w tym samym stylu rozwódzić się nad swymi cierpieniami i zobowiązaniami. Z obrzydzeniem odwróciłem kartę, ciekaw, ile szpalt można czymś podobnym wypełnić, gdy wzrok mój padł na podpis. Nazwisko autora brzmiało: „Mieczysław Izraelowicz Rosenzweig, inteligent pracujący”.

Przetarłem oczy. Sen? Jawa? Czyżby mnie wzrok mylił? Zakryłem ręką litery i odsłoniłem na nowo: Mieczysław Izraelowicz trwał na dawnym miejscu. I żeby to jeszcze sam Mieczysław. Ale nie! To był Mieczysław Izraelowicz. Tak tedy - jak wynika z „Wiadomości Powiatowych” nr 39 - niejaki Rosenzweig (Mieczysław Izraelowicz) skorzystał z pierwszej okazji, aby ofiarować nowej władzy swe usługi. Wyobrażam sobie, jak Stasia popijając ranną kawę mówi z niesmakiem do ojca: „Już poszedł naskarżyć...”

Prawda, że i Słotwicki został dyrektorem gimnazjum i że wygłosił nawet ostatnio nader prawomyślne przemówienie. Ale on ma po temu prawo; on - broni polskiej placówki. Ale ja? Czego ja bronię? Jakże ja mam głębsze uzasadnienie dla popełnionego czynu? Ba! Lecz - na miły Bóg! - przecieżem go wcale nie popełnił? Byłbym na śmierć zapomniat! Nie ja przecie jestem autorem artykułu! Tu trzeba podać do wiadomości, trzeba działać, trzeba zapobiec.

Tak postanowiwszy, biorę kartkę czystego papieru, na której redaguję sprostowanie następujące:

Szanowny ob. redaktorze!

W numerze 39 Waszego pisma ukazał się podpisany moim nazwiskiem artykuł, z którego treścią nie mam nic wspólnego. Jakikolwiek byłby mój stosunek do jego meritum, na proceder tego rodzaju ze względów czysto formalnych zgodzić się nie mogę. Prosząc o zamieszczenie powyższego, łączę etc.

Mieczysław Rosenzweig.

Z pismem tej treści i z numerem gazety w rękę wybrałem się na miasto. Do naczelnego redaktora, oczywiście, dostać się nie mogłem. Drzwi jego strzegł nieubłagany cerber płci żeńskiej, niedawna moja sąsiadka, obecnie niezmiernie przejęta ważnością swej funkcji, która osadziła mnie tuż przy wejściu.

- Nie można. Redaktor naczelny nie przyjmuje.

Próbowałem ją przekonać o wyjątkowości mojej sprawy, ale na próżno! Osóbką tą, która w ciągu swej krótkiej kariery dziennikarskiej o czymś podobnym do sprostowania w ogóle nie słyszała, w odpowiedzi na wszystkie moje przedstawienia poradziła mi tylko, abym się udał do działu literackiego.

Drzwi strzegła tutaj inna sekretarka, łudząco do tamtej podobna i równie przejęta, która przywitała mnie podobnie - z tą tylko różnicą, że jeśli redaktor naczelny był zajęty, to literacki był w ogóle nieobecny.

- Na konferencji - rzekła.

- Na czym?

- Na konferencji gospodyń domowych - objaśniła dobrotliwie. - Ma pisać korespondencję.

Poszedłem.

Na sali specyficzny zapach, wydzielany przez większą ilość kobiet: radczynie i nadradczynie, adwokatoe i profesorowe - w szalikach i chustkach kraciastych. Gdzież się podziały owe chodzące wazono, owe bujające kwiaoiarnie, wiszące ogrodo Semiramid? Ani śladu dawnych wspaniałości, na głowach szaro i ciemno, nuda i pustka, moja babka - praczka, mój ojciec - ślusarz albo jeszcze gorzej. O czymś podobnym mówiła właśnie stojąca na podium dziedziczka z pobliskiego folwarku w salopce przeżartej przez mole. Podeszedłszy do redaktora, który notował coś w rozłożonych przed sobą papierach, ujrzałem słowa: „... Bublik Zenobia Iwanowna, bezrolna, radośnie wita...” Czując moją obecność, wpół uniósł głowę i rzucił niechętnie:

- Wy kto taki będziecie?

- Mieczysław Rosenzweig.

- Izraelowicz? - twarz mu się rozjaśniła.

- Ten sam.

- Toż my z wami starzy znajomi. Dużo nam o was Capowicz z Rady Oświatowej opowiadał. Rozmowę jego z wami puściliśmy w dzisiejszym numerze. Widzieliście?

- Widziałem. Ja właśnie w tej sprawie... Wyście to podali nie jako rozmowę, ale jako mój artykuł...

- No tak. Numer o inteligencji pracującej był gotów, drukarnia nie czeka, budzić was po nocy byłoby niekulturalnie, a i adresu waszego nie mieliśmy...

Ach, więc tak! Któż by się był spodziewał, że przypadkowa moja rozmowa z Capowiczem pociągnie skutki tak nieprzewidziane i że właściwym jej tematem były owe wstępne grzeczności, których nawet nie zapamiętałem, tak niewielką do nich przywiązywałem wagę. Teraz dopiero widzę jego minę, gdy mu powiedział, że mimo ukończonych lat 26 nie jestem żonaty. Teraz dopiero przychodzi mi na myśl, że zapytał mnie również, czy przed wojną pracowałem gdziekolwiek. Wystarczyło mu tych paru szczegółów oraz spojrzenie na moją fizjonomię, aby stworzyć sobie naprędce moją schematyczną sylwetkę: Żyd, dotychczas bezrobotny, spragniony równości, a może i odwetu, a więc oczywiście - sprzymierzeniec. Cóż go obchodziły moje sprawy osobiste, moje uczucia np. dla Stasi? Gdzież tłumaczyć takiemu osłu, że nierówność nie jest dla mnie pozbawiona ponęty, że cała przyjemność polega na indywidualnym przekraczaniu przepaści i że jeżeli nawet pragnąłem równości, to jedynie w drodze wyjątkowej, a nie jako zasady ogólnej. Te subtelności pozostaną dla niego na zawsze nieuchwytnie. Odtworzył moją sytuację, z sytuacji wydedukował sylwetkę, z sylwetki - przekonania, zgodnie z tymi przekonaniem napisal artykuł i - po harapie!

- Właśnie - rzekłem do redaktora - przychodzę w związku z tym artykułem. Chciałbym, abyście zamieścili notatkę...

- Drugi artykuł? Poczekajcie troszeczkę. Ale tymczasem, żeby trud wasz nie poszedł na marne, to - wiecie co? Miał tu jeden witać zebranie w imieniu inteligencji pracującej i nie przyszedł. Więc może wy przeczytacie to, coście napisali?

- Ale to nie o tym...

- No, o tym, nie o tym! Dorzucicie tylko parę słów o inteligencji pracującej i będzie w porządku. My mamy do was pełne zaufanie; wy - nasz człowiek.

I nie czekając na moją odpowiedź zwrócił się do publiczności:

- A teraz w imieniu inteligencji pracującej powita zebranie utalentowany współpracownik naszego pisma, Mieczysław Izraelowicz Rosenzweig.

Nie wiem, czy w ciągu tych dziwacznych może, ale prawdziwych wspomnień zdążyłem zaznaczyć, jak poważną dla mnie we wszystkich mych publicznych poczynaniach przeszkodą jest towarzysząca mi bezustannie troska o właściwą pozycję uszu moich. Toteż nie zdając się w podobnych wypadkach na łaskę natchnienia, które - zważywszy na równoczesne napięcie mięśni usznych - mogłoby zawieść, przygotowuję sobie uprzednio na piśmie lub w pamięci - a mam ją doskonałą! - tekst wypowiedzi, gdzie uciekam się zazwyczaj do pewnych starannie dobranych chwytów stylistycznych, które - nie przyznając racji żadnej ze stron - mogą zadowolić obydwie, do pewnych ostrożnych wyrażonek w rodzaju „raczej”, „zdaje się”, „niekiedy”, „dosyć”, odbierających słowom ich ostrze. Tym razem jednak, zaskoczony i przyparty do muru przez pełnego najlepszych chęci redaktora, cóż miałem począć? Nic innego, jak skorzystać z podsunętej mi przezeń idei i przeczytać nie sprostowanie oczywiście, lecz artykuł owego mitycznego Rosenzweiga, który na szczęście miałem w ręku. Tak też uczyniłem. Wyrecytowałem go prawie bez zmian i tylko pod sam koniec wyrazi zachwytu i dziękczynienia skierowałem pod adresem gospodyń domowych, zachowując im jednak w przystępie roztargnienia epitet „heroicznych”. Nikt się temu nie dziwił. Poklask był huczny, redaktor potrząsał właśnie w przypiływie uczuć moją prawicą, gdy podnosząc wzrok znad papieru w najciemniejszym i nie zauważonym dotąd kąciku sali ujrzałem - jawa czy przywidzenie? - oczy utkwione we mnie z wyrazem, którego wolałbym bliżej nie określać. Były to oczy Stasi.

Wyszarpnąłem rękę z uścisku redaktora i wybiegłem na ulicę. Przyszedłszy do domu skierowałem się wprost do mroczniejącego już lustra. Tym razem nie położyłem uszu po sobie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy oglądałem swe oblicze w stanie naturalnym, jakże podobne do owego oglądanego tylekroć w pismach, na murach domów i ścianach klozetów straszdyła! Oto obwisłe wargi, znamionujące lubieżność! Oto symbol tchórzostwa - cofnięty podbródek! Oto krogulczy nos, zdradzający - nie wiem już, okrucieństwo czy chciwość! Oto jakim mnie widzą Stasia, Słotwicki! Oto kim byłem na dzisiejszym zebraniu: wcieleniem mafii sprzysiężonej na zagładę świata, a zwłaszcza polskości. O, gdyby móc zedrzeć tę maskę, zszarpnąć tę przyklejoną od urodzenia powłokę!...

I podniósłszy rękę, wciąż przyglądając się swemu odbiciu, spoliczkowałem swą twarz dwukrotnie.

Otworzono drzwi kuchenne i ciemna głąb lustra zamigotała płomieniem.

KANAŁY (AUTOBIOGRAFIA)

Mity terenowe

Niewesołe były perspektywy, z jakimi w sierpniu 1939 r. wracałem z Krakowa do Sambora. Osiem lat mijało, odkąd wyjechawszy na studia tułałem się po świecie, wciąż nie potrafiąc o nic zaczepić ani zagrzać nigdzie miejsca. Specjalność? Specjalności miałem aż za dużo: byłem nauczycielem szkół średnich, który właśnie zakończył dwuletnią bezpłatną praktykę w jednym z krakowskich gimnazjów; filologiem klasycznym, który ogłosił parę prac naukowych oraz niewielką książeczkę o poecie grecko-sycylijskim Teokrycie; debiutującym krytykiem, który pisywał recenzje w dodatkach literackich pism codziennych; autorem przekładów - wielce poprawnych i klasycyzujących - z parnasistów; autorem kilkunastu - równie poprawnych i klasycyzujących - wierszy. Żadna jednak z tych rozlicznych umiejętności nie potrafiła mi zapewnić skromnego chociażby utrzymania. Teraz więc, kiedy po zakończeniu praktyki w krakowskim gimnazjum opadał ostatni pretekst do dalszego wałęsania się po świecie, miałem osiąść w rodzinnym Samborze do chwili, gdy - czekaj tatka latka! - otworzy się gdzieś wakans wykładowcy języków starożytnych. Powrót ten miał zamknąć czeladniczy okres mego życia, osiem lat studiów. Znajdowałem się w punkcie zwrotnym, w którym - chcąc nie chcąc - trzeba się obejrzeć wstecz, dokonać obrachunku z przeszłością, określić się na przyszłość.

Określić się? Rzecz jednak w tym, że wciąż jeszcze byłem zjawiskiem nieokreślonym i pogranicznym - jak owa dzielnica, gdzie dwadzieścia pięć lat temu przyszedłem na świat. Miejsce mego urodzenia, Targowica, sąsiadowała z jednej strony przez Młynówkę z głębokim gettem, z drugiej - przez schodki - z Rynkiem, dzielnicą urzędów, szkół i kościołów. Fakt, że Rynek znajdował się na wzgórzu, miał dla mnie - jak dla pożegnanego przed chwilą Mieczysława Rosenzweiga - znaczenie zasadnicze. Zstępując po schodkach do przeciętej na dwoje Młynówką dzielnicy żydowskiej zstępowało się zarazem na dno drabiny socjalnej. Nie od razu jednak! Na lewym brzegu, czyli na Targowicy, domy były jeszcze nie tak odrapane, a język polski rozbrzmiewał na równi z żydowskim. W dni jarmarczne, kiedy plac mrowił się od chłopskich furmanek, dochodził tu trzeci - ukraiński. Parę razy do roku, w dniu odpustów, coś jakby lawina spadało z sąsiednich gór: gazdowie w przerzuconych na spodnie soroczkach targowali chomąta, gaździny grzebały się w perkalach lub załatwiały się, rozkraczone, między wozami, parobkowie ze spinkami w kołnierzykach obrzucali chciwym spojrzeniem rowery. Czasem pokój, gdzie siedziałem, ciemniał: jakaś twarz rozpląszczona na szybie wodziła olśnionym wzrokiem po sprzętach. Dla tych Bojków miasteczko nasze było, czym Rzym dla barbarzyńców: przybytkiem wszelkich wspaniałości. W owe dni odpustowe przeprowadzali jakby wstępny rekonesans, po którym miała przyjść kiedyś - wielka inwazja.

Przez mostek na Młynówce wchodziło się z Targowicy w samo sedno Czarne Lądu, w prawobrzeżne getto. Na Blichu, gdzie - wokół synagogi, cmentarza i trupiarni - przykucnęło kilkadziesiąt ruder z oknami na wpół zastłoniętymi przez zgniłe gonty, mówiło się wyłącznie - czy raczej „szwargotało” - po żydowsku; w piątkowe wieczory zza oświetlonych szyb dolatywały także pieśni hebrajskie. W skwarne popołudnia woń rynsztoków biła pod niebiosa. Dopiero w miarę posuwania się w głąb Blichu z odorem tym mieszał się zielony zapach wody, a w odgłosy zabaw dziecięcych wkładał się inny odgłos. To rzeka Dniestr, którą dostrzegało się stając na skraju zabudowań, torowała sobie pracownicy drogę przez szuwały.

Rynek wreszcie i Naddniestrze, obrzeżające z dwu stron Targowicę i Blich, fascynowały mnie - każde na swój sposób: pierwszy jako domena will i gimnazjów, drugie jako teren letnich wycieczek, który - wychodząc ze skwarnegetta - ogarniało się odświeżonym nagle spojrzeniem. Znana jest skłonność dzieci, aby swe najwcześniejsze i ściśle lokalne doświadczenia uogólniać w całościowy obraz świata. Otóż wychowany na Targowicy, skąd rodzice moi wciąż zamierzali - bezskutecznie - się wyprowadzić, duchem przynależałem do Rynku. Uczęszczałem do jego szkół, na jego balustradach i amorkach uczyłem się poczucia piękna. Cóż dziwnego, że stał się on dla mnie symbolem kultury - zwłaszcza tej grecko-łacińskiej, jaką czerpałem z jego klasycznego gimnazjum, że pierwsze moje próby literackie utrzymane były w tym właśnie klasycyzującym stylu, a jako studium obrałem filologię starożytną, która miała mnie - przynajmniej duchowo - przeprowadzić do Rynku?

Zupełnie inne wspomnienia wyniosłem z pól naddniestrzańskich. Jeszcze dziś widzę ten wielki obszar żwirów i łóz, który roi się - niby płótno Breughla - od mnóstwa szczegółików. Tu chłopina pokrzykuje z ukraińska na woły; tam pastuch idzie z bydłem na wygon; gdzie indziej widać przecięte taflą rzeki ciała kąpiących się; jeszcze dalej, w samym tle, jakieś pary skręcają chyłkiem w zarośla. Jeżeli Rynek układał mi się w całość śródziemnomorsko-klasyczną, to Naddniestrze kojarzyło mi się z jakąś leśmianowską słowiańszczyzną, z pokusą zmysłową i z grzechem.

Z tych społeczno-terenowych urzeczeń wynikły zasadnicze wydarzenia mojej wczesnej młodości. Wydarzeń w pełnym tego słowa znaczeniu było w niej zresztą niewiele. Nic się nie działo w tych pustych ramach, które na próżno usiłowałem cokolwiek wypełnić. Dlaczego jednak spośród wielu poetów antycznych upodobałem sobie właśnie Teokryta? Chyba dlatego, że w jego wierszach łąd kojarzy się z morzem, Grecja z Sycylią, coś jakby - Rynek z Naddniestrzem, że jego Galatea to rusałka o klasycznym zapleczu, że po jego posągach przebiega ruchliwy odbłask wody, że, słowem, był on dla mnie poetą - nieomal samborskim. A dlaczego wyszedłszy w pewne czerwcowe przedpołudnie na Rynek, aby asystować przy powrocie uczennic ze szkół, doznałem olśnienia na widok pewnej osobki niczym specjalnym się nie wyróżniającej? Zapewne działała tu aureola secesyjnych kamieniczek, jakichś will, jakichś posązków, obok których przechodziła. Dlaczego jednak spośród wszystkich dziewcząt, które - stukając raźnie piórnikiem - defilowały przez Rynek, wybór mój padł właśnie na nią? Chyba dlatego, że ktoś szepnął mi jej adres: mieszkała nad Dniestrem - w miejscu, dokąd powinien być już docierać szum fal i świst szuwarów.

Dopiero dziś rozumiem, dlaczego wiadomość ta podziałała na mnie, ale to od razu i piorunująco. Między dwoma mitami mego dzieciństwa, Rynkiem a nadrzeczem, przebiegła iskra. Objawiona na tle Rynku i jego kultury, miała domostwo nad Dniestrem, w dzikiej przyrodzie, spinając obie te dzielnice łukiem wspólnej fascynacji: była ich wcielonym mitem. Galateę, słowiańską rusałkę o klasycznym zapleczu. Nie ją kochałem; kochałem te dzielnice, które nareszcie dzięki niej wypełniały się treścią; z odbicia tych czar pustych miał się wyłonić nareszcie dramat na scenę. Czyż nie w podobny sposób bohater Prousta pokochuje ujrzaną na plaży w Balbec gromadkę dziewcząt, które wcielają dlań czar tej od dzieciństwa wymarzonej miejscowości letniskowej? Eros bywa mniej nieobliczalny, niż skłonni jesteśmy przypuszczać. Kochamy się - powiada tenże Proust - nie tyle w osobach, co w światach, do których za ich pośrednictwem spodziewamy się zyskać dostęp; erotyką kierują prawa społeczne, a dobór miłosny bywa funkcją snobizmu.

Wydarzenie aktualne, które trafia na nagromadzone z dzieciństwa złoża mitów, pada na nie jak iskra na prochy; bania z poezją rozbija się wówczas nad głowami tych nawet, którzy w przyszłości poetami

nie będą. Tak więc w owej osobce ważne było dla mnie przede wszystkim tło, owe fascynujące mnie od dzieciństwa dziełnice, które ona swą obecnością dramatyzowała. Wiersze - jak to u mnie - były poprawne i klasycyzujące, utrzymane w duchu Rynku i przesiąknięte krajobrazami Naddniestrza, pełne fal i zachodów, szumów i powiewów. Jakaś uliczka, miejsce naszych spotkań, przeobrażała mi się w fantastyczne Fontainebleau, nasiąkała purpurą i złotem Renesansu. Pisałem:

Wielkie wieńce płynęły na zachodnim niebie,
Liście drzew i me włosy szumiały na wietrze,
Kiedy z sercem bijącym śpieszyłem do ciebie,
Prując jak fale ciepłe wieczorne powietrze., itd. itd.

I może byłbym kontynuował w tym duchu, mnożył „fale” i „zachody”, gdyby nie pewne wydarzenie - samo w sobie dość banalne. Oto osobka, która nie grzeszyła stałością, pokazała się w męskim towarzystwie - i to gdzie? W miejscu tak immanentnie rozwiązyłem jak nadbrzeżne łoży. Reakcja moja na tę wiadomość, której mi nie omieszkało zakomunikować, była dwojaka. Z jednej strony budziła ona zrozumiałe uczucia, z drugiej jednak - potwierdzała jakieś prywatne mity, wypełniała jakby dawne oczekiwanie. Wszak łoży - w myśl moich dziecięcych wyobrażeń - miały być terenem grzechu i rozpusty. Powstawał tu konflikt między człowiekiem, który uczuciowo fakt ten negował, a „mitologiem”, czy - jak to sobie wówczas określiłem - „czarodziejem” nadrzecza, któremu układał się on w jakąś poetycką całość. Na przecięciu tych dwu tendencji powstał wiersz *O miłości bezosobowej*, gdzie - przez zespolenie z krajobrazem, który był milczącym współnikiem zdrady - zazdrość sublimuje się w rodzaj panteizmu. Lepszy czy gorszy, wciąż jeszcze pełen rozmaitych „fletni” i „kapiteli”, wiersz ten - jedyny spośród ówczesnych - wydaje mi się - jako dokument - godzin przytoczenia:

O zmierzchu szept w wiklinach tajemniczy kusi
Dziewczyne, co te strony niespokojnie mija,
Bo z słodkiego zachwyty, co ją w gardle dusi,
Wzdryga się, jakby śliska musnęła ją żmija.

Ale w wodzie zastygło przedwieczne złoto,
A ponad wodą ptaki i zapachy letnie,
O! Jakże ci się oprzeć, szumiąca tęsknoto,
Kiedy trzciny tak grają jak pogańskie fletnie?

Pogasły światła, ognie błyskają w pustkowiu,
Bledną w chmurach różowych kute kapitele.
Tylko wciąż, nieprzytomnie, wzdycha wiatr w sitowiu
i jak ciało rozgrzane pachnie dzikie ziele.

Ktoś, czarodziej nadrzecza, lubieżny i smutny,
Ze sam lotnej zdobyczy uchwycić nie może,
Roztopiony przemysłnie w łożu bałamutnej,
Wzywa szumem kochanków w to zielone łożo.

Dlatego szept o zmierzchu tajemniczy kusi
Dziewczynę, co te strony niespokojnie mija
I od słodkiej pieśczoły, której ulec musi,
Wzdryga się, jakby śliska musnęła ją żmija.

„Udała się Panu ta dziewczyna ze żmiją” - pisał mi Tuwim, któremu - gimnazjalnym obyczajem - przesłałem wówczas swe wiersze. Ba! Ale skąd żmija?

Skąd ów dreszcz ohydy, który - pod spojrzeniem „czarodzieja nadrzecza” - wstrząsa dziewczyną? Tu - konieczne są pewne wyjaśnienia dodatkowe. W swej „psychoanalizie terenowej” ograniczyłem się dotychczas do tych miejsc, które w moim ówczesnym życiu stanowiły niejako biegun pozytywny; nie wyjaśniłem sensu, jaki miały dla mnie bliźniacze dzielnice żydowskie.

Jeśli Rynek i nadrzecze były dla mojej dziecięcej wyobraźni rajem, to Targowica stanowiła dla mnie rodzaj czyśćca, była miejscem pośrednim i przejściowym, przystankiem, na którym rodziny odbywające wielopokoleniową wędrówkę z getta do Rynku zatrzymywały się na krótszy lub dłuższy wypoczynek; czym zaś był dla mnie Blich, tego nietrudno się już domyślić.

Otóż paradoks terenowy mojej młodości polegał na tym, że nad Dniestr szło się przez Blich, że droga do raju prowadziła przez piekło. Aby uciec w letnie dni od skwaru i fetoru Targowicy, trzeba było mianowicie zanurzyć się w skwar i fetor jeszcze większy, trzeba było przez gęsto pokryty rynsztokami teren getta przedostać się na pola nadrzeczne. Szedłem tamtędy jakby zagrożony jakimś wewnętrznym niebezpieczeństwem. Zdawało mi się, że niechbym stąpnął nieco mocniej, a runę przez tę powierzchnię nieszczelną w jakiś podziemny labirynt, którego obsesyjną mapę nosiłem w sobie. Wszystkie te rynsztoki, przejścia i przełazy łączyły się w wielkim kanale, który w centrum getta otwierał półtorametrową, ciekącą żółtym wysiękiem, paszczę. Był to główny odbytek całego miasta, które tam, na górze, maskowało dyskretnie swą podziemną łączność z Blichem przy pomocy płyt kanałowych, ale tu załatwiała się otwarcie i bez żenady. Nie mogłem - na widok tej strużki zaropiałego błota - opędzić się od myśli o jej proveniencji: w ten więc sposób dawały tym na dole znać o swym istnieniu wille i urzędy, szkoły i gimnazja? Tym więc podszyty był rynkowy klasycyzm? A czyż mój własny klasycyzm - wszystkie te róże i zachody, te przekłady z parnasistów, cała ta kurczowa czystość mojej postawy - nie były podszyte czymś podobnym: lękiem przed stoczeniem się w podziemia Czarnego Łądu? Ten brud i nędzę nosiłem w sobie; nie byłem o tyle różny od tych raczkujących w błocie dzieci, mój dom - nie o tyle piękniejszy od ich ruder, abym nie czuł wspólnoty losu. Toteż kiedy dotarłszy do najdalszych zabudowań, stawałem na skraju pól naddniestrzańskich, ogarniałem je spojrzeniem ociekającym jeszcze od tamtych widoków, chwytałem jego aromaty powonieniem pełnym jeszcze tamtych zapachów, odbierałem jego szelesty uchem, w którym brzmiały jeszcze tamte krzyki. Wobec tych sreber i zieleni stawałem pełen poczucia zmały, utyłany - jak po psychicznym przejściu przez kanały. Oto dlaczego - czując na sobie wzrok „czarodzieja nadrzecza”, który jest moim wzrokiem - przechodząca przez łoża dziewczyna „wzdryga się, jakby śliska musnęła ją żmija”.

Od opowiedzianych przeżyć minęło wiele lat i w chwili kiedy wracałem w 1939 r. do rodzinnego miasta, byłem już kimś całkowicie odmiennym od owego gimnazjalisty, który stawał na skraju getta, bezbronny wobec miejscowych fascynacji i całkowicie nieświadomy ich działania na siebie - tak nieświadomy, że kiedy rzeczona osóbka wyprowadziła się z nadrzecza, całe zadurzenie mu minęło - sam nie wiedział, dlaczego. Od opowiedzianych przeżyć minęło zatem lat siedem. Względy materialne wciąż jeszcze odraczały przeprowadzkę rodziny „za schodki”. Młody człowiek jednak, który te lata spędził poza domem, dokonał jej na własną rękę - symbolicznie. Nie tylko bowiem zadomowił się w klasycznej filologii, w krytyce i w poetyckich przekładach, słowem, we wszystkim, co w jego wyobraźni należało do domeny Rynku, ale nawet rozpoczął pewną działalność na tym terenie. Czy jednak, że działalność była za krótka, czy że utwory nazbyt szkolarskie i wzorowane na uznanych mistrzach Rynku, dość że wciąż nie czuł się pełnoprawnym jego obywatelem. Zadomowienie jego było wciąż jeszcze połowiczne i tymczasowe; aby się w nim ustalił na dobre, trzeba było, aby dotarł doń nie od strony Targowicy, lecz od strony Blichu, nie przez schodki, lecz przez podziemia, aby stanął na nim utyłany krwią i błotem getta, przeszedłszy - nie psychicznie już, ale dosłownie - przez kanały.

Drugie wcielenie Brochwicz

Było to jesienią 1942 roku. Trzy lata mijały, odkąd - niczego w świecie nie zwojowawszy - wróciłem do rodzinnego miasteczka, aby osiąść w nim na stałe. Za czasów radzieckich nauczalem w miejscowej szkole średniej; teraz - pracowałem w brygadzie tragarzy, którzy - po wielkiej akcji przeprowadzonej przez hitlerowców w sierpniu 1942 roku - wywozili z opustoszałych mieszkań meble.

W pogodne wrześniowe popołudnie leżałem, wróciwszy zawczasu z pracy, na gliniastym brzegu rzeczutki. Przyjaciele moi, rozsiani po całym świecie, ginęli po więzieniach, obozach i frontach śmiercią najrozmaitszą: duszeni, tłuczeni, rozstrzeliwani, bombardowani, gazowani, paleni, ja zaś - może to sobie brzmieć paradoksalnie czy nawet niesmacznie! - przeżywałem właśnie okres euforii. Odprężenie po przebytej grozie; spokój już przeszło półtoramiesięczny; normalna ludzka skłonność, aby widzieć przyszłość w świetle, w jakim by się chciało ją zobaczyć; ciepło wreszcie zachodzącego słońca i trochę mętnej wody, w której się raz po raz zanurzałem; wszystko to dawało mi poczucie całkowitego błogostanu.

Nie byłem sam; obok mnie siedzieli dwaj byli wychowankowie tutejszego gimnazjum i moi uczniowie, obecnie - koledzy-tragarze. Rzucaliśmy karty na glinianą ziemię, prowadząc równocześnie jedną z modnych wówczas optymistycznych pogawędek, zwanych „zagadywaniem robaka”: a to, że Roosevelt nie dopuści... a to, że papież interweniował u ambasadora... a to, że front blisko... W przerwach gry i rozmowy przełaziliśmy przez płot, aby narwać w sąsiednim ogrodzie gruszek.

- Słyszysz pan, panie profesorze? - rzekł jeden z moich uczniów, unosząc głowę znad kart.

- A bo co?

- Śpiewają. To nie hitlerowcy.

Rzeczywiście po raz pierwszy od wielu miesięcy - zamiast „Heili! Heilo! Heila!”, skandowanego rytmem podkutych butów - doleciała mnie normalna piosenka, złożona z normalnych polskich słów.

- To chyba ludzie Rokity przyjechali.

Zelektryzowani, wspięliśmy się na zbocze, skąd widać było jak na dłoni Targowicę, centrum naszego obecnego życia. Było to jeszcze przed zamknięciem getta i naszą przeprowadzką na Blich. Szła tamtędy kolumna obozowców. Od dawna już zapowiadano nam, że ma się u nas w przejeździe do Tarnopola zatrzymać Rokita, wicekomendant lwowskiego obozu zagłady. Wiózł z sobą brygadę obozowców, którzy mieli w jakimś nie określonym bliżej celu rozebrać tutejsze baraki. Szli teraz przez plac targowy czwórkami i śpiewali:

Akcja w sierpniu, akcja w lutym.

Żona, dzieci marsz za druty.

przy czym każdą zwrotkę kończyli niezwykle ordynarnym refrenem. Przy całym wychudzeniu mieli w postaci jakąś zadzierzystość i pokazowość, jak gdyby chcieli się popisać przed tutejszymi mieszkańcami. Była w nich duma ostatecznie poniżonych, którzy ustalili się już w swym poniżeniu, znaleźli w nim miejsce i przydział. Podczas gdy my tutaj byliśmy wykolejeni, wstydziliśmy się swych nie wyprasowanych ubrań, które nie zasługiwały jeszcze na nazwę łachmanów, to oni - brudni, zawszeni i obdarci - przekroczyli już granicę wstydu i wykolejenia. W pewnej chwili wydało mi się, że między nimi a jadącym obok nich konno gestapowcem istnieje jakieś porozumienie, jakaś więź koleżeńska, jak gdyby i kat, i ofiary mieli wspólną sprawę do załatwienia, na której powodzeniu obu stronom zależy...

Patrząc na ich przemarsz, czułem, jak euforia moja znika, ustępując miejsca panicznemu lękowi. „Za miesiąc, może za dwa - myślałem - będę jednym z nich; oni znają już to, w co ja mam być dopiero wtajemniczony; są już po tamtej stronie”. Narzuciwszy czym prędzej ubranie, pobiegłem do gmachu Rady, dokąd skręcała kolumna.

Panowało tam niezwykle poruszenie: przed prezydyjnym gabinetem stali na baczność dwaj milicjanci, z wnętrza dolatywały rozbawione głosy i brzęk kieliszków. Obozowcy byli w suterrenach na obiedzie. W mętnym świetle padającym z oberluftów, w kłębach pary, w fetorze gotujących się obierzyn siedzieli czarni, brudni, zziębnięci, z twarzami w miskach: jeden zgarniał cynową łyżką nieco rozchlapanej na stole jaglanej brei. Wszelka zamaszystość z nich odpadła; było to albo moje złudzenie, albo wynik marszu, śpiewania i obecności gestapowca. Twarze mieli zamknięte, niechętne do wynurzeń; nie było z kim gadać. W kącie przy osobnym stoliku siedział czarniawy chłopak, ubrany nieco schludniej, z żółtym „T” na ramieniu. Znałem go skądś: ach, tak, spotykałem go w jednym ze studenckich stowarzyszeń, był wtedy na politechnice. W oczach jego dojrzałem błysk rozpoznania; przysiadłem się. Bez wstępów - tak oczywista była nasza wzajemna sytuacja - przystąpiłem do kwestii zasadniczej: „Jak tam jest?” i „Jaki on jest?”

Nie będę jego słów przytaczać in extenso. Rytuał obozowy jest już dziś nazbyt znany, abym miał go opisywać na nowo. Co mi jednak z jego opowieści utkwiało szczególnie w pamięci, to dwie kontrastowe sylwetki, charakterystyczne w jakimś sensie dla całego świata hitlerowskiego; komendanta obozu Wilhausa i jego wicekomendanta Rokity.

- Wilhaus - mówił mój znajomy - to fachowy morderca, który zawód swój wykonuje bez wstrętu, ale i bez zbytniego entuzjazmu. Zabija ludzi, jak kto inny rżnie sieczkę; uważa obozowców za swoisty surowiec, z którego ma wyprodukować taką a taką ilość trupów. Nie ma do nich żadnego stosunku

osobistego; w jego prywatnym mieszkaniu zajęci są dwaj, których traktuje jako istoty bez twarzy, ale nie znęca się nad nimi. Dlatego jest taki niebezpieczny przy selekcjach. Nic nie odwiedzie go od powziętej decyzji; jego pierwszy wybór jest zawsze ostatnim.

Natomiast Rokita ma do więźniów stosunek osobisty; zależy mu w pewnym sensie na ich opinii. Mówi o nas „meine Leute” i broni przed niepowołaną ingerencją. „Meine Leute hab' nur ich das Recht zu hauen”⁴¹ - powiada. W gruncie rzeczy chciałby, abyśmy go lubili, i wpada we wściekłość widząc, że się go boimy. Przede wszystkim jednak chce nam zaimponować, zaskoczyć nieprzewidywalnością swoich decyzji. Dlatego nigdy nie wiadomo, czego się po nim spodziewać, i najlepszy sposób, aby przewidzieć jego postęпки, to założyć, że robi coś najbardziej nieoczekiwanego.

Zdarzyła się u nas taka historia: Rokita miał kochankę-więźniarkę. Ta znowu poza nim miała jeszcze kogoś innego, od serca, więźnia, ma się rozumieć. Wszyscy o tym wiedzieli - prócz jednego Rokity. Aż tu raz otrzymuje nasz Rokita rozkaz natychmiastowego wyjazdu na akcję. Zrywa się, nawet szklanki mleka, którą miał w ręku, nie zdążył dopić. Ale - czy że akcję odwołano, czy że kogoś innego na nią wyznaczono, dość że po godzinie jest z powrotem w mieszkaniu i - kogo w swoim łóżku zastaje? Tego więźnia, który właśnie dopija jego mleko. Ci, co byli na dziedzińcu i wszystko widzieli, oczekiwali krzyków, strzałów. A tu nic. Po chwili Rokita wychodzi, zanosząc się od śmiechu. „Meine Milch auszusaufen...”⁴² - powtarza, podchodząc do jednego i drugiego. - „Unerhört”⁴³. Potem kazał zawołać rabina, co go mamy w brygadzie - o, ten tam w kącie - aby dał im ślub wedle wszelkich rytualnych przepisów. Nawet się rozczulił przy tym. „So eine Liebe”⁴⁴.

Teraz wybiera się do Tarnopola, żeby założyć tam solidny obóz, i bardzo jest z tego dumny. „Zobaczycie - mówił przy wyjeździe - jak się tam urządzimy”. Rzeczywiście, jestem przekonany, że nie będzie tam źle. A Rokitę, jeśli umiejętnie z nim postępować, można owinąć dookoła palca. To jest - widzi pan - po prostu kabotyn, niewyżyty artysta. Uważa obóz za rodzaj sztuki, w której przypadła mu po raz pierwszy w życiu główna rola, przegląda się w oczach więźniów i oczekuje od nich aplauzu. To ciekawe, ile można znaleźć w środowisku gestapowskim skrachowanych artystów, realizujących w życiu to, czego nie potrafili zrealizować w sztuce...

„Brochwicz” - przeleciało mi przez myśl. W błyskawicznym skrócie wyobraźni ujrzałem - w miejscu obozowców, wychłепtujących resztki jaglanej zupy - warszawskich pięknoduchów, jak - uprawiając psychologiczne eksperymenty - sączą swoje pół czarnej. Skojarzenie było właściwie całkowicie dowolne, na wpół gorączkowe, tylko dreszcz w grzbiecie identyczny. Poczułem, jak może na skutek kuchennych wyziewów - zbiera mi się na mdłości. Pożegnawszy się naprędce ze swym rozmówcą, wybiegłem na górny korytarz.

W drzwiach prezydialnego gabinetu stał Rokita, bełkocąc niewyraźnie do milicjantów i urzędników Rady, którzy go otaczali w pełnym szacunku dystansie; za nim widać było biurko zastawione kieliszkami. Przepychając się przez ciżbę, usłyszałem mimochodem:

- Mój obóz to będzie dobry obóz... Daję wam ostatnią szansę... Kto się zgłosi na ochotnika...

⁴¹ Tylko ja mam prawo bić swoich ludzi.

⁴² Moje mleko wypijać...

⁴³ Niesłychane.

⁴⁴ Taka miłość.

Wyszedłem na dziedziniec, nad którym polatywały w szarzącym powietrzu płomyki liści. „Ostatnie, jakie widzę” - pomyślałem. Młodości trwały. Czułem, że nie zniosę dłużej tego stanu zawieszenia, że muszę zrobić coś ostatecznego i nieodwracalnego. Czemu by na przykład nie zaciągnąć się do Rokity?

Nagle... Otóż nie, nie było to „nagle”. Tylko w literaturze ważne zdarzenia następują tuż po sobie; życie zwleka nieraz z odpowiedzią na nasze pytania, choć zawsze w końcu ją daje. W rzeczywistości, w paręnaście dni później - Rokita wciąż bawił w naszym mieście - do jego obozu zgłosiła się już pewna liczba ochotników, a ja, wykręciwszy się jakimś sposobem od pracy, włóczyłem się bez sensu po Targowicy, kiedy ktoś ujął mnie za ramię i spytał:

- Co porabiacie?

Odparłem machinalnie: „Giniemy”, słowem, które od szeregu dni stanowiło zasadniczy motyw moich myśli. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że nie bardzo właściwie wiem, kogo mam przed sobą. Ten niewielki człowiek z blond wąsikami, którego drobna rączka spoczywała na moim ramieniu, był mi skądś znany, tak, chyba z czasów lwowskich. Ale nie mogłem sobie ani rusz przypomnieć nazwiska. Powiedziałem:

- Chodźmy do mnie.

W domu - jeśli domem można było nazwać to zbiorowisko rozdartych szaf, podartych kanap i kawałków tynku opadłych z muru - siedząc w wybebeszonym fotelu przy chwiejącym się stoliku, usłyszałem po raz pierwszy od wielu lat wiadomości o dawnych przyjaciółach: ten zamordowany, tamten w obozie, ów uszedł z Sowietami, inny wreszcie żyje i działa...

- Działa? - powtórzyłem pytająco, tak bardzo nieprawdopodobną wydała mi się myśl o wszelkiej działalności, mnie, który od lat przebywałem w środowisku ludzi całkowicie zafascynowanych hitlerowskim terrorem i zajętych jedynie salwowaniem własnego życia. - Działa?

W odpowiedzi na to otrzymałem dokładne expose sytuacji politycznej. Czerwona Armia cofa się jeszcze, ale niebawem przejdzie do natarcia. I w kraju trwa walka z okupantem. Są organizacje podziemne. Jest partia.

Widzimy dzisiaj te lata w oświeceniu setek publikacji i wiemy, że nawet w straszliwym roku 1942 kraj wrzał i dygotał. Dla mnie jednak wiadomość ta była olśnieniem.

Znajomy mój był łącznikiem świeżo powstałej partii, PPR-u. Przyjechał tutaj, aby przewieźć pewną kobietę, potrzebną do roboty. Czy nie mógłbym mu wskazać jakiegoś zaufanego, starego partyjnika, zupełnie oczywiście nie skompromitowanego i o aryjskim pochodzeniu?

W godzinę później w mieszkaniu moim znalazł się milkliwy Ukrainiec, który - jakby przez historyczną ironię - nosił nazwisko Bandera. Po raz drugi odbyła się ta sama rozmowa; najlepiej zapamiętałem łzy w jego oczach na dźwięk słowa „partia”.

Kiedy łącznik wstał, aby się pożegnać, zadałem mu pytanie, które od dawna leżało mi na języku:

- A ja? Co ja mam począć?

Rzucił mi spojrzenie człowieka obudzonego właśnie ze snu:

- Wy? Sami nie poradzicie. Tu trzeba ludzi, organizacji. Dłużej siedzieć tutaj nie ma po co; nie dziś, to jutro wybiją wszystkich do nogi. Trzeba wystarać się o broń i wiać; im prędzej, tym lepiej. A kontakt utrzymujcie z nami przez niego - tu wskazał na Banderę.

Widzę jeszcze, jak ja - eks-tragarz niemiecki i niedoszły obozowiec Rokity - żegnam się z nim, stojąc na progu załanego rupieciami mieszkania. Po jego wyjściu matka moja, która zawsze spodziewała się ocalenia po moich wielkomiejskich znajomych, wybiegła z kuchni i zapytała:

- Kto to był? Pomoże ci w czym?...

Śmierć pradiadka

Przechodząc w przedwojenne piątkowe wieczory wzdłuż Młynówki, słyszałem dolatujące z Blichu odgłosy tańców i śpiewy. Była w tych pieśniach jakaś dwuznaczność. Radosne w treści - mówiły o narodzie wybranym, o przyrzeczeniach Wiekuistego, o przyjściu Mesjasza - w melodii były rozdzierająco smutne. Podobne poczucie dwuznaczności nawiedzało mnie, ilekroć razy zachodziłem na tamten brzeg. Nie mogłem nie zauważyć, że - przy całym swym brudzie i nędzy - był to właściwie teren sakralny, że pod prozaiczną szatą krył on jakieś wspomnienia i przeczucia. Kahał, instytucja samorządowa, był podupadłym wcieleniem groźnego Sanhedrynu, po którym dziedziczył - pozbawioną już dawnego znaczenia - nazwę Zmowy Starców, Sod-haz'kejnim. Nawet druty między domami, które miały umożliwić swobodne przenoszenie ciężarów w dni świąteczne, zawierały jakiś sens aluzyjny, kwintesencją zaś tego wszystkiego był pradziad Aron, który - od lat przykuty do łóżka i nie schodzący nawet w Sądny Dzień z piętka - wciąż jeszcze przestrzegał 248 przepisów i 365 zakazów Zakonu, odgradzając się surową regułą od obmierzłości i pomieszania, „tum'a utmija”, w jakich żyliśmy my - ludzie pogrnicza.

Dwuznaczny charakter Blichu jako terenu sakralnego i wyklętego zarazem mieli w pełni wydobyć dopiero Niemcy. Rzecz znamienita, że gdy dla nas, ludzi Targowicy, mieli tylko pogardę, do Blichu i jego pojęć odnieśli się z całą powagą, nadając przeraźliwą dosłowność wszystkiemu, co było dotąd ledwo zarysowane w jego atmosferze. Tam urządzili getto, jakby chcieli nas zawrócić do stanu pierwotnej święto-przekłętej ambiwalencji; Kahał odzyskał groźne kompetencje Sanhedrynu i zasłużył w pełni na nazwę Zmowy Starców; druty, dawniej tylko zaznaczone, teraz zgęstniały i odgrodziły dzielnicę; ktoś zaś mógł być jej władcą, jeżeli nie ten, kto przez całe życie odgradzał się od „tum'a utmija” - pradziad Aron? Tylko niemoc przeszkodziła mu stanąć na jej czele. Lecz w owo uroczyste sobotnie popołudnie – wszystkie one są uroczyste, wszystkie opięte błękitem, wszystkie przepojone ciszą - w owo sobotnie popołudnie, kiedy znoszono go wraz z łóżkiem po schodach - kupę kości obciążniętych pergaminową skórą, zgromadzeni w dole, na Bóźniczym Placu, czuli, że to władca zstępuje do poddanych. Znosili go, manewrując ostrożnie na platformach, gettowi milicjanci, znosili aż na plac, gdzie - uszeregowani w czwórki i gotowi już do odmarszu - stali mieszkańcy kamienicy. Wszyscy czuli królewskość tego zstąpienia; czuł je też zapewne i gestapowiec w długiej pelerynie, który - warknąwszy „Weg!” na milicjantów - przystąpił do mrugającego oczyma i przyłożył mu lufę do skroni.

Czerwony języczek

Podział na strefy narodowościowe, jaki przeprowadziłem na mapie swego rodzinnego miasta, okazuje się - po namyśle - dość schematyczny. Czy Rynek był naprawdę dzielnicą polską? Tak, jeśli chodzi o język, nie, jeśli o mieszkańców. Również i Blich był gettem tylko w przenośni: obok biedoty żydowskiej siedzieli tam rozmaici hycle, kanalarze, bardzo z nią zżyci i umiejący się z nią porozumieć w jej własnej mowie. Na dobitkę, oba światy przelewały się za brzegi na leżącą pośrodku Targowicę, co nadawało wszelkim rozgraniczeniom dodatkową płynność. Dopiero okupacja zaprowadziła tu ład i precyzję, nadała moc prawną temu, co unosiło się w atmosferze. Nadszedł dzień, kiedy linie demarkacyjne zarysowały się ostrą kreską, a metafory zyskały dosłowność. Rynek - bardziej niedostępny i europejski niż kiedykolwiek - cofnął się za schodki, getto ze swej strony ustąpiło na Blich, gdzie owinęło się kłębem drutów. Między obydwoema leżała Targowica - pusta teraz, dostępna jedynie psom i kotom. Ponad jej przestrzenią, zastaną odłamkami szkła i wiązkami słomy, oba światy mierzyły się wzrokiem w milczeniu. Jakkolwiek jednak wszystkie naziemne przejścia uległy przerwaniu, to wciąż jeszcze funkcjonowała linia komunikacyjna podziemi; wciąż jeszcze Rynek dawał mieszkańcom Blichu znać o swym istnieniu przy pomocy żółtej strużki, sączącej się z kanału. Połączenie to było jednak obustronne i droga, która sprowadzała jego wytwory do nas, mogła i nas w razie czego wywieść na wolność.

Nas - mówię, gdyż odkąd życie - w ów przewrotny sposób, w jaki realizuje ono wszelkie marzenia - zrealizowało nasz rodzinny mit przeprowadzki, odkąd zatem znalazłem się w getcie, znikła moja dotychczasowa izolacja: po raz pierwszy mogłem używać, mówiąc o sobie, liczby mnogiej. Okupacja wydobyla mnie z osamotnienia i włączyła w społeczeństwo - prawda, że ginące, umieściła w dzielnicy - prawda, że potępionej; w licznych jej zbiórkach i wybiórkach poznałem smak dotychczas całkowicie mi niedostępny: smak anonimowej wspólnoty. Dała mi wreszcie zajęcie: pracowałem najpierw w biurze meldunkowym jako statystyk topniejącej ludności żydowskiej, potem - przy opróżnianiu jej mieszkań - jako tragarz. Po raz pierwszy też byłem członkiem organizacji, którą założyłem po wizycie łącznika PPR-u. W skład jej - prócz jednej dziewczyny, o której za chwilę - wchodziłi byli moi uczniowie z czasów radzieckich. Zaopatrywaliśmy się na razie w broń i zapasy, odkładając wyjście do niedalekiej wiosny.

Jakkolwiek tej zimy 1942-43 roku sama zasada eksterminacji nie stanowiła już tajemnicy, to termin; jej zależał od warunków lokalnych. Wiele mogły tu i działać stosunki z miejscowym przedstawicielem gestapo, Wuestnerem. Nasz Judenrat - twierdzili politycy - potrafił sobie zaskarbić u niego wyjątkowe względy; szczególnie zręcznym posunięciem było ofiarowanie mu konia, na którym dokonywał on przejażdżek po opustoszałych ulicach i którego trzymał w gettowej stajni. Obecność jego stanowiła - ich zdaniem - swoistą gwarancję bezpieczeństwa; Wuestner nie zechce przecie - mówili - narażać swego ulubieńca na coś takiego.

Tymczasem społeczeństwo nasze znajdowało się w stanie pełnego rozkładu. Nowe organizacje o charakterze bandyckim raczej niż partyzanckim mnożyły się jak grzyby po deszczu; strzelaniny, grabieże, szantaże i porachunki były na dziennym - czy raczej nocnym - porządku; dziewczęta puszczały się na prawo i lewo. Co do mnie - korzystając ze swojej przepustki tragarza - zdobywałem, nie przebierając w środkach, broń dla grupy, której byłem mężem zaufania. Gdzie indziej opowiedziałem historię „skoku” na Judenrat. Mniejsze sztuki przenosiłem przez główną bramę za

dnia; grubsze - przemycałem nocą przez tylną furtkę cmentarza. Wychodziłem tamtędy w nadrzeczne okolice, gdzie można było nabyć broń z polskiego demobilu. Przemykałem się wśród tych zaczarowanych pól swego dzieciństwa, po których szperały teraz reflektory, przypadając raz po raz twarzą do ziemi. Po głowie chodził mi dwuwiersz:

Minie jesień, przyjdzie wiosna,
Będzie na nas trawa rosła,

dwuwiersz tak bardzo bez mojej woli powstały, że nie dziwię się pisarzom, którzy go przytoczyli jako anonimowy utwór z czasów okupacji⁴⁵.

Wyjątkowa oferta, jaką otrzymałem podczas jednej z tych wypraw - większa ilość karabinów, proponowanych przez kogoś, kto na gwałt potrzebował pieniędzy i nie miał wobec tego zbyt wygórowanych wymagań - skłoniła mnie, aby całą grupę postawić na nogi. Skąd wziąć gotówkę? O „skoku” na Niemca nie mogło być mowy: spaliliby getto w odpowiedzi. Ani na Judenrat: i tak ostatnia sprawa ledwo nam uszła na sucho. Pozostawały źródła prywatne: małoż to było milicjantów obławionych na akcjach, utuczonych na szantażach? Zniknięcia nikt by nie zauważył: ludzie i bez tego przepadali jak liście na wietrze. Oczywiście, trzeba by go wywabić w odpowiednie miejsce - na cmentarz, jedyny pozostawiony nam skrawek przyrody, pełniący niejako obowiązki nadrzecza. Tam - cieplejszą porą w krzakach, zimniejszą w grobowcach - spotykały się pary; tam załatwiano podejrzone transakcje i porachunki.

Dokonać tego mogła Zosia, owa jedyna w naszej grupie dziewczyna, kuta na cztery nogi i niezwykle - jak wszystkie tutejsze - rozpuszczona. Nie była zresztą tutejsza. Rodem z Warszawy, dostała się do nas, skołatana dłuższym pobytem „po tamtej stronie”, wymęczona szantażami. Uroda jej musiała nieraz stanowić okup, którym płaciła za życie. Wciąż jeszcze zachowała pewne atrybuty swego rodzinnego miasta: ton j kpiący, gwarę z Wiecha rodem. Jedyna też w naszym ; getcie używała pomadki do ust: doznawałem niemal zawrotu głowy patrząc, jak - przybliżywszy ją do warg - wysuwała z mosiężnej oprawki czerwony języczek. Wszystko to - zwłaszcza zaś jej kontakty

⁴⁵Niezdarna mowa słowiańskich rolników
Długo szeleszcząc rymem pracowała,
Ażeby wydać śpiew anonimowy
Dotychczas w drżącym powietrzu słyszalny
I tam, gdzie palmom syczą białe piany
I tam, gdzie w zimne prądy Labradoru
Orzeł-rybołów spada pługiem blasku
Przy jodłach Maine. Prosty był ten śpiew.
Madrygał, dawniej z wtórowaniem wioli
Nucony pannom w pięknej porze roku,
Brzmiał po raz pierwszy na odwrót. To wszystko.
Minie zima...
Przyjdzie wiosna...
Będzie na nas...
Trawa rosła...

(Czesław Miłosz *Traktat poetycki*) Jako utwór anonimowy cytuje również ten dwuwiersz w swej powieści *Le sang du ciel* Piotr Rawicz:

Au printemps des belles violettes vont pousser.
Elles vont pousser au-dessus de nous –
annonçait une chanson automnale.

z milicjantami, z którymi widywano ją na cmentarzu - skłoniło nas, aby - wbrew zasadzie nieprzyjmowania kobiet - wziąć ją do grupy, której mogła oddać cenne usługi.

Jej wygląd niezupełnie jeszcze wymęczony, spojrzenie nie całkiem zaszczute, jej wciąż jeszcze odprasowane sukienki, wszystko to zachowało świeży zapach tamtej strony. Nie wiadomo dlaczego - być może z uwagi na jej cmentarne kontakty - czułem w niej mieszkankę nadrzecza: była jakby kontynuacją tamtej osobki, która fascynowała niegdyś moją młodość swym zadomowieniem w łozach naddniestrzańskich. Otaczała ją ta sama aura pokusy i grzechu, apelowała do tych samych we mnie ciemnych pokładów. Była pożądana, bo nieosiągalna, nieosiągalna zaś dlatego, że - tak łatwa. Kiedy - umalowana i przyczesana, ale z przyczepionym jeszcze do sukni bodiakiem - przychodziła z cmentarza, przynosząc jakąś cenną informację, czułem, że właśnie jej łatwość stwarza między nami trudność nie do pokonania. Nie mogłem przecie - traktując jej ciało jako narzędzie do zdobywania wiadomości - traktować go zarazem jako przedmiot pożądania. Byłem „dowódcą”, ona - pomocnicą i w robieniu „skoków”. To wszystko.

Tym razem jednak chodziło o rzecz poważniejszą: i sprawa była gardłowa. Wybór padł na Karakona, zwanego tak z uwagi na czarne, rozbiegane oczka. Był to gettowy milicjant, wsławiony tym, że wydał własną rodzinę w ręce Niemców. Zleciliśmy Zosi, aby go omotała jak najszybciej i umówiła się z nim pod jednym z owych - tak częstych w naszym życiu - na wpół miłosnych, na wpół handlowych pretekstów: ona obieca przynieść partię morfiny, on - zapłatę w dolarach. Przyjęła zlecenie ze swoim „Zrobi się, panie szefie!” i już po paru dniach zameldowała, że ma się i z nim spotkać w jednym z owych grobowców, które stanowiły przystanie gettowej miłości.

Przykucnąwszy z tyłu za sarkofagiem - ustaliliśmy - wykonawca śledzić będzie ruchy pary na kamiennej ławce. Gdy tamten będzie na tyle już zaangażowany, aby się nie bronić, zada mu - na znak dany przez nią - cios siekierą, który powinien być pierwszym i ostatnim: za wszelką cenę należy unikać hałasu. Aby omówić szczegóły na miejscu, spotkaliśmy się poprzedzającego dnia z Zosią w grobowcu. Mimo spóźnionej pory - było już dobrze po północy - cmentarz wrzał życiem: jakiś pochód ciągnął w milczeniu ku furtce. Fala paniki ogarnęła tej nocy dzielnicę: oto przed wieczorem Wuestner kazał wyprowadzić konia ze stajni - co prawda do weterynarza tylko, jak twierdzili poinformowani. Niemniej samo usunięcie tej maskoty wystarczyło, aby wywołać ów nocny exodus.

Przysiadłszy na okapanej stearyną ławce - tej samej, na której mieli oboje znaleźć się nazajutrz - uzgadnialiśmy końcowe detale: tu on, tam ona, tak ma trzymać głowę, aby jej cios nie trafił. Mówiłem to wszystko jak w gorączce, nie bardzo wierząc we własne słowa. Czyżby naprawdę w ostatniej chwili nic nie miało się zdarzyć? Czyżbym w taki oto sposób miał wyjść ze stanu zawieszenia, który wydawał się moim stanem naturalnym, i określić się - jednoznacznie i nieodwołalnie - morderstwem? Prawda, że równie dobrze można by to nazwać wymiarem sprawiedliwości: Karakon miał niejedną zbrodnię na sumieniu. Ale nie one przecie zadecydowały o jego likwidacji; gdyby nie zakup broni, chodziłby nadal na świecie. Więc po co się okłamywać?... Czułem, że - powtarzając swoje „Zrobi się, panie szefie!” i nadrabiając miną - towarzysza moja też liczy na to samo: w ostatniej chwili coś się jednak zdarzy. I nie tylko strach był między nami. Coś innego jeszcze, cośmy maskowali - ja rzeczowością, ona kpiną - podchodziło nam do gardła. Czułem, że oczekuje ode mnie jakiegoś gestu zbliżenia, ot! choćby tego, że pogłaskam ją po włosach, powiem „Trzymaj się!” Ale jeśli i dawniej szedłem przez życie opancerzony skurczem czystości i wstrętu, jakby bojąc się w coś wdepnąć, zatracić swą osobowość w jakiejś grząskiej wspólnocie, to cóż dopiero teraz, w sytuacji, która wszelkim związkom

intymnym nadawała odrażający charakter psich zalotów? Przeżyłem okupację starając się nigdzie nie zagrać miejsca, w niczym uczuciowo nie zaangażować. Chroniąc się i tym razem we właściwy mi ton oschłej rzeczowości, spytałem ją, czy ma już coś przyszykowanego na wypadek akcji. Bo my, reszta grupy, będziemy się przedzierać kanałami. Zapraszałem ją tam, jak niegdyś zapraszano do podróży na Cyterę. Spotkałem się jednak z równie oschłą odmową. Dziękuje mi za dobre chęci, ale tak się składa, że akurat w jej domu udało się wykopać kryjówkę, wyjątkowo bezpieczną, bo mającą przejście właśnie do kanału, dokąd w razie potrzeby będzie się można i tak wycofać.

Ponieważ nie było wskazane, aby nas widziano razem, ona wysliznęła się pierwsza. Jeszcze w szarzącym świetle dojrzałem wysunięty czerwony języczek, który przybliżyła do warg, jeszcze chciałem krzyknąć w ślad za nią „Dajmy pokój tym dziecinadom!”, ale zaliczka wpłacona, grupa postawiona na nogi - za późno. Odeszła z poczuciem, że zawsze traktowałem ją - jej ciało, jej osobę - jako narzędzie. Odczekawszy parę chwil wyszedłem i ja na cmentarz. Świtało już, ale w stronę furtki wciąż jeszcze snuł się bezsenny korowód. Czemu by nie wyjść za druty i nie przespać się w jakiejś stodole? Ale nie zdążyłbym na czas z powrotem, za dnia przejście przez pola było odcięte. Więc z uczuciem skazańca skierowałem się w głąb dzielnicy, gdy wtę od strony furtki zadudniły kroki:

„Druty obstawione! Akcja!”

Biegłem, a na cmentarnych murach i wzdłuż drutów stali już - w hełmach, z paskami pod brodą, z bronią gotową do strzału - esesowcy. Obok - milicjanci, uzbrojeni w siekiery do rozbijania kryjówek. Wśród nich kątem oka dojrzałem Karakona, który - zdawało mi się - pogroził mi filuternie palcem. U wylotu kanałowego miotał się niezniszczony tłum. Chłopców z grupy ani śladu; byli zgubieni w tłoku czy może weszli już do środka. Wszystko to - zauważyłem z niedowierzaniem - działo się pod wzrokiem esesowców, którzy czekając na sygnał przyglądali się beczynnie znikającym. Obie strony - jak przed podniesieniem kurtyny - zajmowały dopiero miejsca, aby za chwilę wpaść w przygotowane role. Jakiż sens wchodzić do zdekonspirowanej kryjówki? Szukać innej było jednak za późno, a coś trzeba było robić. Więc wszedłem.

Od razu zdałem sobie sprawę, że obierając tę drogę na wolność dostałem się w niewolę sił, nad którymi miałem równie mało kontroli, co spadający przedmiot - nad prawem ciężenia. Ale cofać się było poniewczasie. Jedyne, co pozostawało, to poddać się temu prądowi, który rwał mnie naprzód. Anonimowa wspólnota brała mnie w swe władanie: nie byłem już i jednostką, byłem pierścieniem gąsienicy, która wiła się korytarzem - to ciemniej, to błękitniej na zakrętach, pod przesianym z góry, od płyt kanałowych, i światłem. Podzielałem wszystkie jej drgania i gdy tam, z tyłu, nadeptnięto jej na odwłok, my tutaj, przednie jej pierścienie, falowaliśmy ze zdwojonym pośpiechem.

Tym, co w sytuacji tak bezosobowej pozostało mi własnego, był chyba ów wrzód wyobraźni, dziecięca fascynacja, dzięki której konstrukcję tego podziemia znałem jakby od wewnątrz. Oczywiście o istnieniu w nim bocznych kanalików wiedzieli i inni; wiedzieli jednak teoretycznie; ja zaś miałem je wciąż przed oczyma, i to tak intensywnie, że w chwili gdy rozległ się wreszcie grzmot odwalanej płyty i na tle widocznego już nieba zamajaczyły gdzieś na przedzie widziane w ukośnym skrócie uzbrojone postaci, zboczyłem bez chwili wahania w wiadomą mi odnogę, dając z wyciągniętymi rękoma nura w jej chlupką ciemność.

Podczas gdy tam, za mną, strumień rwał wciąż naprzód, wyrzucając jednego za drugim na powierzchnię Rynku - teraz zapewne ustawiali się już, mrugając powiekami, w czwórki - ja znalazłem się w zacisznej przystani. Było tu ciepło i bełtliwie jak w matczynym łonie. Jakby dla potwierdzenia tej analogii coś krąglego zatarasowało mi drogę: ciało kobiece. Wśliznęło się przede mną czy może przyszło inną drogą? Dość że było tutaj - nieruchome, jędrne, opięte suknią. Aby zrobić miejsce tym, którzy czołgali się ze mną, nasunąłem się na nie jak najwyżej, tak wysoko, aż dłońmi namacałem zaskorupiałą maskę na jej twarzy, w której tylko gałki oczu były żywe. Palcami przesunąłem po bezimiennych rysach, po zlepionych włosach: była to jakby namiastka czułości, której przed chwilą poskapiłem komu innemu. Czyż nie znajdowałem się, anonimowy, na samym dnie, w kloace świata, gdzie nikną wszelkie wstydlivości i zahamowania, gdzie można sobie pozwolić na wszystko? Ja, człowiek zewnętrzny, wracałem oto do wielkiej czarnej wspólnoty, istota bez tła - zlewałem się z dnem i z tłem. Zasnęliśmy.

Nie na długo jednak, gdyż z tego pół snu, pół otępienia obudziły mnie zbliżające się odgłosy. Główną arterią kanału przelewały się echa płyt odwalanych i zatraskiwanych, śmiechów, nawoływań ludzkich czy może psich ujadów. Zapanowała tu nagle, jak w mieszkaniu, gdzie po długiej zimie otwiera się okna na przestrzał - atmosfera wiosennych porządków. Bał czy polowanie? Nagle olśniło mnie: kanalarze. Przed wojną tych mrukliwych ludzi rzadko spotykało się za dnia, spotykając zaś - wymijało dalekim zakolem; funkcje swe spełniali, aby nie wystraszać przechodniów z ulic, przeważnie nocą. Teraz - na wezwanie Niemców, którzy wyznaczyli nagrodę od łebka - zjawili się tu, rozradowani, że nareszcie ruch się robi w martwym interesie i otwierają możliwości niespodziewanych zarobków. Przykładali usta do włazów, gdzie spodziewali się naszej obecności, i tonem wyrzutu usiłowali nam wyperswadować dalsze ukrywanie się: getto zostało zlikwidowane, akcja jest ostateczna, chować się nie ma już po co, wracać nie ma dokąd. Widocznie jednak nie uzgodnili między sobą taktyki, gdyż inni - podchodząc w parę minut później - informowali wręcz przeciwnie, że akcja się skończyła i możemy już wracać bezpiecznie do getta. Aby wkraść się w nasze zaufanie, niektórzy uciekali się do żydowszczyzny, przy okazji nie mogąc się jednak powstrzymać od jej parodiowania i demaskując tym samym własną komedię. W gruncie rzeczy nie tyle o rezultat im chodziło, co o zabawę - wielką zabawę ludową, podziemny festyn z fantami, loterią i słupem szczęścia, na którym jako nagroda - zamiast kiełbasy i wódki - wisieliliśmy my. Również i dzieciaki, które - dla pomocy czy dla szkolenia - sprowadzili z sobą, biegały od włazu do włazu, przykładając do nich usta i naśladując nawoływania rodziców. Dojrzałbym zapewne, gdybym mógł odwrócić głowę, ich pyzate twarze w otworze i głupie, wyłupiaste oczka, świdrujące ciemność.

Co skłoniło mnie w końcu do wyjścia? To chyba, że w pewnej chwili głosy i śmiechy oddaliły się na dobre, ustępując miejsca niezamąconej ciszy. Widzę siebie znowu, jak brnę opustoszałym korytarzem w stronę wylotu, utyłany, zziębnięty i na pół nieprzytomny - nie na tyle jednak, aby nie czuć, że tam, na dnie, kiedy leżałem przemieszany z gnojem kanałów, coś zasadniczego dokonało się we mnie, coś pękło czy może zakiełkowało. Kontakt z tamtą kobietą bez twarzy, anonimowym sukkubem podziemi - kontakt tak intymny, jak nigdy z nikim - coś we mnie wyzwolił i czułość sączyła się ze mnie jak z otwartej rany - nie ku tej jednak, która była bezpośrednią jej przyczyną, lecz ku tamtej, której się wczoraj wyrzekłem. Gdzieś w pobliżu powinna się znajdować jej kryjówka, powinna się znajdować ona sama. Obmacywałem właśnie gorączkowo beton w poszukiwaniu otworu, gdy cisza kanału uległa ponownemu zakłóceniu: jakieś echo toczyło się korytarzami. To szli kanalarze, szli w asyście dzieciaków, poprzedzani śmiechem i błazenadą, wygarniając po drodze ludzi z włazów, szli dość powoli, abym zdążył w końcu domacać się szczeliny nad sobą. Podciągnąłem się na ramionach; nad

głową miałem strzęp nieba. Wnętrze kryjówki było rozbite i puste; tylko w jej kącie, porzucony wśród gruzów, mosiężny przedmiot wysuwał bezwstydnie tłusty, czerwony języczek.

Moje debiuty

Sam się niekiedy dziwię; tak bardzo pierwsze moje książki *Śmierć liberała* i *Dobrze* różnią się od tego, co pisałem przedtem i co miałem pisać potem. Cóż za rozdwojenie osobowości! Oto krytyk „formalista”, który ogłasza tom jaskrawo realistycznych opowiadań; oto starożytnik, który tłumaczy Majakowskiego. Pamiętam, że w prasie naszej funkcjonowały w swoim czasie dwa moje wcielenia, które tylko znajomi potrafili zidentyfikować: Mr Hyde, obciążony siedmiu grzechami estetyzmu, i dr Jekyll, recytujący przy partyzanckim ognisku urywki z poematu *Dobrze*. Rozdwojenia tego nie umiem wytłumaczyć; mogę co najwyżej określić chwilę, w jakiej się dokonało.

Bywają w życiu sytuacje jak z klasycznej tragedii, które na przestrzeni krótkiego czasu skupiają cały los człowieka. Tak było ze mną - po wyjściu z kanału. Tym razem nie zdążyłem już ochłonąć i wrócić do siebie, jak po poprzednich akcjach. Zdając sobie sprawę, że likwidacja getta jest kwestią dni, błąkałem się po aryjskiej stronie - zarośnięty, brudny, bez dokumentów. Po śmierci kolegów plan gromadnego wyjścia za druty stał się niewykonalny; pozostawało wyjście w pojedynkę. Że jednak getto kusiło jeszcze ciepłą strawą i przytułkiem, więc wybrałem drogę pośrednią. Zachodziłem tam za dnia, noce spędzając w nadrzeczu tuż za furtką żydowskiego cmentarza zaczynało się wysokie zboże.

Gdy wieczór był deszczowy, szukałem noclegu w okolicach Rynku. W głębi ogrodów ciemniały wille, a obok wymarzone schronienia dla włóczęgów - zabudowania gospodarskie. Długo przed wejściem do komórki stałem w mroku, podpatrując przez szpary w okiennym zaciemnieniu podawanie kolacji, układanie się do snu. Były w tym względy praktyczne: trzeba się było upewnić, czy nikt mnie nie „nakryje”. Ale było i pasożytnictwo psychiczne, nasycanie się cudzym ciepłem i spokojem. Uprawiałem ów proceder i przed wojną; trochę było w nim ciekawości, trochę zazdrości, trochę estetyzowania. Pisałem wówczas:

Śpi miasto. Lecz na plantach miejscowy poeta
Śledzi cię na rolecie ruchomy i blednie.

I wówczas czułem się bezdomny; i wówczas cofałem się w cień, ilekroć ktoś wychodził na dwór. Były to jednak przerośnięte: w końcu miałem dom, a „nakrycie” groziło co najwyżej kompromitacją. Teraz wszystko udostłowiło się: bezdomność była realna i niebezpieczeństwo realne; realny też ów przedmiot, który mi gwarantował - w razie czego - ostateczne wyjście.

Kraść tak między aryjską stroną a gettem byłbym mógł bez końca, gdyby pewnego wieczoru - właśnie w chwili, kiedy nie znalazłszy noclegu szykowałem się do powrotu za druty - parę urwanych strzałów nie ostrzegło mnie, że likwidacja rozpoczęła się. W kilka dni później znalazł się ktoś, kto zgodził się dać mi przytułek na strychu.

Ale nie o dziejach swego ocalenia chcę opowiadać; chodzi o dzieje mego dojrzewania. Pełnię dojrzałości osiągają bohaterowie mitów z chwilą zstąpienia do podziemi. Zstąpieniem do kanału rozpoczęła się i moja; dokonała się zaś - wstąpieniem na strych. Na pograniczu między obydwoma leży ów okres tułaczki, rodzaj psychodramatu, w którym uzewnętrzniła się moja dotychczasowa postawa. Stałem się teraz bezdomny dosłownie; dawniej byłem nim tylko w sensie przenośnym. Albowiem być krytykiem i tłumaczem znaczy właśnie nie mieć domu, pasożytować na cudzym wnętrzu. Stosunek mój do zwykłego, nie przetworzonego przez sztukę życia był dotąd niecierpliwy i odrzucający; pisarz narodził się we mnie dopiero wtedy, kiedy ukryty w ciemności pożerałem owe wieczorne sceny pożegnalnym wzrokiem. Dopiero wtedy mógł - na gruzach mojej przedwojennej estetyki - powstać przekład *Dobrze*.

Pracę nad nim rozpocząłem znacznie później - w okresie gdy proces likwidacji już się zakończył, esesowcy przestali krążyć z psami po polach, z getta pozostały jedynie kominy, wybite okna, drzwi klekocące na zawiasach. Zamurowanego od paru miesięcy nawiedzały mnie w nocy sny. Nie wszystkie były związane z gettem... Niektóre sięgały w czasy przedwojenne, inne wybiegały naprzód - zawierając jakby zapowiedź przyszłych moich losów. Jeden z nich, który udało mi się zapamiętać, przytaczam poniżej. Budziłem się zlany potem, aby nasłuchiwać szurania szczurów po ścianach, sapania krowy, odgłosów podwórka. Szło Boże Narodzenie i z dołu dochodził rozgwar świąteczny, Skrzypienie uchylonych furtek, tony kolędy. Pewnej nocy, gdy wierciłem się usiłując zasnąć, nie wiadomo skąd - z rytmu ukraińskiej pieśni, z tupania bydłat, ze szczekania zębów - wyłonił mi się wiersz Majakowskiego:

No-
 życz-
 kom
 na
 miestie czik
lu-
 to-
 wo
 po-
 mieszczika!
Go-
 spo-
 din
 po-
 mieszcziczek,
so-
 bi-
 rajtie
 wieszczi-ka!

Był to urywek poematu *Dobrze*, opis rewolucji na wsi który jakimś sposobem zachował mi się w pamięci.

Spoczywał on w niej od trzech lat, kiedy - po wkroczeniu Czerwonej Armii do naszego miasta - wykładałem rosyjski w radzieckiej dziesięciolatce. Wiersze Majakowskiego, czytane na głos w klasie, zastępowały brakujące podręczniki, pomagały nawracać uczniów na rzeczywistość, która w tę pierwszą wojenną zimę nie przedstawiała się różowo. Ogonki, przymusowe kwaterunki, akcje odgarniania śniegu, wszystko to piękniało w świetle poezji, wznosiło się w niebo rewolucji.

Z tamtych więc lat pozostawały mi jakieś urywki, które teraz - dysponując nadmiarem czasu - rekonstruowałem w pamięci i tłumaczyłem na polski. Praca moja nie była przekładem sensu stricto, lecz raczej formą lirycznej wypowiedzi. Już sam fakt, że rozpocząłem ją od chłopskiego fragmentu *Dobrze*, jest symptomatyczny; znać w tym wpływ chłopskiego podwórka. Widać to zresztą i w samym tekście przekładu, gdzie nie tylko język, ale i realia są spolonizowane: Pugaczowa zastępują hajdamacy, rosyjska Nina zostaje przemianowana na polską Maryś, chłopci - miast ostrzyć topory - stawiają sztorcem kosy, noże ustępują cepom.

W 1945 roku znaleźli się krytycy, którzy mieli mi to za złe. „To nie przekład - mówili. - To przeróbka”. Wyrzec się jednak polonizmów znaczyłoby odebrać tłumaczeniu jego charakter osobisty. Jest ono związane nie tylko z chłopską chatą, miejscem swego powstania, ale i z tym, co się działo dokoła niej - w promieniu tysięcy kilometrów. Podczas gdy nad nim pracowałem, nadchodziła wiosna. Zapowiadało ją nie tylko topnienie szronu na dachu, nie tylko widok - przez szpary w dachówkach - pochylonych nad grządkami kobiet, ale i dalekie postękiwanie armat na horyzoncie. Nastąpiły pierwsze naloty i nikt chyba nie nastawiał radośniej ciała pod strugi majowego deszczu niż ja - pod ogień sowieckich bombowców. Podczas gdy składy amunicji i rafineria spirytusu wylatywały w powietrze, sekundowałem z całej siły idącej od wschodu ofensywie, przyśpieszając tętno polskiego języka, różnicując akcenty, każąc terkotać rymom jak kulomiotom.

Wiem, że zestawienie jubilerskiego pilnika tłumacza z cyklopim młotem ofensywy brzmi śmiesznie. Ale czyż obu narzędzi na przemian nie używał i Majakowski? Stoi on na pograniczu pokolenia jubilerów i górników - ostatni z poetów pracujących w mikrostrukturze, pierwszy z tych, którzy nauczyli się znowu operować dużymi rozmiarami; lecz on jeden tylko potrafił połączyć precyzję z rozmachem. Połączenie możliwe dzięki specyficznej metodzie pracy. W jego mieszkaniu na Tagance leży notes, gdzie jeszcze na parę godzin przed śmiercią zapisywał rzadkie rymy i kalambury. Te wprawki językowe czy - jak je nazywał - „zagotowki” pozwalały mu reagować szybko i bezbłędnie na wymaganie - makrostruktury. W dwu stopniach - tyle że w odwrotnej kolejności - odbywała się i moja praca. Cyzelacja była możliwa nie tylko dzięki nadmiarowi czasu, ale i dzięki „zagotowkom”! uczuciowym, jakie mi pozostały z przeżyć okupacyjnych. Bywały tam sytuacje tak podobne do tych, jakiej opisuje Majakowski, że mógłbym nad niektórymi umieścić motta zaczerpnięte z jego wierszy. Jedno z tych wydarzeń opowiem tu obszerniej.

W trzy dni po wybuchu wojny, 25 czerwca 1941 roku, stałem na Rynku w grupie młodych nauczycieli - Polaków i Ukraińców, niegdyś moich szkolnych kolegów. Dwuletni okres władzy radzieckiej zatart znowu różnice narodowościowe, które nas rozdzieliły na uniwersytecie. Staliśmy znowu oparci o mur na korsie A-B, skąd zwykliśmy byli - jeszcze za lat gimnazjalnych - przyglądać się wracającym ze szkoły dziewczętom; tym razem nie o dziewczęta jednak chodziło. „Front - mówili poinformowani - jest tuż, tuż. Niemcy idą od Przemyśla. Nie trzeba ufać pozorom ciszy. Rosjanie ewakuują. Wojenkomat spakowany”. W istocie, od strony Szopena dyrdłały w pośpiechu furmanki. Szły z przerwami. Z

półkoszów machali zapraszająco rekruci: póki jechali, można się było przysiąść. Nagle - po dłuższej przerwie - jakiś wóz przeturkotał w szalonym pędzie na Drohobycz. Nastąpiła chwila wyczekiwania.

Ocknąłem się zauważywszy, że koledzy gdzieś znikli, zostałem sam. Tamta furmanka - zrozumiałem - była ostatnią; wojska opuściły miasto. Rynek rozbrzmiewał grzechotem opuszczanych rolet. Zza węglów wyłaniały się jakieś małe sylwetki i skradającym się krokiem zmierzały w moją stronę; były to męty miejskie, które dawniej widywałem na Rynku tylko nocą. Podniósł się wiatr, dreszcz przebiegł mi po skórze. Towarzystwem moim miały być odtąd te długorękie postacie, które otaczały mnie kołem coraz ciśniejszym; nie dla inteligentów byłem od tej chwili partnerem. I podczas gdy - oparty o mur - usiłowałem wrócić weń plecami, spadła na mnie - jak objawienie - myśl, że bieg czasu jest nieodwracalny.

Nigdy nie doświadczyłem grozy istnienia tak dotykalnie, jak w ten czerwcowy wieczór, kiedy metafizyka stanęła przede mną jako zagadnienie praktyczne: odrobić to, co już się stało. Tam - o ileś kilometrów na wschód i o ileś minut wstecz, poza linią frontu i czasu - rekruci różnych narodowości, niedostępni już i niewiarygodni, częstowali się machorką, darli gazety na bibułki, ginęli wspólnie od bomb. Tutaj szalały niemieckie motocykle, a improwizowana milicja zaczynała już spędzać Żydów do sprzątania biur posowieckich - wszystko to bez wstępnego znieczulenia. Już nazajutrz zaczęło działać zbawcze przystosowanie, już po paru miesiącach miałem przyjąć jako rzecz naturalną widok matki wypęzającej z kanału - z diademem kału w siwych włosach. Ale w ten wieczór spadałem prosto w niemożliwość, w świat drzwi wywalanych, warg zbielejących, szczękających zębów - w świat, którego wspomnienie dźwigał pod martwymi powiekami pradziad Aron.

Stałem ukryty w sieni. Nastąpił mrok, lamp nie zapalano. Nisko nad brukiem polatywały lśnić stada papierów wyrzucanych z otwartych okien. Krzyki bitych spadały wraz z nimi wzdłuż murów. Milicja w żółto-niebieskich opaskach waliła coraz gęściej od strony placu Cerkiewnego, przez który prowadziła droga na Targowicę. Byłem odcięty. Sprawa dobrego wyglądu stanęła przede mną w całej grozie: przy przejściu rozpoznano by mnie niechybnie. W rok później ten groteskowy problem miał mi zamknąć drogę aryjskich papierów; ale już wtedy, w ten pierwszy wieczór, sprawił on, że nie mogąc wrócić do domu, musiałem szukać schronienia w pobliżu.

Wpadłem na podwórze rynkowej kamienicy, które - na wysokości pierwszego piętra - obiegał drewniany ganek; wychodziło nań wiele drzwi. Był czas najwyższy: milicja krążyła już po domach. Wbiegłem na lewą stronę ganku i zacząłem się dobijać do pierwszych lepszych drzwi. W mieszkaniu, dokąd mnie wreszcie wpuszczono, tłoczyło się kilkanaście osób; dla zachowania ciszy leżano na nie rozścielonych łóżkach. Patrole wszedłszy po schodach na ganek skręcały raz po raz na prawo. Słyszałem rumor, krzyki, chlapanie wyprowadzanych; brano ich do Ratusza i tam przy sprzątaniu zabijano. Nas jednak, znajdujących się po lewej stronie ganku, pomijali; na tej loterii życia wygrywaliśmy za każdą turę. Po paru razach pomijanie to stało się dla mnie tak oczywiste, że przestałem się nim zajmować. Zacząłem zauważać rzeczy obojętne: jakaś ręka o lakierowanych paznokciach leżała na krawędzi łóżka obok mojej - odrębna, zajęta wyłącznie sobą i swą egoistyczną namiętnością strachu. Przytłumione sapanie w ciemności łączyło nas w jakąś anonimową wspólnotę, tworzyło między nami intymność - jak w orgii. Nagle załomotało: tym razem szli ku nam. Lakierowane paznokcie wpiły mi się spazmatycznie w rękę. Odwzajemniłem uścisk i przez chwilę trwaliśmy zespoleni - wspólnotą miłości czy strachu? I podczas gdy kroki mijając nas szły już ku drzwiom następnym, a uścisk się rozluźniał, wyłoniły mi się w świadomości słowa rosyjskiego poety:

„Zrozumiesz: nie trzeba - dla ludzi - skąpić - pieszczoty - ani - koca” - słowa tak bardzo moje własne,
jak gdybym nie przypomniał ich sobie w tej chwili, ale wymyślił...

.....
.....
.....

Witaj, ziemio morderców! Już poranek świta!
A ty jeszcze, mgły nocnej pijana okowitą,
Chwiejąc się i kołując, do karczmy poranku
Przytaczasz się na oślep i stając na ganku
Widnokręgu, księżycy sierp z krwawej roboty
Ocierając o chmury, rzucasz poza płoty...

Usnął świat podniemiecki. Tylko czasem patrol
Palcami kul przeczesze sypkie włosy wiatru
Lub reflektor zarzuci w głąb nocy swe sieci.
Znów ziemia - orna, ciemna. A w przestworach świeci
Ziemia, kula armatnia, lecąc po ekliptyce,
I przesuwa kolejno: swe liściaste lipce,
Swoich wrześni łaskawość i surowość grudni.
Tu - grudzień. Skrzepła ziemia. Lecz słysząc,
jak dudni,

Kiedy ucho przyłożysz, jej brzuchate wnętrze.
To telegraf podziemia ocknął się i brzęczy.
Wnętrznosciami planety przesyła depesze.
Najpierw - grad celnych punktów: to salwa pepeszy.
Potem kreski przeciągłe wybuchów, a potem
Huczy już bęben ziemski ustawnym warkotem
Samolotu, co drżący w niebie inspiracji
Zrzuca hasła płomienne na dno okupacji,
Poematem-bombowcem, rytmem lotnej stali,
Przenośniami pocisków. A na rymie - Stalin.
Obudziła się ziemia...

Naszkicowany jesienią 1942, wiersz ten wykończyłem w rok później, kiedy - znalazłszy stałe locum -
mogłem wrócić do literatury: należy więc do moich „debiutów na strychu”, Sama rzecz działa się
w mglistą noc grudniową - tuż przed świtem. Granatowa milicja - gettowa i ukraińska -
przeprowadzała właśnie jedną z kolejnych łapanek, która obejmowała wyłącznie starców. Słyszałem
postękiwania dwojga z nich, wywlekanych z naszego podwórka, gdy doleciał mnie warkot motorów,
potem zaś łoskot wybuchów: to nadleciały radzieckie bombowce. Akcję przerwano, starców -
przynajmniej na razie - puszczono. Radzieckie samoloty miały wówczas - przypomnijmy - wypisane na
kadłubach imię Stalina.

SEN NA STRYCHU (PARABIOGRAFIA)

Odejście narodu

Na wzgórzu uderzył mnie niezwykle widok: na jego skraju, tuż nad brzegiem zbocza, skąd otwierał się widok na rozległą Targowicę, stała zwrócona ku niej frontem milcząca gromada ludzi, ustawionych bez względu na wzrost w regularny czworobok, tak że obok smukłego bruneta w wiatrówce można było dostrzec z jednej strony kilkuletnią dziewczynkę, z drugiej zaś gospodynię domową o rozlanej twarzy i w peruce. Wszyscy byli obładowani najrozmaitszym dobytkiem: jedni nieśli pod pachami rondle, inni - zawiniątką; co więcej - czy to dla zachowania ordynku, czy też dla ochrony przed deszczem - niektórzy z nich trzymali przedmioty na głowie; w pewnym miejscu ujrzałem nawet czterech członków rodziny dźwigających wspólnie sprężynowy materac, który chwiał się i przechylał, umieszczony na tak nierównych oparciach: gdzie indziej jakaś para małżeńska okryła się czerwoną pierzyną bez poszwy; co najdziwniejsze wreszcie, w wielu miejscach porozciągano nad głowami olbrzymie końskie dery: ten sposób ochrony przed deszczem nadawał całości wygląd improwizowanego namiotu, spod którego tylko najbliższe twarze, zakurzone i szare, wyzierały wyraźnie, gdy dalsze gubiły się w mroku.

Każdy, kto próbował kiedykolwiek jazdy na stołku, wie, iż sekret jej polega przede wszystkim na zyskaniu rozpędu, do czego nieodzowne jest początkowe pchnięcie z zewnątrz; wszystko inne, jako to utrzymanie się w powietrzu, sterowanie przy pomocy umiejętnych przechyleń ciała, wymaga nieustannej co prawda baczności, ale jest już tylko kwestią treningu. Wystarczy jednak najmniejsze rozluźnienie uwagi, aby wylądować; upadek sam w sobie niezbyt groźny - cała jazda odbywa się bowiem zazwyczaj na wysokości półtora metra nad ziemią - ale dość kłopotliwy wówczas, gdy zachodzi z dala od ludzi, bez których pomocy nie sposób przecie wyruszyć w dalszą drogę. Tak i tym razem, zafascynowany widokiem tłumu, zapomniałem o napowietrznej mojej sytuacji i najspokojniej w świecie osiadłem na ziemi w pozycji czekającego na klientów pucybuta - tuż obok milczącej gromady, która zaczęła mi się przyglądać z niejakim zaciekawieniem; spod jednej z opadających der wyjrzały nawet czarne jak węgiel oczy dziecka. Kto wie, jak długo byłoby trwało trudne to położenie, gdyby nie stojący na czele tłumu starzec w lisiej czapce i z zastygłą w zmarszczkach niby w krawędziach mosiężnego lichtarza śniedzią, i który podszedłszy do mnie udzielił mi lekkim pchnięciem potrzebnego rozpędu. Po chwili znalazłem się z powrotem w powietrzu; ślizgając się już po jego spadzistościach, obejrzałem się jeszcze raz poza siebie i zobaczyłem, jak starzec - był on, dopiero teraz to zauważyłem, ślepy - zaczął zstępować ku dolinie; szedł z wyciągniętymi przed siebie na ukos rękoma, ślaniając się i potykając o korzenie rosnących na zboczu drzew; deszcz ustał już był zupełnie i wyjrzało jesienne słońce; unoszący żółtkłe liście wiatr rozczesywał mu brodę i wymykające się spod lisiej czapki włosy; za nim, nie zmieniając szyku ani pozycji, ruszył tłum, podobny do ruchomego namiotu.

Spis treści

ŚMIERĆ LIBERAŁA	3
Śmierć liberała	3
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością	8
Noc praworządności	18
Pamiętnik bezsensu	28
Dopisek	37
Radio	38
Sprawa godności	49
ZAPISKI Z MARTWEGO MIASTA (AUTOBIOGRAFIE I PARABIOGRAFIE)	63
POLITYKA I SZTUKA (AUTOBIOGRAFIA)	64
Konflikty rodzinne	64
Lwów i pierwsze kontakty polityczne	67
Kraków-Warszawa i pierwsze kontakty artystyczne	70
URYWKI Z PAMIĘTNIKÓW MIECZYŚŁAWA ROSENZWEIGA (PARABIOGRAFIA)	76
Wstęp	76
Miłość	78
Wrzesień	83
Patriota nr 1	85
Konferencja nauczycielska	88
Patriota nr 2	92
KANAŁY (AUTOBIOGRAFIA)	97
Mity terenowe	97
Drugie wcielenie Brochwicza	101
Śmierć pradziadka	106
Czerwony języczek	107
Moje debiuty	112
SEN NA STRYCHU (PARABIOGRAFIA)	118
Odejście narodu	118

„Czytelnik”, Warszawa 1983. Wydanie III uzupełnione.
Nakład 20 320 egz. Ark. wyd. 9,4; ark. druk. 13,75.
Papier offset, sat. kl. V, 80 g, 82X104.
Oddano do składania 6 V 1982 r.
podpisano do druku 19 VIII 1982 r.
Druk ukończono w wrześniu 1982 r.
.Zakłady Graficzne w Toruniu.
Zam. wyd. 418; druk. 730. Z-103.
Printed in Poland
Okładkę i kartę tytułową projektował JAN BOKIEWICZ
© Copyright by Artur Sandauer, Kraków 1971
Wydanie III w tej edycji. („Śmierć liberała” wyd. VII; „Zapiski z martwego miasta” wyd. IV uzupełnione)
ISBN 83-07-00801-8

